



K. MÜNZER

ŻYDOKRYJA

POWIEŚĆ

ŻYDA NA KRZYŻ!

KURT MÜNZER.

**ŻYDA
NA
KRZYŻ!**

POWIEŚĆ.

Z upoważnienia autora przełożył
JÓZEF WOŁKOWICZ.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
98-230 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63**

WARSZAWA 1930.

Wszelkie prawa przedruku zastrzeżone.
Copyright by J. Wołkowicz, Warszawa, Leszno 31.



22.295

Odbito w drukarni „STEREOTYP” Warszawa.
<http://rcin.org.pl>

— Nadchodzą — zawołał młody, blady kelner. Stał na swem zwykłym miejscu, między złotym, a błękitnym salonem — bliski obłędu — uosobienie strachu i przerażenia. Był to ten sam kelner, który tegoż wieczoru opuścił tacę z kielichami musującego wina w chwili, gdy zdawało mu się, że słyszy od strony grożącej ulicy przytłumiony krzyk.

Teraz nie było to halucynacją. Stłumiony hałas szedł od miasta — przerywały go nie dające się rozróżnić okrzyki. Opuszczono żaluzje i pogaszono światła w błękitnym salonie. Zamarł wesóły nastrój w pachnących i jarzących się światłem salach restauracyjnych. Kelnerzy skamienieli, trzymając w rękach zamówione potrawy, talerze i srebra. Ręka niosąca do chciwych ust kielich wina, zawisła w połowie drogi. Głośny śmiech kobiety, jak straszny zgrzyt urwał się i stopił w jej pobladłej twarzy. Pianista i drugi skrzypek przerwali grę i tylko prowadzący orkiestrę pierwszy skrzypek, zmysłowo uśmiechnięty, myślą nieobecny, grał w dalszym ciągu serenadę, zamówioną przez kokotę Priskę z Lublina, serenadę, która brzmiała jak djabelski śpiew z innego lepszego świata. Gdy tu zbliżały się śmierć i zniszczenie.

Za żelaznymi ścianami restauracji groźnie wyglądała ulica Kurfürstendamm w tę mroźną i wietrz-

na noc letową. Opuszczona przez wystraszonych ludzi, spoglądała szeroka ulica szkieletami drzew i słupami latarni, które rzucały niesamowite cienie. Olbrzymie domy o pogaszonych oknach ponuro patrzyły na pustą ulicę, oddając bezwstydnie na pastwę tej dzikiej nocy swoje antyczne szczyty, fasady, balkony, galeryjki, karjatydy, marmurowe portale. Ani jedna gwiazda nie ukazała się tej nocy nad Berlinem. Ale gdy się mocno wpatrzyć w ciemne okna — można było rozróżnić blade, wykrzywione strachem twarze. Nadchodził czas zemsty.

Z pobliskiego kościoła zbliżała się masa ludzka; ciężko stąpając szła przed siebie; jakgdyby bagnisko brudne, śmierdzące, zalewała błyszczący asfalt. Groźne pomrukiwania, przerywane rażącym okrzykiem. A za murami nad słuchiwano w śmiertelnej trwodze...

Komu to grozi ?!

— Zabijcie ich !

Okrzyki były teraz już coraz głośniejsze i wyraźniejsze. Jak ostrze noża przenikały w tchórzliwe serca.

Głodna zmarznięta i zawistna ludność Berlina wcisnęła się w zakazany świat — tam gdzie jej pot zmieniał się w wino, jej gruźlica w wyszukane potrawy, jej głód w muzykę i taniec.

W kawiarniach i restauracjach, w salonach spelunek gry, w barach z tajnymi gabinetami dla morfiny i opium — gdzie uprawiano nierząd i występki — tysiące ludzi składało fałszywe przysięgi i obietnice za uratowanie życia, przysięgi, o których zapominali natychmiast, gdy niebezpieczeństwo się oddalało i zagrażało już nie im, lecz sąsiadom.

— Zabijajcie ich !

Pałacowe ściany królewskiej ulicy zdrząły. Nagie kobiety, podtrzymujące balkony wykrzywiły swe gipsowe twarze. Marmurowe słupy przytuliły się tchórzliwie do barakowych szczytów rozbujałych portali.

Za lustrzanymi szybami zniknęły blade twarze nadsłuchujących, koronkowe firanki znieruchomiały, pośpiesznie opuszczono żaluzje. Kamień uderzył w szybę, która nieosłonięta, ponad pustym ogrodem, sprowokowała tłum. Priska, jasnowłosa kokota z Lublina krzyknęła, jakgdyby ten kamień w nią ugodził.

Dopiero teraz oprzytomniał pierwszy skrzypek — opuścił instrument. Dopiero teraz, gdy ta kobieta krzyknęła, zdawał się rozumieć, że dokoła niego jest strach i przerażenie. Wszyscy spoglądali na siebie bezradnie.

Był to czas gdy zgłodniała masa ludzka, z ukrytym celem podburzana przez ciemne siły, chciała wyzbyć się własnej winy, zrzucając odpowiedzialność na innych, szczęśliwszych. Który skazaniec zechce być własnym katem? Któż padając, wini siebie? Człowiek odwraca się i woła choćby w pustkę z groźbą i oskarżeniem: Ty!

Jeden spoglądał na drugiego. W jedną chwilę wzajemnie się znenawidzili.

Mężczyzna nienawidził kobietę, z której uczynił prostytutkę, bo przez nią siedział tutaj, jadł, żarł, pił, chlał, przygotowując się do jej łóżka. Kobieta nienawidziła mężczyznę, bo przez niego miała umrzeć, przez niego, który ją utrzymywał. Jeden nienawidził drugiego. Bo czyż nie znajdował się tutaj z powodu tego drugiego? Bo czyż nie sprowadziła go tutaj wyłącznie chęć zaimponowania

temu drugiemu? Mogę sobie pozwolić na dwa razy więcej niż ty! Spójrz jak ja się bawię — i pęknij z zazdrości! Nikt nie żył dla siebie samego. A teraz w obliczu niebezpieczeństwa jeden obwiniał drugiego,

— Wyciągajcie żydów!

— Precz z żydami!

Daleko w północnej części miasta, na Hirtenstrasse, o tej samej porze rozpetany tłum zaślepionych nienawiścią, wyważył drzwi i wpadł do brudnego zimnego mieszkania. Leżące w łóżeczku dziecko żydowskie o czarnych lokach i mizernej, sinej twarzyczce rzucono o ścianę, upstrzoną śladami pluskiew. Młoda matka, skopana przez śmierzdzące dziewczki, które szły za bandą sutenerów, furmanów, gimnazystów i nauczycieli, osunęła się na podłogę.

— Moje dziecko! — zdążyła zaledwie zawołać i potężne kopnięcie w pierś pozbawiło ją przytomności.

— Mateńko! — płakał maleńki chłopiec. — Mateńko!

I już nieszczęśni pozostali sami w zdemolowanej izbie.

Opętańcy wybiegli na ulicę. Z okna pierwszego piętra wyrzucał młody chłopak wszystko, co znajdowało się w pokoju. Instrumenty dentystyczne, butelki z lekarstwami, maszyny, krzesła. Z sąsiednich drzwi wyszedł stary siwy żyd w kapocie.

— Oszczędźcie jego dom, kochani, drodzy ludzie! — wołał. — Czyż on nie jest waszym dobroczyńcą? — to dom Rubena Gerechtera! Czyż nie leczy on waszych chorych zębów? czy nie uśmierza waszych bóli? Darmo, zupełnie darmo — jeśli

nie macie na zapłacenie! A teraz rabujecie jego mienie, niszczyście jego instrumenty — czyż nie szkodzicie sami sobie?!

W tej chwili do starca zbliżyła się kobieta o twarzy Gorgony i uchwyciwszy go za pejsy, szarpnęła, mówiąc: To mi się może przydać! Ryk jego, gdy wyrwała mu pęk włosów wraz z ciałem był tak okropny, że wszyscy jak piorunem rażeni, rozbiegli się.

— Gerszon, życie moje, co oni ci zrobili? — kobieta wybiegła z domu i osłoniła nieszczęśliwego swoim ciałem. — Zwierzęta! — krzyczała — Zwierzęta! Te siwe włosy! Czy nie widziacie tych siwych włosów?!

Krew zalewała pomarszczoną twarz starca, który upadł na progu. Z wewnątrz padło drżące światło zapalonej świecy. Zawodząca kobieta pochyliła się nad nim, lecz w tym momencie jeden z oprawców schwycił ją za głowę, peruka pozostała mu w dłoni, a na twarz kobiety opadła fala jasnych nie zestarzałych włosów. Obraz ten jeszcze bardziej rozpetał najdziksze instynkty tłumu.

— Tutaj chodźcie, tutaj! Wykurczcie ich! Trzymajcie ich! — Okrzyki dochodziły z Grenadierstrasse. I popędzili, przewidując znaleźć tam więcej ofiar.

Stary żyd, zalany krwią i łzami, uśmiechał się.

— Mirjam, złoto moje, pomóż mi tylko wejść. Uspokój się. Życie uratowane. A ty? A ty? czy jesteś zdrowa?

Podniosła go, oparła na sobie, zamiosła prawie.

Jej włosy pięknie pachniały i zboląły starzec wtulił swą okaleczoną twarz w te jasne dziewicze sploty. Jak wtedy — za czasów narzeczeństwa —

wchłaniał zapach jej włosów, uśmiechając się. Ale w kobiecie zbudziła się matka; w tej okropnej godzinie ogarnęło ją przerażenie na myśl o ukochanym jedynym synu.

— A Abel, czy mu jakiej krzywdy nie wyrządzili?

W jednej chwili ciemna sień i krzywe schody były pełne żydów. Z każdych drzwi wychodzili, ostrożnie się rozglądając i nasłuchując. Zatarasowano bramę. Rozległy się głośnie rozmowy i kłótnie. Robiono wymówki staremu Gerszonowi po żydowsku, po rosyjsku i po litewsku: jak on śmiał wyjść na ulicę! Ich wszystkich narazić na niebezpieczeństwo!

Kobiety zbliżyły się z mokremi okładami. Jedna z nich nakryła chustą odsłonięte włosy Mirjam, mrucząc jakieś hebrajskie słowa. Wszyscy oni, klnąc i wyrzekając, starali się być pożytecznymi napadniętym.

Ludzie ci, zegnani z różnych miast Europy, z Kijowa, z Warszawy, z Lwowa, z Kowna i Preszurga — jakgdyby jedną stanowiąc rodzinę garnęli się do starych Adlerów. Mieszkali w tym sypiącym się zgrzybiałym domu, żyjąc razem z kurami, kotami, pchłami i pluskwami, ściana w ścianę z nienawidzącym ich wrogiem, jasnym germaninem, białym aryjczykiem. Jak rozbitkowie na tratwie, którym nie tylko nie rzucono liny ratunkowej, ni słowa otuchy — lecz kopnięciem i przekleństwem strącano w przepaść.

Niespokojne serce matki zawodziło:

— Abel, dziecko moje...

Abel opuścił skrzypce. Krzyk Priski rozległ się w tym samym momencie, co płacz z bólu jego ojca.

Gerszona. Zimny dreszcz przeszedł mu przez ciało.

— Tchórze! — zawołał i zeskoczył z estrady. Szybko przebiegł przez błękitny i złoty salon do pompejańskiego foyer, a stamtąd do garderoby, gdzie ujrzał za opuszczoną żaluzją nadsłuchującego portjera, dwie garderobiany, uszmińkowaną kobietę z toalety i małego piccola, którzy, znieruchomieli w strachu, zdawali się tworzyć jedną istotę.

Kiedyś nad wejściem do tej małej luksusowej restauracji widniał napis: „Casino de Paris“. Gdy padł pierwszy strzał niemieckiego żołnierza na froncie francuskim — pogaszono światła i po dwóch dniach bezczynności nastąpiło otwarcie lokalu pod nazwą „Za ojczyznę“. Patriotyczna nazwa nie przeszkadzała bynajmniej, że w restauracji podawano potajemnie najlepsze wina francuskie, najwyszukańsze potrawy, szmuglowany kawior i ostrygi. Po pewnym czasie lokal został opieczętowany. Wojna zataczała coraz szersze kręgi — za zamkniętymi drzwiami i zabitymi oknami tańczyli i pili urlopowani. Oficerowie z nagiemi kobietami i uszmińkowanymi młodymi chłopcami; grano w karty o niedozwolone złote monety, wymieniano zrabowane dzieła sztuki, uwodzono dziewczęta.

Wreszcie przyszedł koniec Wielkiego Mordu, rozpusta zwyciężonych. Nic już nie stało ponad drzwiami tego miejsca, poświęconego używaniu. Sprzedawano broń, własność państwa, zawierano zakazane tranzakcje, spekulowano.

Zima roku dwudziestego pierwszego — Chrystus stanowczo już nie żyje, niechaj więc nie zdoła kalendarza: spisujemy tysiąc dziewięćset i rozpoczynamy na nowo; ten świat tutaj niema nic wspólnego z Chrystusem — trzebaby znów kogoś ukrzy-

żować! — zimą roku dwudziestego pierwszego nabył jakiś stary komedjant ten zniszczony lokal, urządził go z przepychem i umieścił ponad drzwiami na czerwonym drzewie napis z kryształu i srebra „Eremitage“. Do tualety posadził starą wysłużoną nierezadnicę, która mogła odwiedzającym służyć wszystkim, przed wejściem stanął jako portjer były marynarz, zbiegły za bandytyzm; w szatni usługiwały dwie kobiety, które w Wilnie w burdelu wojskowym służyły armji po pięćdziesiąt - sześćdziesiąt razy dziennie; mały szczupły Willi, znaleziony w neapolitańskiej knajpie na Büllowstrasse, uzupełniał personel jako piccolo.

I cały brud Berlina zaczął się przelewać przez „Eremitage“. Chlano i żarto w złotej sali, w błękitnym salonie, w pompejańskiej galerji, w lustrzanym gabinecie. Na trzecim piętrze tego pałacu, oddalonego o pięć minut od wielkiego cesarskiego kościoła, znajdował się pensjonat baronowej Brugg, dokąd można było udać się windą na resztę nocy. W każdej chwili można było tam otrzymać pokój z łazienką, a kto nie znalazł nic odpowiedniego na dole — miał wśród mieszkańców baronowej dość duży wódbór. Mieszkały tam tancerki kabaretów nocnych i aktorki teatrzyków. Były wśród nich metystki, brazylianki, angielskie girlsy i skandynawskie aktorki.

Teraz zapomniał się Abel Adler przed temi drzwiami. Stukał w żelazną żaluzję i wołał: „w górę! w górę!“

Nazewnątrz wrzeszczała tłuszcza. Ucieczka przed nią, żądza i głód krwi, którego nie zaspokoila jeszcze ani jedna kropla, gonitwa za łupem — doprowadzała ją do wściekłości. Jakgdyby wietrzyli wroga, pieniądze, żydów, niesumienną siłę za temi

olbrzymimi zabarykadowanymi oknami, wcisnęli się rozbastwieni poprzez ogród i rzucili się na dom. Kamienie i palki uderzały w żelazną ścianę i głosy tysięcy mścicieli, wrogów i zawistników uderzyły, jak wezbrane morze w tę przepelnioną strachem wyspę.

I tylko Abel Adler chciał do nich wyjść. Wierzył, że jedno słowo do ich serc, a odejdą zawstyżeni. Jedno wezwanie do miłości i poddadzą się. Czego oni chcą, czego im brak, czego są głodni: miłości.

Abel pociągnął za linę. Bojaźliwie, powoli, niechętnie podniosła się żaluzja, światło „Eremitage‘u“ wypełzło nazewnątrz, spokojne, pachnące perfumami i winem. Poprzez szparę widać było buciki, buty, łapcie, obszarpane nogawki, brudne postrzępione spódnice.

Ze wszystkich sal pobiegli ludzie za skrzypkami. Piękna Priska, najdroższa kobieta z Kurfürstendammu, zostawiła przy stoliku wielkiego malarza Benthiena i poszła za młodym Ablem. Teraz w najwyższej egzaltacji rzuciła się przed nim na kolana.

— Nie chodź. Ja chcę umrzeć z tobą! Zabijają cię.

Abel nie słyszał jej. Uwiesił się liny i pociągnął. Już widziano nogi, rąk nie było widać: wszystkie były groźnie podniesione. Lodowate powietrze przeniknęło do wnętrza. Głęboka niesamowita cisza. Tłum od strony ulicy zamilkł: było czemś tak nieprawdopodobnym, że otwierano drzwi, że wróg dobrowolnie stawał przed nim, wpuszczał do siebie...

Zupełnie młoda dziewczyna o brązowych włosach, w białej sukni, stanęła między przestraszonymi gośćmi „Eremitage‘u“ i uniosła białe ramiona.

Przez jedną sekundę patrzył Abel w jej oczy. Nic
znał jej. Była to jedyna czysta istota w tym domu

Tuż obok niej stał człowiek, który wciąż po-
wtarzał: „Oliva, Oliva“. Wszyscy znali Corneliusza
Wasiljewa. Tego wieczoru świętował on ze swą
narzeczoną, Olivą Leu, córką szwajcarskiego króla
jedwabiu, zwycięstwo i otrzymanie pierwszej na-
grody w wyścigach samochodowych Bazylea —
Weimar — Berlin — Hamburg. Goście z jego stolika
okrążyli młodą parę. Naprężenie było nieznośne
„Oliva — szeptał — Oliva, opanuj się“.

Ale ona nie przestawała patrzeć na Abła, którego
dziś poraz drugi widziała. Gdy przyszła na salę w
narzuconem na ramiona szarem futrze, Abel grał
sam, bez akompanjamentu, cygańskie romanse Sa-
rasatego. On jej nie widział przez cały wieczór —
wówczas gdy ona zdawała się nic nie widzieć poza
nim: z niego czerpała oddech, uśmiechy, słowa.
Piękny Wasiljew pił bez pamięci, ale nawet nadmiar
alkoholu nie przyćmił mu rzeczywistości. Serce jego
złodowaciało. Odczuł: Oliva — ukochana, ubóst-
wiana, opuszczała go.

I oto stała ona, wpatrzona w Abła i nienawidziła
Priskę Lubliner, zazdroszcząc jej, że tak się zapom-
niała i uknęła przed nim, piękna Magdalena przed
chłopcem, przed czarnym chłopcem Jezusem, który
chciał kazać miłość do ludu. Znów pociągnął za linę.

Tłum zaryczał jednym głosem. Wietrzył krew.

W tej chwili Priska zawołała: „Ja przed tobą!“

W pięknej niebieskawo - srebrnej sukni broka-
towej, o nagich ramionach, przedostała się ona pod
żaluzję nazewnątrz, by uchronić swego ukochanego,
by przed jego krwią, przelać swoją, kochająca ko-
bieta...

I teraz stała się rzecz okropna. Lina, na której zawiesił się Abel, spróchniała od niezliczonych pociągania i opuszczania, czy to przed policją, czy też przed obławami, lina ta pękła...

Z hukiem spadła żelazna roleta na krzyż kobiety, która przedostawała się na ulicę i dopełniła jej ofiarę, zanim ona sama ofiarować się mogła. Bez jednego okrzyku Priska leżała ze złamanym kręgosłupem. Milczenie wewnątrz i zewnątrz. Tłum odstał. Ci, którzy stali dalej i nic nie widzieli pobiegli. Ci, którzy widzieli — uciekli od tego niesamowitego widowiska, jak kobieta w brokatowej sukni ze złamanym krzyżem leżała, przyciśnięta żelazną żaluzją. Na tym morderczym progu przechodziła Priska z Lublina, dziewczka paskarzy i spekulantów, ta samotnie kochająca, święta, wiecznie niewinna dziewczyna swą martyrologję. Między głodującymi, a używającymi spotkało ją jej przeznaczenie, ślepy los. Jak symbol — leżała Priska pomiędzy dwoma światami. Zaskoczeni tym okropnym wypadkiem — nie pośpieszali jej na ratunek. Pierwsza odzyskała mowę Oliva Leu i rzekła :

— Ona może umrzeć dla niego...

Abel ukląkł, podpełzł pod żaluzję, oparł kant żelazny na swem ramieniu — uniósł tę gilotynę na swych plecach — i spojrział w zmienioną bólem twarz Priski. Nie była już piękną i młodą — była cierpieniem.

— Przebacz mi — szeptał błagalnie.

Nigdy nie pozwalał jej Abel dotknąć siebie, pocałować. Tylko patrzeć mogła na niego, gdy stał na estradzie we fraku i grał, spoglądając pogardliwie na tych wszystkich, którzy siedzieli przy stolikach i żrąc pławili się w rozpuście, zepsuci i zniszczeni.

Priska uśmiechała się, jej wargi posłały jego alcom święty, ubóstwienia pełen pocałunek.

— Szczęście — jęknęła.

Czy jemu życzyła szczęścia, czy też sama czuła się szczęśliwą, że umierała dla niego — tak drogo opłacone szczęście ?

Poprzez ciemny i pusty Kurfürstendamm pędziła dalej dzika tłuszcza Berlina, wyrzutki społeczeństwa w poszukiwaniu ludzkiej krwi. Czarnego brata ze wschodu pod nóż !

Rozpętany pogrom, wypędzony z Rosji szalał na ulicach Berlina. Na zachodzie bogaci, na północy biedni. Ale żyd jest zawsze żydem. Po roku kapociarze z Grenadierstrasse siedzieć będą w „Eremitage‘u“. Wyniszczyc ich wszystkich ! Tych bogatych i tych bogacących się !

○ Rozbijano szyby wystawowe i wywlekano ze sklepów towary, które zamieniały się w śmiecie pod nogami sutenerów i nierządnic. Stare kobiety, przykucnąwszy, związywały w tobołki łup.

Jak kruki na pobojuwisku...

Też okropnej nocy nie było widać żołnierzy ani policji. Rząd wyparł się tych, których przyjął poto, by wyzyskać; opodatkował ich, aby uśpić w ułudzie, że żyją pod ochroną. Teraz żydzi byli wolni, jak ptaki. Kto się sam nie obronił, to znaczy : ukrył — był zgubiony.

Abel Adler, na kolanach przed cierpieniem ludzkości, zmiażdżoną kobietą, dogorywającą ofiarą miłości, patrzył w ciemną ulicę, z głębi której dochodziły okrzyki tłumu.

Jego serce dość wielkie, by przyjąć wrogów i zawistników, ścisnęło się, pozbawiając go oddechu i jego daremna miłość zawołała jeszcze za zbrodniarzami :

— Czy chcecie być syci ? ogrzani ? czy chcecie być dobrymi, szczęśliwymi ? Więc kochajcie ! We własnych sercach jest nasz świat zamknięty ! Potrzebna jest wam ofiara ? Oto jestem. Spójrzcie, jak bez lęku oddaję się w wasze ręce : czy tygrys zerwie mnie, jeśli go obejmę ? Kocham was i znam waszą nędzę, sam powstałem z większej niż wasza. Komu wy zazdrościcie ? Tym nieszczęśliwym, którym ja przygrywam podczas gdy piją wino i jedzą ostrygi ? A czy wiecie, że to wino jest gorzkie z samotności ? ostrygi słone od łez ? Pozwólcie, bym wam powiedział, ile to kosztuje śmiać się ! Ile

kosztują te perły na kobiecych szyjach, te brylanty w gorsach? Żadne serce nie jest tak opuszczone, jak to pod temi gronostajami? a czoło pod tym djademem jest blade z cichej tęsknoty, która sprawia większy ból niż głód. Jestem waszym bratem. I ja cierpiełem głód nie mniejszy, niż wy i muszę drżeć przed wami, gdyż wy mordujecie tych, w których żyłach płynie ta sama co i moja krew. I jeśli ja do was przychodzę, więc jest możliwość pogodzenia się. Jam jest żyd Abel Adler, jedyne dziecko starych ludzi. Może zamordowaliście ich tej nocy... I jeśliście ich zamordowali — ja was kocham i proszę: opamiętajcie się i nie wstyďte się waszych serc. Bo jeśli umiecie kochać — istnieje równość i sprawiedliwość. I na tym krwawym progu, między nami i wami będą rosły kwiaty.

Nikt go nie słuchał. Tylko dwie kobiety: Oliva i Priska — żydowska dziewczyna z Lublina — nierządnicą z Kurfürstendammu i panienką z Zurychu, z białego domu nad jeziorem, narzeczona zwycięzcy — obie one widziały, że to serce, które tak pełne było miłości, nie może pokochać jednostki.

Tej nocy, kiedy żydzi musieli się ukryć przed wrogiem, nad Berlinem nie było ani jednej gwiazdy. Uderzenia kamieni i pałek, wystrzały i dzikie okrzyki rozlegały się zdala. Gdyby krzyż był jeszcze pusty — oni ukrzyżowaliby na nim miłość.

Gdy Abel uniósł krwawiącą głowę Priski, na ramię jego opadły miękką falą jej piękne, pachnące złote włosy. Przymknął oczy, po chwili otworzył je i podniósł umierającą. W tej jednej sekundzie przeżył on to, co było jego pierwszym nieśmiertelnym wspomnieniem w jego życiu.

Tam, gdzie Górny Śląsk przeniknięty był polską duszą, gdzie polski wiatr pędził czarny dym z kominów — stało małe posępne melancholijne miasteczko. Wąskie uliczki prowadziły na rynek, gdzie stał ratusz z wartą wojskową, duża studnia i apteka.

Na Tosterstrasse znajdował się sklep Gerszona Adlera. Galanterja, towary krótkie, zabawki, porcelana, biżuterja, rosyjska herbata i cukierki, trochę manufaktury i petersburskie kalosze, wózki dziecięce, lampy naftowe i gazowe. Sklep był wąski i długi, a pośrodku palił się wiecznie drżący płomień gazowy. W wystawie na przodzie, umieszczone były wszelkie artykuły, a drzwi wejściowe były zawieszane pękiem szelek, przyrządów ogrodniczych, długimi fajkami i zabawkami. Na tylnej ścianie sklepu było ślepe okienko, wychodzące na podwórze, pod altaną stały skrzynie, psia buda, hałasowały kury i kaczki. Wszystkie zwierzęta z sąsiedztwa — koty, psy, koza przychodziły odwiedzać swego dobroczyńcę, małego Abła. W tym rajcu dziecięcym

nie spłynęła ani jedna kropla krwi. Pies nie krzywdził kota, kura nie uciekała przed kogutem. Z rąk Abła przyjmowały wszystkie zwierzęta w przyjaznej zgodzie pożywienie i miłość.

Sklep Gerszona Adlera był znany w najdalszej okolicy. Chłopi przyjeżdżali z tamtej strony granicy. Tylko nici od Gerszona Adlera z Oskretscham mocno trzymały przyszyty guzik, tytoń palony z fajek od Adlera smakował jakby był z zamorskich liści, a nie z własnych zbiorów. W dni jarmarczne i targowe zbierał się barwny tłum w smutnym sklepie. Śmiejące się wystrojone kobiety i poważni, lecz weseli chłopci. Wszyscy gwarząc i żartując, oglądali towary, kupowali i płacili za nie ciężkimi pieniądzmi z wielkich woreczków. Mały Abel był przenoszony z rąk do rąk. Jego matka, Mirjam, była pełna lęku.

— Nic się twojemu złotemu dziecięciu nie stanie — uspakajały ją chłopki.

— Daj mi na chwilę tego aniołka — wołała stara Duszałka i wyciągała swe chude ręce.

Śmiejący się chłopiec wędrował z jednej piersi na drugą.

— Ty słodkie dzieciátko! — szeptała bezdzietna Milada Nowak i nie chciała go wypuścić z rąk, huśtała i podawała swemu pięknemu mężowi do pocałunku. Dziecko wczepiało się w jego długi wąs i chwyciło za błyszczące białe zęby. Mirjam pomagała mężowi, przyjmowała pieniądze, rozkładała towary, żegnała odchodzących miłym słowem. Była piękna, miała delikatną białą cerę i duże szare oczy — w czarnej peruce zamężnej kobiety — córka rabina z Lissy.

— Abel — wołała i szukała swe dziecko, które

leżało teraz uśmiechnięte na szerokich miękkich piersiach polskiej kobiety.

Piękna pani — rzekł Nowak — twój syn uczyni wiele kobiet nieszczęśliwemi.

Było to nocą, w marcu tysiąc dziewięćset czwartego roku. Gerszon Adler wyjechał na targi do Lipska i Mirjam była sama w domu. Na poddaszu spał subjekt i chłopiec na posyłki. Służąca miała swe łóżko w komórcie za kuchnią. Zawsze, gdy ojciec wyjeżdżał, wędrował Abel ze swego dzieciennego łóżeczka do wielkiego ojcowskiego łoża, które stało obok matczynego. Na tej dużej, chłodnej przestrzeni gubił się mały człowieczek. I zawsze chciał czekać, aż matka się obok niego położy — lecz nigdy mu się to nie udawało. Rano budził się pierwszy, ostrożnie przelazł do niej i tulił się tak długo do jej ramion aż ją budził. Wtedy ona uśmiechała się do niego, brała lekko do rąk i unosiła ponad sobą, tak że widział jej piękną ukochaną twarz — ojczyznę wszystkiego, co pożądanego i wyśnione.

Tej nocy właśnie Abel przebudził się w ojcowskim łóżku. Drzwi do sąsiedniego pokoju były otwarte; siedziała tam matka z Dawidem Adlerem, najmłodszym bratem męża, który pracował jako buchalter w młynie Gureckiego.

Był to dwudziestoletni młody człowiek z ciężkimi rzęsami dokoła oczu i dużymi miękkimi ustami. Ale nie, on nie siedział obok matki przy stole, nakrytym haftowanym, czerwonym obrusem...

Mały czteroletni Abel usiadł na ojcowskim łóżku i patrzył czułemi, nic nie przeczuwającemi oczyma. Wuj Dawid klęczał u nóg matki. I Abel usłyszał pierwsze świadome słowa życia. Od tych słów rozpoczęła się mowa, którą on mówił. Było

tak, jakgdyby przedtem nie słyszał, by ludzie mówili. Od tych słów począł on uświadamiać sobie życie.

Wuj Dawid rzekł :

— Kocham cię —

Matka nachyliła się nad nim, pogłaskała po głowie, którą złożył na jej kolanach i spojrzała poprzez niego do pokoju, w którym spało dziecko.

— Dawidku — rzekła cicho — Dawidku, biedny, drogi chłopcze, idź, bądź rozsądny.

— Kocham cię —

Już za pierwszym razem brzmiało to beznadziejnie, potem coraz pokorniej i lękliej.

— Kocham cię —

Mały Abel opadł na poduszki i zasnął. Minęło więcej jak dziesięć lat nim ta noc z jej dwoma słowami wróciła do jego pamięci — wypowiedziała je kobieta do nego, także beznadziejnie, klęcząc, gotowa się poddać losowi zanim on go rozstrzygnął.

Tej samej nocy mały Abel przebudził się jeszcze raz. Była taka cisza, jakiej on nie znał i już miał ogarniać go lęk, gdy odkrył, że jest widno. Była to rocznica babki z Lissy, więc matka napelniła szklanek oliwą i maleńki płomyczek oświetlał pokój złotym drżącym światełkiem. Na żółtawej tapecie wisiał obrazek, przedstawiający las, który w tem oświetleniu wydał się Ablowi tak tajemniczym jak nigdy dotąd. Sarna wychodząca z zarośli była jak żywa.

Abel uniósł się szybko, rozejrział się dokoła i przeląkł się. W łóżku obok niego leżała jakaś obca kobieta...

Ujrzał młodą, białą twarz z uśmiechniętymi, otwartymi ustami, okrążoną falą złotych włosów.

<http://rcin.org.pl>

Na poduszce oddychała fala nieznanego obcego morza, pachnąc kwieciem dokoła nigdy niewidzianej twarzy.

Dziecko pochyliło się nad tem nieznanem obliczem i odczuło pierwsze uderzenie męskiego serca. Ale — to była matka... Zdjęła swą czarną perukę i rozsypały się jej złociste włosy. Spała snem człowieka, który jest kochany, uśmiechniętym słodkim snem, co jest jak napój ze źródła młodości, jak napój z tkliwej dłoni Boga...

Po raz pierwszy ujrzał chłopiec zakazane włosy matki. Teraz widział, że matka też jest kobietą, że matka jest jak piękna dziewczynka i ma włosy jak matki innych dzieci, piękniejsze niż jakiegokolwiek inne.

Serduszko Abła zabiło mocniej i szybciej. Złoty płomyczek odkrył mu zmienioną lecz prawdziwą matkę. I dziecko usnęło, wtulone w falę zakazanych, pachnących włosów.

Potem znów opadły ciemności na pewne karty życia. Wiele musiało rozplynać się, lecz następnem wspomnieniem z dawnej przeszłości był pewien letni dzień słoneczny.

Abel wracał ze szkoły; zmęczony pięciogodzinną bezmyślnie natężaną uwagą i nauką, wyszedł bramą dużego szarego domu. Dzieci skupioną i cuchnącą gromadą za nim; wszystkie niosące w ubraniach zapachy zajęć ojcowskich: żelazo, alkohol, pole, szmaty, skóry, śledzie, krowy; po sześcioro ludzi w jednej izbie; wieczysty garnek z kapustą na kominie, króliki przy ognisku, robactwo w łózkach.

Z tej gromady dźwięczały zwykle wyzwiska za chłopcem: „Icek, śmierdzący, szwargocący żyd, morderca Pana Jezusa!”

W bezgranicznym osamotnieniu szedł mały żyd swą drogą. Inni uczniowie - żydzi kryli się do czasu odejścia wrogów, wykupując się cukierkami, stałówkami, oddając im swoje śniadania wszystko za odrobinę spokoju i przyjaźni. Ledwo poruszając ustami modlił się swą pierwszą hebrajską modlitwą: „Boruch Ato Adonay...” i zagłębił się w siebie, zagłuszając modlitwą dochodzące do niego wyzwiska.

Nie mieli odwagi go dotknąć. Z ukrycia docho-
dziły do niego wymysły: „Icek, żyd“, gdyż raz,
kiedy jeden z chłopców był blisko, obrócił się
Abel, schwycił go, większego, silniejszego, rzucił
o ziemię i z zaciśniętymi zębami, jak zbudzone
zwierzę, bił wroga.

Wszyscy rzucili się na niego. Sto jasnych
bestyj zwyciężyło czarnego człowieka - wybrańcę,
zdarto z niego odzież. Nauczyciele stali w oknach,
śmiejąc się. Jeden, jedyny tylko wyszedł nazew-
nątrz, szczupły, blady młody człowiek, oderwał
zezwierzęconych od włosów ofiary i wziął zdeptane
dziecię na ręce.

— Panie nauczycielu — wymamrotał chłopiec,
krwawiąc z uszu, nagi i posiniaczony — to ja ich
rozdrażniłem.

Seweryn Gurassa niósł go przez przedmieście
na Tosterstrasse. Gdy go ludzie zatrzymywali za-
pytaniami, odpowiadał: „Wasze dzieci!“

Mirjam Adler skubała kurę w altanie. Pozo-
stała spokojna i cicha, wzięła na ręce nieprzytomne
dziecko i tuliła do piersi. Na jej skamieniałej twa-
rzy czytał Gurassa przeszłość i przyszłość żydow-
skiego narodu. Jej spojrzenie pełne niewypowie-
dzianej miłości mówiło: „Tylko tu, na tem sercu,
spokój dla ciebie, moje życie, moje dziecię. Wszę-
dzie gdzieindziej tylko polowanie na ciebie, rzuca-
nie kamieniem, nienawiść, przekleństwa i gwałty.
Nie opuszczaj mnie nigdy“.

Gerszon Adler, biały jak śnieg, był milczący.
Przyniósł wina dla nauczyciela, lecz ten wlał go
w usta dziecka i poczerwieniał, gdy Mirjam poca-
łowała go w rękę. Pokiwał głową: „Jam też wi-
nien, pani Adler“.



Następnego dnia stał Gerszoł pod koniec lekcji przed szkołą. Gdy chłopcy wybiegli, a za nimi dziewczynki, które wczoraj podniecone, przyglądały się widowisku, zacisnął pięści nad blond głowami i zawołał :

— Kości wam połamię, przekleci, jeśli jeszcze raz dotkniecie się mego syna. Byg was ukarze za wasze grzechy. Niech chwasty rosną przed drzwiami ludzi, którzy takie płodzą dzieci.

Seweryn Gurassa położył mu dłoń na ramieniu i oddalił się z nim. Teraz pobiegli za nim wykrzykując słowa, które miały być przekleństwem i wstydem.

Lecz rabbi Lewinson wieczorem podczas modlitwy rzekł : „Żyd jest zaszczytnem mianem. Gdy ktoś woła tem imieniem za wami, podnieście wyżej czoła i pamiętajcie : jesteście narodem wybranym przez Boga. On wystawia nas tylko na próbę; musimy wytrwać. Niech 'klną. Kto pograżył się w niesprawiedliwości, traci swą moc. I gdy wam plwają w twarz : wyśmiejcie ich i powiedzcie : to mnie nie szkodzi, lecz poniża tylko ciebie. I kiedy wyciągają do was pięści, nie próbujcie oddać ; spróbujcie pokochać. Kto umie miłować, jest mocniejszym. Wierzcie mi, moje dobre dzieci. Postępujcie tak, jeśliście nawet jeszcze nie zrozumieli. Ja wiem. Będziecie nienawidzeni, boście lepsi. Lecz dajcie dowód, żeście lepsi, dajcie dowód waszej wyższości. Miłość jest silniejsza niżli nienawiść i miłość piękniejsza i uszlachetnia. Miejcie cierpliwość, moje drogie dzieci, cierpliwość i wyrozumiałość. Nawet dla wrogów. Tak chce Bóg“.

Wszyscy kochali rabbi Abrahama. Podczas wielkich świąt, siedł Abel, który jeszcze nie mógł

być razem z mężczyznami, z matką do bóżnicy na małą galerję, gdzie siedziały kobiety w czarny jedwab odziane, ciężkimi złotymi łańcuchami obwieszane, w swoich surowych perukach, z łagodnymi miłemi oczami. Tam siedział przytulony do chłodnej sukni Mirjam, pojąc się jej zapachem, jak niegdyś pokarmem. A z głębi brzmiały mistyczne modlitwy ojców, śpiew kantora, miękki piękny głos rabbi Abrahama. Wewnętrzny wzrokiem widział obrazy, których nie rozumiał. Odczuwał czystość, ascezę, boskość starej wiedzy, odczuwał całe wyrzeczenie, oddanie i opanowanie, które musi przyjąć na siebie, żeby być żydem i należeć do narodu najbardziej przez Boga umiłowanego.

Był więc ten pamiętny jasny dzień słoneczny lata 1907 roku, gdy Abel opuszczał szkołę. Nie długo zlorzeczyli mu dzisiaj, gdyż wszystko, co było dzieckiem w mieście, było w najwyższym podnieceniu. Cyganie obozowali w polu obok drogi; od trzech dni chodziły jaskrawo ubrane kobiety od domu do domu wróżąc, proponując napoje miłosne, koronki i hafty. Mężczyźni po ulicach chodzili z drutem, siadali na progach drzwi do naczyń, pobudzając żrebięta na jarmarku do biegania przed kupcami. Dzieci w czerwonych płachmanach, wyjątkowo piękne o długich włosach, zebrały, tańczyły, uderzając w cymbałki. I wszyscy ostrzegali swe dzieci, chłopców i dziewczynki, przed cyganami.

Lecz mały Abel, podówczas siedmioletni, drżał z ciekawości na widok tych ludzi. Nie wiedział i nie rozumiał, że to czar dalekich krain, otwartego świata go pociągał. Znów dusza jego rozwarła źrenice. Dwie siły już odkrył. W życie dziecka już weszły: miłość! żyd! Teraz wstępował w niego świat

daleki, ziemia szeroka, swoboda, szczęście istnienia.

Ostatniej nocy znów się zbudził. Było straszliwie gorąco w pokoju, rodzice spali, a na dole, na ulicy ożyło to, co było najdziwniejsze i najczarowniejsze dotąd w jego życiu. Jedno tylko zrozumiał natychmiast: że to tylko mogli być cyganie, od których ten dziw pochodził. Grały skrzypce. Nie rozumiał co to brzmiało. To były pierwsze skrzypce, które słyszał. Jakiś cygan szedł ulicą, grając. To nie był przypadek, lecz głęboki związek wszystkiego, co się potem stało, że cygan Horwath właśnie pod tem oknem stanął, będąc pijanym i w zapomnieniu grał.

Teraz o północy nie było nikogo na ulicy. W Oskretscham nie wiadano o istnieniu świata lub człowieka między wieczorem, a rankiem. Horwath zatrzymał się grając. Grał tylko wtedy, gdy był pijany, lecz wtedy grał tak, jakgdyby tworzył tony z wyższego nakazu. Jak gdyby przemawiało to, co w człowieku jest boskie i nieme. Zwykle nie grywał już wcale od śmierci syna.

Syn jego nazywał się Ambros. Grając na swych małych skrzypkach, zatopiony w piosence, którą tworzył z duszy, szedł szosą, nie słysząc, że za nim jedzie na polowanie zarządca. Krzyknął na chłopca, lecz ten słyszał tylko własną piosenkę. Wtedy poprostu przejechał poprzez niego gwałtowny pan.

Nazajutrz leżał tam z przestrzeloną głową. Niczego nie można było dowieść Horwathowi, musiano go uwolnić. Lecz cóż to pomogło, gdy jego mały chłopiec był martwy. Zgnieciony, zmasakrowany, leżał w pyłe drogi, tylko jego małe skrzypki oca-

<http://rcin.org.pl>

ały. Wyciągnął rękę ratując je — przez rękę przebiegły konie i koła.

Teraz stał stary Horwath na Tosterstrasse w Oskretscham i grał : moje słodkie ukochane dziecko, Ambrus, mój aniele, czy wiesz? czy wiesz jeszcze? Ja płacę za tobą, twoja matka wypłakuje sobie oczy za tobą ; raz szedłeś drogą grając i na jedną tylko chwilę Bóg się odwrócił, przyszedł wielki pan i...

Mały Abel wstał, prześlignął się do okna. Stara znajoma ulica wydała mu się w świetle księżycy zupełnie obcą, małe domki, ciemniejące w dziwnem oświetleniu wyglądały jak zaczarowane. Muzyka płynęła niewidocznie z tego zaczarowanego świata. Skrzypek stał oparty o drzwi.

Przeznaczenie pociągnęło chłopca. Boso, w koszuli, bojąc się ciemności wyskoczył z pokoju, przez wąskie schody zeszedł na dół, klucz tkwił w zamku. Przekręcił go i otworzył. Mężczyzna ze skzypcami podskoczył ku niemu. Klęknął : nie przestając grać począł się uśmiechać i Abel wyciągnął ramiona ku pijanemu, i gdyby mógł zrozumieć i wyrazić swe myśli, rzekłby, że to stworzenie grające jest Bogiem. Tylko w niebiosach bywa taka błogość.

Drżąc wyciągnął ramiona. Horwath opadł na próg i przyciągnął dziecko ku sobie.

— Ambrus ? — wyszeptał. Pytał dziecko, swe serce, pytał Boga, pytał śmierć. Włożył dziecku do rąk duże skrzypce, których ono nie śmiało dotknąć. Dzikie drżenie przebiegło małego człowieka. Muzyka zabrzmiała w nim, wszystkie struny ozwały się tak rozgłośnie, że omdlały opadł na ręce cygana.

Ten przycisnął go do siebie i poszedł. Szli przez miasto, przez przedmieścia, na drogę. Tam

na polu, koło małej rzeczulki, stały namioty, wozy zadumane o małych błyszczących okienkach. Konie pasły się opodal i tylko odgłos skubanej przez nich trawy słyhać było w nieskończonej ciszy. Nad wieżą starego kościoła świecił księżyc.

Na schodach jednego z wozów siedziała kobieta. Gdy mężczyzna z dzieckiem na ręku podszedł, wstała. Z daleka już wyszeptał kilka słów, płacząc. Z głośnym okrzykiem zabrała mu dziecko, pokrywając je pocałunkami.

— Ambrus, Ambrus — jęczała, śmiejąc i płacząc naprzemian.

Lecz Abel tylko ciągnął do skrzypiec. Nie słyszał jak oboje gorączkowo rozmawiali, nie rozumiał zresztą ich języka. Płacząc ukłękła kobieta przy nim, całowała mu ręce i nogi i wołała, popychając męża. Wszedł do wozu, a po chwili wrócił, niosąc małe skrzypce, zawinięte w jedwabną chustę. Była cała czerwona, brzegi błyszcząco białe. Włożył je małemu w ręce. Jego palce prowadziły rączkę dziecka. Abel wziął smyczek i pierwszy ton jego życia, pierwszy oddech jego muzyki, pierwszy wyraz jego duszy rozbrzmiał w nocnej ciszy.

Wtedy się ocknął. — Mamuśka — zawołał, odrzucając skrzypce i znów je biorąc do rąk. — Mamuśka — i znów przesunął smyczkiem po boskich strunach. Sam spłynął w tym dźwięku. Wszystko przeczuwane w życiu rozkwitło. Wszystko zawarło się w tym dźwięku. Świat cały i księżyc i pola i lasy i horyzont cały.

Już zaczynało świtać, gdy żona Horwatha, płacząc i jęcząc zaniosiła dziecko do miasta z powrotem. Mąż opisał jej ulicę i dom. Lecz ona znalazła sklep Gerszona Adlera.

Nie spotkała nikogo. Ptaki zaczynały już śpiewać w starym parku, gdy przez niego biegła. Może już zaalarmowano policję. Przed drzwiami domu stała matka Mirjam. Nie zbudziła Gerszona, oszczędzając mu każdą chwilę i godzinę spokoju. Stała czekając. Bóg Wszechmogący nie mógł jej opuścić i ukarać. Za co? że go mniej kochała jak męża i dziecko? Patrzyła w górę ulicy, skąd on musiał wrócić, zaginiony Abel.

I wrócił. Cyganka przybiegła bez tchu, rzucając się do nóg kobiecie i podając śpiące dziecko. Trzymał małe skrzypki, tuląc smyczek do siebie. We śnie wyglądał poważnie, staro i zamyślony.

— Boże błogosław go wam, pani! Sławę i zaszczyty, bogactwo przyniesie waszemu domowi i nazwisku. Przebacz nam, droga gołąbko, złota mateczko, miej litość i nie oskarżaj nas. On się zasłuchał w Horwatha piosenkę. To jest mój mąż, ten Horwath. I spójrz na tego aniołka. Wygląda zupełnie, jak mój Ambrus, moje zamordowane dziecko, stratowane końmi, połamane kołami. Podarowaliśmy mu jego skrzypki. Nasz cały majątek. Zostaw mu je gołąbko, on będzie przez nie mistrzem, jak Ambrus miał nim przez nie zostać. Ach, cóż za śliczną matkę ma to słodkie kochanie! Opowiedz mu kiedyś o starej Ilonce. Dwie matki ma twoje dziecię! Będę się zawsze za niego modliła. Jak się nazywa on, gołąbko?

Mirjam położyła go do łóżka, trzymał mocno skrzypki. W najgłębszym pogrążona strachu, podczas gdy dzień wschodził, uklękła przy jego łóżku.

— Abele — szeptała — Abele, moje dziecię, moje życie. Bóg cię pobłogosławi, złóż wszystkie

swoje cierpienia na moje barki. Niech twe troski na mnie opadną i wszystkie kamienie, które On tobie przeznaczył, niech trafią we mnie. Spij, moje ukochanie, moje życie. Słodka ma źrenico, com ja wycierpiała przez ciebie! Bóg Wszechmogący pomoże mi udźwignąć, co mi przeznaczył.

Przeznaczenie nakreśliło Ablowi zarys jego życia. Kto byłby to pojął, mógłby zbudować cały gmach jego przyszłości.

W dziesiątym roku stulecia, ukończył Abel dziesięć lat życia. Cierpiał męki szkoły ludowej, znęcanie kolegów, gdyż oni nigdy nie zmęczeni się używaniem siły.

Lecz było jedno schronienie: Muzyka. Tam kończył się świat i zaczynał się boski majestat.

Seweryn Gurassa udzielał mu lekcji, ale nie umiał więcej jak wodzić smyczkiem i dobierać melodie; lecz to wystarczało jego uczniowi. Wszystko inne wydobywał zagadkowo ze siebie. Tworzył wieczyste melodie natury. Grał pod drzewami, na polach, łąkach, na brzegu rzeczulki i wszystko, co się mieści żywego i boskiego w duszy spływało z jego małych skrzypiec. Grał jak cygan, wydobywał natchnienie podniosłych chwil, szept życia i świata, wyśpiewywał ukryte znaczenie rzeczy, które go wzruszały. Ukrywał swe granie nawet przed Gurassą. Wszyscy mogli słyszeć tylko jego ćwiczenia, sonaty, melodie z nut. Resztę grał tylko dla Boga.

W miasteczku był krawiec żydowski, przybyły z Lublina. Samuel Lubliner: żona wniosła mu w posagu swe małe dziecko, urodzone w Teplitz pod-

czas tego, gdy była tam na posadzie kucharki — małą Priskę. Była to najpewniej córka chrześcijanina. I kiedy matka się czuła czegoś winną lub odczuwała nienawiść, całą swą wściekłość wywierała na dziecku.. Samuel Lubliner, któremu nie było sądzonem mieć własne dziecko, kochał czule małą Priskę, lecz nie miał odwagi przyznać się do tego. Wieczorami siadywał przy jej łóżku i opowiadał jej bajki.

— Jak będziesz duża, odjedziesz do wielkiego miasta z wspaniałymi domami i bogatym państwem. Wtedy, dziecinko, przyjdzie jakiś książę i ciebie zobaczy i — Boże Sprawiedliwy — powie on, jeszcze nigdy takiej piękności nie widziałem. — I ożeni się z tobą i osypie cię perłami i djamentami.

Priska nie zasypiała długo. Drżała. Perły chłodziły jej piersi, djamenty ciążyły jej w uszach, atlasowe suknie wlokły się za nią.

Po południu biegła za Ablem za miasto.

— Słuchaj — szeptała — jak będę duża, pojedę do miasta i książę mnie poślubi. I perły i djamenty... — lecz wtem spostrzegła się. — Tak, lecz ty? Ja chcę ciebie poślubić. — Wpadała w zamyślenie; tymczasem Abel, uśmiechając się, szedł dalej. Dogoniła go. — Czy nie chcesz mnie poślubić, Ablu?

On krzyczał na nią: „Cicho bądź, głupia. Nie mam wcale czasu. Weź swego księcia. Teraz odejdz.”

Skryła się w krzaki. Abel otwierał pudło. Na błękitnym aksamicie leżały małe skrzypki. Gdy je brał do rąk, świat znikał mu z przed oczu. Był wrzesień. Wszystko co było dokoła: łąki, rzeczka, niebo, złote liście, głosy ptaków, wszystko znikало mu z przed oczu, wracając jako melodie, rytm. siła i słodycz. Dziewięcioletnia Priska leżała w zaroś-

łach. Nagle wybuchła dzikiem łkaniem, gryzła sobie ręce, darła się za warkocze, biła głową o drzewo, krzycząc w przerażeniu — Abel, Abel ! Dziecko odczuwało straszliwe wydarzenie : człowiek zbliżał się do Boga, oddzielając się od ziemi, spoglądał na świętą tajemnicę.

Lecz inni byli niewysłowienie głusi, właśnie ci, od których uciekał. Banda ukrytych wyrostków napadła grajka.

— Moje skrzypce — zawołał chłopiec. — Moje skrzypce...

Upadły, rzucone w powietrze, błyszcząc miodową żółtością. Priska znalazła je i porwała, krzycząc, wyjąc jak rozpętana kobieta. Rzucono się za nią. Pobiegła. Swemi długimi smukłemi nogami pędziła lotna jak wiatr. Zostawiono ją. Tu pozostała ofiara. Nie mówiono nic. Zagadkowa — ach nie ! zrozumiała chęć zemsty, wieczysta nienawiść prostaka ku czystości, wściekłość małych ku wielkim wybuchła. Przynieśli sznury ze sobą; coś się ma stać. Czyż ma być Abel powieszony, na tem drzewie, którego niewysłowioną duszę wyśpiewywał swemi małemi skrzypkami ?

Wtem jeden wśród nich wpadł na iście djabelski pomysł. Był to Karol Ehrsam, syn kobiety, która myła umarłych. W pobliżu leżała belka drzewa.

Abel nie słyszał co przygotawali i postanowili. Nogi i ręce miał związane. Tak mści się ludzkość rad tymi, co ją przerastają, którzy wskazują jej ideał piękniejszych i wyższych możliwości, lecz czego człowiek dosięgnąć nie może, nie pozostwia na wyżynie, ściąga ku sobie w dół. Nie znosi on ideału nad sobą. Czyż istniałby Bóg, gdyby go mógł dosięgnąć człowiek ?

Abel ujrzał niebo nad sobą, niebiański błękit, świętą dal. Białe obłoki, których nieskończoność tylko muzyka może wypowiedzieć, spoczywały szczęśliwe i nieruchome. I zaczęło tak tkliwie i gwałtownie dźwięczeć. Później, po wielu wielu latach, gdy po raz pierwszy usłyszał finał piątej symfonji Brucknera — boskość wschodzącą nad szarmonizowanym chaosem, jej wkroczenie w skończone już i stworzone dzieło — przypomniał sobie Abel to królestwo, w które wtedy spoglądał. Lecz tam było zaledwie dzieło Brucknera, które tylko echem Narodzin Boga było.

W nieprzytomnej nienawiści, wrogowie jego wzięli dwie belki i związali na krzyż. Nie mieli gwoździ ni młotów. Niedokładnie naśladując Wielki Przykład, wzięli żyda i przywiązali go do krzyża. Na każdym z ramion krzyża jedna ręka, nogi złożone na podstawie. Nie zapomnieli go obnażyć. Cierniowy krzak rósł w pobliżu i dziecko dostało cierniową koronę Zbawiciela.

— Żyda na krzyż! — wrzeszczała gromada.

Ośmju chłopców odmalowało dokładnie: mściwość, zazdrość, nienawiść, okrucieństwo, tchórzostwo, chytrość, złość i niepokój; byli zastępcami i wyrazicielami całej ludzkości, całego świata, który powstawał przeciwko genjuszowi. Plwali w twarz zawieszonemu na krzyżu, oparli go o drzewo, które wyżej, daleko wyżej stało od człowieka, uderzali pasami w dziecienną pierś, w dziewczęce lędźwie. Wysztydzali dziewiczy wstyd, oznakę żydostwa. Ich pyski ociekały wyzwiskami.

Ukrzyżowany uśmiechał się...

— Mamuśka — wyszeptał, lecz nie było to wołanie o pomoc. Jemu pomoc nie była potrzebna.

Uniosły i kołysały go fale muzyki, nie wisiał na żadnym krzyżu.

Ponieśli go. Dokąd? Śpiewając pomaszerowali brzegiem rzeczki Klodnitz. Straszliwa była piosenka o wszystkich żydach, którzy muszą być ukrzyżowani, jak Pan Jezus, o wszystkich żydach, którzy muszą być wytępieni, jak robactwo. Czemuż istnieją dźwięki dla takich słów i słowa dla takich życzeń?

— Dajmy żydowi popływać — zawołał Karol Ehsam. I już frunął w powietrze, rzucony szesnastoma rękoma i z pluskiem uderzył o wodę, zanurzył się, wypłynął i teraz niosła go litościwa rzeczulka, lekko kołysząc, precz od oprawców.

Łagodziła ból związanego ciała, krwawiących skroni, zmyła cierniową koronę i opłókała wargi. Lilje wodne nakryły ukrzyżowanego, sitowie nuciło mu piosenkę głębiny, słońca i nocy.

Lecz gdy Abel podrzucony w górę opadł — zakrzyknął. Zakołysał się gwałtownie i stracił przytomność, pogrążając się w szczęśliwym mroku. Oprawcy rozbiegli się, dzieło było skończone. Nie widzieli, a mały żyd już nie czuł, jak dobre fale Klodnitz wyrzuciły krzyż na brzeg. Wyniosły i ułożyły go na piasku i trawie w cieniu krzaków i olch, pluskając i szumiąc, aby rozbudzony miał spokój radosny.

Podczas tego mała Priska pobiegła do Mirjam. Matka popędziła przez miasto. Samuel Lubliner, widząc biegnące, pobiegł za nimi. Priska na przedzie. Zapukała do drzwi rabbi Abrahama. — Ratujcie go! ratujcie go! Oni go zabiją! — Rabbi pośpieszył, a za nim jego o wszystkim myśląca i przezorna żona z flaszeczką mocnego wina. Nikt nic nie wiedział — wszyscy się domyślali. Chrześcijanie do-

łączyli się, chcąc po bratersku biedz razem z żydami. Lecz zniknęli zawstydzeni, czując się współwinnymi. Tylko Seweryn Gurassa, pogrążony w czytaniu na Promenadzie, pośpieszył za Mirjam i został.

Matka była pierwszą. Serce bez błędzenia popchnęło ją do olch. Już przyklękła : Noża ! — zawołała straszliwie spokojna. Rabbi rzącał pęta. W bezgłośnem milczeniu wszyscy pochylili się. Lecz słaba matka sama podniosła swe nagie dziecię. Nie było jej cięższe, niż w dniu urodzenia. Ach, czyż nie rodziła codziennie na nowo ? W coraz większych bólach ? Coraz bardziej szarpana ? Coraz beznadziejniej ?

Seweryn Gurassa podniósł krzyż.

— Postawcie go w synagodze — zawołał w uniesieniu. — Niech wam przypomina ciągle.

— Nie chcemy pamiętać — powiedział rabbi Lewinson. — Oddamy ten krzyż jakiejś wdowie, niech się zimą przy nim ogrzeje. Tak wraca wszystko z powrotem do Boga. Zostawmy Mu, który jest błogosławiony, zapłatę i karę. Ukryty jest wśród ludu, lecz kiedy znów ukazuje swe oblicze jest Sprawiedliwością. Bądź błogosławiony Panie wieczysty Izraela.

Mirjam Adler niosła swe nagie dziecię. Gdy się uśmiechało, krajało jej się serce. Nie ośmielała się je pocałować. Zdawało jej się świętem, święte cierpieniem i niosła je jak Torę. Lecz mimo to nie mogła się modlić.

Głucho kroczyła za nią cała gmina, skupiona jak w poczuciu niebezpieczeństwa.

Gerszon Adler szedł przedmieściami im naprzeciw. Miasto pełne było pogłosek. „Ukrzyżowali ja-

kiegoś żyda“. Jemu oddała matka dziecię : najwyższy dowód miłości.

Ulice były opustoszałe. Wszyscy czuli się współwinni, ukrywali się, oszczędzając sobie spotkania z żydami, którzy swego małego ukrzyżowanego nieśli do domu.

Mirjam klęczała przy łóżku, stary doktor Veilchenstein siedział i spoglądał w oblicze dziecka, które czerwieniało z gorączki. Abel zaczął jęczeć.

Gerszon Adler u stóp dzieoka, jęczał razem z nim. Modlił się, kiwając głową. Nic nie rozumiał, lecz wierzył.

— Doktoreczku — szeptał — jak pan myśli ? czy on, broń Boże, może się rozchorować ?

Veilchenstein kiwał głową. Czy słyszał ? Patrzył w to dziecięce oblicze, oblicze żydowskie, piękne i czyste, jasne jak wieczorne niebo nad Palestyną. Dziecię — lecz usta jego mądre cierpieniem dwu tysięcy lat, a w rozwartych oczach maluje się historia wieczystych cierpień, nieśmiertelnych, tak tak długo, jak żyd żyje.

Miasto powstało ciche. Chrześcijanie ukrywali się. Żydzi modlili się w synagodze, a przed wszystkimi rabbi Abraham. Kamień wpadł przez okno i uderzył w zasłonę Tory. Rabbi cichy, przygnębiony, podniósł kamień do góry i podczas gdy inni zgromadzeni mężczyźni krzyczeli, szeptali zgarbieni, wznosił go ku Bogu i błagał Wszechmogącego, żeby oświecił dusze i oczyścił serca. Wyższy chrześcijaństwo płynął z hebrajskich modłów.

Mirjam czuwała. Usłyszała skradanie się po schodach. Obok siedział Gurassa i czekał, aby matkę w czuwaniu wyręczyć. Spojrzała gdy uchylał drzwi.

Karol Ehrsam wpełził — nie można tego nazwać inaczej. — Tchórzliwe zwierzę przezwyciężyło się. Spojrzenie jego ofiary nie opuszczało go i oświeciło jego serce.

— Jam to uczynił — wyszeptał — czy musi on teraz umrzeć ?

Matka nie spojrzała nawet na niego, gdyż w tej chwili dziecię otwarło oczy.

— Mamuśka — westchnął i uśmiechnął się w gorączce. — Mnie nic nie jest. Idź spać, mamuśka.

Mirjam Adler nie płacze nigdy...

Odsunęła Karola Ehrsama precz ręką, która ze wstretu zdrętwiała. Lecz w tej chwili wyrzekł Abel jasnym głosem :

— Dzieńdobry Karolu, czyś przyszedł mnie odwiedzić ? Dziękuję.

Ten spojrzał na niego.

— Lecz teraz musisz niestety odejść, Karolu. Nie mogę dziś rozmawiać więcej — —

Matka pochyliła się nad nim.

— To on był, Abele, moje życie, to on.

Oblicze leżącego stało się niespokojne.

— Nie, mamuśka, nie. To nie był on. Nikt nie był. Błagam, nie pytaj. Nie szukajcie.

Seweryn Gurassa podsunął mu lekarstwo. Abel przymknął oczy...

Żydzi nie oskarżali i nie skarżyli chrześcijan. Udawali jakgdyby żadnej winy ani zbrodni nie było.

Koło Bożego Narodzenia Abel wyzdrowiał. Podczas długich tygodni choroby wyrósł, lecz wychudł i przybladł. Spoglądał pogodnie i poważnie, jakgdyby mało spostrzegał co się wokół niego dzieje.

Gerszon i Mirjam Adler wiele wieczorów naradzali się. I dobry Gurassa często siedział przytem. Nareszcie zdecydowano, że Abel pojedzie do Berlina, do wuja Dawida. By dłużej nie pozostawał tu, gdzie gorzkie wspomnienia zabierają mu siły i każdego dnia mogą się wznowić katusze. Gerszon Adler chciał sprzedać swój sklep, a potem wszyscy razem zamieszkają w dużym mieście.

Zaraz po Nowym Roku zawiozła Mirjam swe dziecię do stolicy. Wiedziała, że może je powierzyć swemu szwagrowi, który był nieżonaty. Wierniej nie mogła by go nawet sama ustrzedz.

Abel stał w oknie wagonu. Zaczęły mu znikać kolejno wieże kościoła, domki przedmieścia, stare drzewa promenady, łąki, na których obozowali cyganie. Tam stał jakiś chłopiec i patrzył za coraz bardziej oddalającym się pociągiem. Był to Karol Ehrsam. A Priska Lubliner stała obok Gerszona przy drodze kolejowej i długo tak stali obok siebie, choć pociąg już dawno zginął im z przed oczu.

Dziwne, tajemnicze i niemiłe jest życie. I głębiej odczuwają jego słodycz dzieci niż rodzice.

— Abele — pytała Mirjam, drżąc — Abele, mój ukochany, czemu płaczesz? Będzie ci u wuja Dawida dobrze i będziesz grał na skrzypcach i będziesz chodził do pięknej szkoły, i zobaczysz dużo ludzi, moja żrenico. — Masz tu chusteczkę, nie płacz, moje życie, twój płacz rozrywa mi serce.

Pudło ze skrzypcami leżało obok niego. Teraz znikł mu z przed oczu ostatni komin, świat zrobił się obcy, wielki i bardziej wrogi. Ach, on musiał płakać. On kochał jeszcze to, co mu ból sprawiało. Teśknął, ledwie oswobodzony, do pęt, które kochał, gdyż nawet one były częścią świata, który

kiedyś będzie należał do niego. I obawiał się nieznanego dlatego, że wszystko co było nieznanie, czarowało go i niepokoilo. Oddawał się wszystkiemu bez zastrzeżeń. Chciał się wcielić we wszystko. Nie mógł kroczyć po powierzchni, musiał się pograżyć we wszystko. Był żydem.

Obok niczego nie mógł przejść, nie biorąc udziału. Co krok cięższe było życie. Lecz przez ciężar ten odczuwał je. Dwa tysiące lat dźwiga go żyd na ledwo zgiętych ramionach i jego wolnością jest to, że go dźwiga. Jego szczęściem, że ducha ciężaru pojął; jego wybraństwem, że ciężar ten dźwigać musi.

Matka ocierając łzy dziecka, dostrzegła, że się uśmiechało, jakgdyby nigdy nie płakało.

Na Münzerstrasse w Berlinie w pobliżu placu Alexandra, niedaleko od dworca i hal targowych, gdzie w czarownym kręgu obejmowały żywe miasto bary, kłna, koszary, kościoły, synagogi, olbrzymie kilkopiętrowe domy handlowe i mieszkalne, stare baraki, niezliczona ilość sklepów, restauracji i piwniarni — na tej Münzstrasse znajdował się sklep z konfekcją męską Dawida Adlera. W każdym prawie domu był taki sklep, gdzie sprzedawano koszule, kapelusze, krawaty, skarpetki, szelki, bieliznę, fantazyjne kamizelki, pyjamy i pantofle. Wszyscy robili dobre interesy, gdyż dzielnica ta pełna była młodych ludzi: subjektów, biuralistów, robotników, bezrobotnych, sutenerów, cudzoziemców, którzy szukali tu szczęścia i tysiocy pracowników.

Na ulicy tej było wszystko, czego tylko człowiek mógł potrzebować: meble, rowery, bielizna, ubrania, delikatesy, wędliniarnie, wyroby żelazne, fryzjerzy, piwiarnie, owoce i jarzyny. Wszyscy młodzi ludzie ubierali się elegancko. Ich dziewczęta kupowały im płomienne krawaty i kolorowe koszule, świecące się jedwabne szaliki i jasne kamizelki.

Dawid Adler miał najpiękniejsze okno wystawowe. Znał się na tej sztuce. Dekorował je, mając zawsze na względzie dobór kolorów i ładne ich zesta-

wienie. Co tydzień, w niedzielę popołudniu, siedział on za opuszczoną żaluzją w wystawie i urządzał nową dekorację. Jednego razu na całej przestrzeni tworzyły błyszczącą zasłonę stopy krawatów: białe, zielone, szare — z jednej strony przechodziły w ciemny granat, z drugiej w purpurę. Jak zwiędły liść błyszczał kolor żółty wśród jedwabnej czerwieni. Innym znów razem stopy koszul od najjaskrawszych do śnieżnobiałych zajmowały całą przestrzeń. Wielkie szyldy — czarne ze złotym — obwieszczały nazwę tego przybytku szyku i gustu: Klub angielski. I aby młodzi ludzie nie przestraszcali się pozornie kosztownej elegancji sklepu, w oknach i przy wejściu były umieszczone dyskretnie, lecz łatwe do spostrzeżenia plakaciki w czerwonym kolorze z amerykańskimi napisami: tu kupicie zawsze lepiej i taniej, niż u najtańszej konkurencji. Albo: dobry gust nic was nie kosztuje. Albo: najważniejsze — to tania kalkulacja.

Dawid Adler miał bardzo liczną klientelę. Od rana do wieczora panowało w sklepie ożywienie. Abel umiał całymi godzinami siedzieć w kącie, który graniczył z mieszkaniem za sklepem i przypatrywać się.

Gdy tańki mały człowieczek przyjeżdża z prowincji do Berlina, cierpi na zawrót głowy, tembardziej, że nie była to spokojna dzielnica, gdzie Abel mieszkał, lecz samo serce olbrzymiego miasta. Było czemś tak niezwykle przeżywać tę pełnię istnienia, że zapomniał on o wszystkim, co było przedtem. Matka wróciła do rodzinnego miasteczka i pozostawiła go tutaj. Ale gdy z ciężkim sercem schodził on ze stopni dworca na placu Alexandra, trzymając za rękę stryja Dawida i wszedł w to

najruchliwsze centrum o najbardziej ożywionej dziesiątej godzinie wieczorem, Abel już wszystko przebolewał. Jak gdyby każda pora skóry była zmysłem, który wchłaniał w siebie. Jak gdyby przez te dziesięć lat swego życia tęsknił i głodny był wielkiego miasta. Zagadkowe, w jaki sposób to dziecko ghetta żydowskiego małego miasteczka — tak dobrze się poczuło w tym olbrzymim mieście; odżył w jego zepsutem powietrzu, był zachwycony tym pulsem bezsennej gorączki.

Abel miał dopiero po Wielkiejnocy pójść znów do szkoły, więc miał przed sobą trzy wolne miesiące. Stryj Dawid pozwalał mu robić, co chciał. Tylko w południe, o pierwszej, musiał być punktualny. Szli obok do knajpy „Czarna dżungla“ na obiad. Nie do zbadania było skąd ta nazwa, może dlatego, że w obydwóch pokojach było zawsze ciemno i zapęlniał je zapach zgnilizny.

Abel włóczył się po brudnych ulicach północnych. Była łagodna zima. Jeśli śnieg padał — natychmiast topniał. Niestety z wolna padał deszcz. Berlin był pełen czaru. Tysiące światła lamp, reklamy świetlne na dachach, latarnie samochodowe, oświetlone okna wystawowe odbijały się w błyszczącym asfalcie. Ponad dachami niebo płonęło czerwienią. Ludzie przesuwali się obok siebie szybko, milcząco. Nastrój był ciężki i przygniatający. Wszystkie twarze blade. Te setki tysięcy oczu! Jaka okropnie tajemnicza wspólnota z obcym! Tu nie było się dzieckiem. Człowiek się czuł jednym z niezliczonych. Życie płynęło szybko i było tak bogate; darowało wszystkim wszystko bez wyboru. Trzeba było tylko brać. Abel, który skończył jedenaście lat, postanowił brać. Patrzył i poznawał; już

zbliżał się czas, kiedy z chłopca wylamywał się mężczyzna, kiedy poznanie szło razem ze zmianami cielesnymi. To, co miał jeszcze wspólnego z dziewczęcością, zatracalo się. Gładka skóra wypuszczała włosy. Wewnętrzne soki przyśpieszały tętno krwi i wywoływały dojrzałość. Wargi nabrzmiewały i pragnęły — czego?.. czego?.. Tęsknota powiększała się. Każdy człowiek oddychający ciepłotą — był pociągający. Kobiety, dotąd nie widziane, wywoływały atmosferę odurzającą.

Całe życie do najmniejszych szczegółów było nowe. I Abel przystosował się do niego, jakgdyby nigdy inaczej nie żył, jakgdyby odpowiadało to jego usposobieniu. Cztery tygodnie był już w Berlinie, lecz jeszcze ani razu się nie modlił, nie był ani razu w bóżnicy. Nie było soboty, nie obserwowano soboty. Wszyscy rozmawiali czystym niemieckim językiem. Stryj Dawid był całkiem „emancypowany“. europejczyk, Niemiec, berlińczyk. Z żyda pozostały mu włosy, oczy, serce i głębia.

Dawid Adler był wyjątkowym dziwakiem. Miał ten ordynarny sklep, tę tandeciarnię. Ale za sklepem były dwa pokoje, wypełnione starożytnymi meblami, orientalnymi dywanami i były jak pałacowe sale wielkiego, bogatego i kulturalnego pana. Okna na obrzydliwe podwórze były zawieszane jedwabnymi portjerami w paski. Zawsze, gdy pokoje były używane, paliły się stare holenderskie lampy mosiężne ze świecami elektrycznymi. Przy ścianach stały olbrzymie, ciężkie szafy. Dziwacznie okute komody, na sekretarzyku alabastrowy zegar, srebrny świecznik, powabne porcelanowe grupy. Szlachetne krzesła okrażały włoskie stoły, na których stały wazy z ciężkiego brązu. Tajemniczo

wyglądały ciemne obrazy, figurki drewniane w pelerynach. Madonny z dziećciem na ręku, lub z martwym dzieckiem na kolanach. Piękne starożytnie talerze. Ornamenty na dywanach spletały się jak żywe. Jedna ściana była całkowicie zastawiona rzeźbionymi barokowymi półkami z tysiącami książek. Całe wieczory, do późnej nocy, stryj Dawid czytał. I Abel, gdy wreszcie syty ulicy, wracał zmęczony do domu, kładł się na miękką smyrneńską wełnę i zaczytywał się bez pamięci Szekspirem, Goethem, Dickensem. Wczytywał się w utwory Dantego, Wassermana, Verfla, Manna, Zoli, Maupassanta, Strindberga i Balzaca.

Czasami spoglądał stryj Dawid na czytającego. Siedział w wygodnym krześle, obitym złotą skórą i mówił :

— Abel, idź spać.

Lecz było to tylko przyznanie się do przejętych obowiązków. Chłopiec mógł spać do południa. On, Dawid, o godzinie ósmej rano otwierał sklep ; o dziesiątej lub jedenastej przynosił ukochanemu dziecku do łóżka czekoladę i jajko.

Przygotowywała to panna Sadewasser, która usługiwała w sklepie. Po rozmaitych panienkach lekkich obyczajów, które flirtowały z klientami i chodziły do nich spać po zamknięciu sklepu, znalazł wreszcie Dawid Adler tę miłą i spokojną osobę. Antonetta Sadewasser, jedyna córka byłego tancerza z opery, nie wypowiadała ani jednego wyrazu zbytecznego. Ale czyniła wszystko, nawet to, co wychodziło poza jej zwykłe obowiązki. Była niezwykle uprzejmą dla klientów i cierpliwą w wykładaniu towarów. Ale reparowała także bieliznę dla swego pryncypała, szykowała mu śniadania i

podwieczorki, pomagała przychodniej kobiecie przy skurzaniu drogich antyków; była zawsze pełną dyskretnego podziwu i głębokiego przywiązania dla Dawida Adlera. Wszystko uważała za naturalne.

Gdy Dawid Adler wracał do domu, nie musiał się żenować, że przynosi ze sobą kupionego na licytacji starego, drewnianego bożka z czasów średnio-wiecznych, lub że przytaszczał zaśnieżony obraz, nad którym ślęczał przez długie wieczory, czyszcząc go benzyną i terpentyną, by wreszcie z pod nieprzeniknionej czerni wydobyć kobiecą nagość lub płaszcz męczennika lub wreszcie błękit florentyńskiego nieba.

Dawid Adler, cichy, spokojny człowiek, zawsze łagodnie uśmiechnięty z pięknymi melancholijnymi oczyma — był dziwnym człowiekiem. Rzadko wychodził z domu, chyba do sali koncertowej, by posłuchać dobrej muzyki. Abel, przybrany syn, szedł z nim. Dla Abela — mimo niezwykłej ochoty życia — to było najpotrzebniejsze, najwyższe i najpotężniejsze. O ile zazwyczaj panował nad sobą, był panem siebie na ulicy i w jej ruchu, zawsze zrównoważony, pewny siebie — przy muzyce dawał się porwać i bywał zwyciężony. Wracał do domu, o śnie nie było nawet mowy. Stawał w ciemnym kącie pokoju i grał. W wścieklej złości nad swą nieumiejętnością, szukając tego, czego pragnął, rozpaczliwie uderzał w struny i wydobywał czasami ton, od którego — o szczęście! o duma! — serce mu drżało i kurczyło się, nerwy ściągały się, krew się burzyła.

Stryj Dawid siedział obok, w ciemności. Słuchał i wargi mu drżały.

Ich łóżka stały obok w nieużywanej kuchni, wymalowanej na złocisto - żółtawy kolor, meble by-

ły z czarnego drzewa z czerwonymi kantami. Białe skóry pokrywały podłogę. Abel znajdował, że jest to królewski pokój. Pobierał dwa razy w tygodniu lekcje muzyki skrzypcowej u starego mistrza, który grywał w kwartecie. Często nauczyciel wyjeżdżał z trzema towarzyszami na koncerty do większych miast i do prowincjonalnych miasteczek. Wtedy zastępował go jeden z jego uczniów, Kacper Zaremba, którego Abel bał się. Młody Zaremba, podczas gdy Abel grał, obmacywał go i gniótł.

— Musisz grać każdym nerwem! — krzyczał. — Każda kropla krwi musi wibrować, twoja skóra winna się otworzyć. Graj! graj!

Rwał go za włosy.

— Trzeba ich porwać! — wołał. — Jeśli nie masz być artystą — przepadnij! Ćwiczycie osiem godzin dziennie, leniwcze! Padnij w konwulsji, ale graj z duszą, z duszą! — krzyczał mu w ucho. — Graj, psie!

I Abel grał, w straszliwym rozpasaniu swej krwi, pięknie. Po tamtej stronie wszystkich nut, w tonie, jak pełnia jego całej istoty.

Razu pewnego przyniósł Kacper Zaremba ze sobą cienki, giętki pręt bambusowy. Abel ujrzał go i przeląkł się. Świsnęło uderzenie w plecy. Abel krzyknął. Ten krzyk jeszcze bardziej rozbudził wściekłość Zaremby. Krzyczał i huczał jak burza. Abel zbliżył się.

— Graj!

I Zaremba uderzeniami wypędzał z chłopca jego ekstatyczną duszę. W jego tonach przejawiała się cała treść jego istnienia. Krwawy ból przechodził w słodką radość.

Ale mistrz wrócił. Uradował się z postępów ucznia — objął go i ucałował. Abel pilnował tajemnicy lekcji z Zarembą, jak czegoś zakazanego.

Zanim zasypiał, przeciągał się w słodkich wspomnieniach, jak z bolesnych uderzeń wykwiłało cudowne natchnienie.

Gdy stryj Dawid przysłuchiwał się ćwiczeniom Abła, był porwany. W nocy klękał przed łóżkiem chłopca, przyglądał się pięknej, czystej twarzy śpiącego, na wargach którego już pokazywał się pierwszy puszek. Szukał w tej twarzy i znajdował to, co ponad wszystko ukochał, na zawsze stracił, nigdy nie posiadał. Wpatrując się w chłopca — umiał zapomnieć o całym świecie. Powstawały przed nim obrazy, których spełnienie nigdy nie było możliwe. Pochylał się i całował drżącymi ze wzruszenia ustami to niewinne czoło, czoło najukochańszej; w tych zamkniętych oczach, gdy się otwierały, było niebo ukochanej kobiety. Całował tak, jak wtedy gdy był dzieckiem — Torę. Serce jego tak było przepelnione miłością, że nie mógł się do niczego innego modlić. Teraz modlił się do chłopca, który był obrazem ukochanej. Dotykał go namaszczone ustami, jak coś zakazanego, świętego.

Jednej nocy chłopiec przebudził się. Przejęty uczuciem, którego ciepło przeniknęło go, objął za szyję pochylonego nad sobą mężczyznę, przycisnął czoło do całujących ust i podał swe usta rozmodlonym wargom.

Dawid Adler zatoczył się na swoje łóżko, wstrząśnięty straszną żądzą, strachem, błogością i rozpaczą. Dziecko zasnęło i natychmiast ten moment czułości wsiąkł w senne widziadła, które się zazwyczaj mieszają z rzeczywistością. Ale nigdy

więcej od tej nocy marcowej, stryj Dawid nie pochylał się nad śpiącym i nie całował go w czoło, w oczy. Zdawało mu się, że od tej chwili, gdy zbudziła się w nim niespodziewana żądza, świętość jego miłości została przyćmiona.

Czar ulicy ! Wzbierająca ciżba, ludzki zaduch, zapach kwiatów, owoców, ryb, mięsa, zapachy kawiarni, wiosenne słońce i wiosenna parność, wilgotne wieczory i błyszczące noce. Nie zostaje się dzieckiem na ulicy. Najmłodszemu udziela się życie, śpiesznie mijających go. To jest jedyna rzeka i każda fala, nawet najmniejsza należy do całości, jest całością.

Abel wracał ze szkoły powszechnej na Greifswalderstrasse jakgdyby nie przesiedział tam dopiero pięciu godzin jak w więzieniu. Zgasił je w pierwszym spojrzeniu na swobodę ulicy. Ach, przedziwna włóczęga ! Drzewa kwitną, wozy pełne jarzyn, ryb, kwiatów, samochody mkną, tramwaje pędzą dzwoniąc, ciała zwierząt lśnią. Człowiek pachnie, jeśli nawet cuchnie, gdyż jest ucieleśnieniem życia. Ach, człowiek, kochany człowiek, precudne żywe stworzenie ! Bytowanie — niezmierna radość ! Tylko na ulicy ma drzewo jakiś sens — przez swą różnicę z człowiekiem. Ale las jest niepojęty, zbyt czysty. Cóż bardziej łączy się z życiem, ogniem i uczuciem niż asfalt ! Łąka jest bezduszna, bezcelowa. Ptaki śpiewają — tak, ale małą pieśń. A mowa ludzka jest pełnią, jest wielką zagadką, wiecznym uwodzeniem. <http://rcin.org.pl>

Abel stracił uczucie dla przyrody. O, gwiazda była wciąż jeszcze piękna, księżyc wiecznie nowym cudem, zapach kwiatów upojeniem — ale tylko w związku z człowiekiem. Ponad księżęciami pałacami, domami handlowymi, koszarami, więzieniami stała się gwiazda symbolem, światem, pięknem. Dla siebie samej, na pozbawionym Boga niebie, dokąd nie wznoszą się szukające pocieszenia oczy, — cóż znaczyła? Kształt bez treści. Czyż księżyc nie był piękny dopiero wtedy, gdy jego światło spływało ponad kopuły, gdy rzucał na asfalt srebrne cienie ludzkie?

Gdy Abel grał na skrzypcach milkł strumień, nieruchomiała chmura, niespadały gwiazdy: przemawiał tylko człowiek. Tak grają cyganie. To nie były już czarodziejskie skrzypce Ambrosa, syna Horwatha, na strunach których jakgdyby same biegały jego palce. Teraz grał na starych skrzypcach, które kupił u starego majstra stryj Dawid wraz z Kacprem Zarembą i zapłacił za nie dużo pieniędzy.

Skrzypce te były koloru kasztanów z odcieniem złotawo - czerwonym, lekkie jak piórko, pachnące miodem i wydawały tony, które były jak mistyczna stara dusza. Drzewo drżało i życie przechodziło przez ciało grającego. A może drżał tak grający? Byli zrośnięci. Na sobie samym grał młody Abel, poprzez jego nagie serce przechodził ze świstem smyczek, pełen rozkoszy, pieszczoty i bólu. Z jego własnej głębi wydobywał się ton i gdy kończył koncert Mendelsohna lub gdy zamilkło Allegro Beethovenowskiej sonaty — on także milkł, był wyczerpany doszczętnie. Dziwne: po chwili był znowu zrównoważony i pełen życia, wypełniony jeszcze bardziej wzburzoną i tęskniącą duszą, gotów jeszcze żarliwiej się wypowiadać.

Grał o człowieku, a więc o ostatniej, najbardziej doskonałej i wypełnionej duchem i uczuciem istocie w przyrodzie. Jego gra była także zrozumiałą dla najbardziej przyziemnych istnień. W brudnym podwórzu domu, na Münzstrasse zbierał się tłum, mieszkała tam od frontu i w oficynie cała ludzkość. Abel znał ich wszystkich.

Nie lękał się niczego, co było człowiekiem. Teraz stali i słuchali jego gry. Nie był skąpy. Otwierał zawsze szeroko okna, odsłaniał jedwabne story i stając w świetle grał. Nie grał z nut Beethovena, Brahmsa i Schumanna — grał jak cygan, grał siebie, swoją tęsknotę, a to znaczy: najdoskonalsze wyczuwanie i idealne wypełnianie rzeczy, człowieka, serca. Nie potrzebne mu były przeżycia, wystarczyły życzenia. Z tęsknoty powstaje piękniejszy twór, niż z zaspokożenia.

Kobiety płakały, dzieci stawały się ugrzecznione. Kogóż tam nie było wśród słuchających! Była pani Rockstroh, lokatorka dwóch mieszkań na czwartym piętrze, która odnajmowała pokoje młodym damom, śpiącym w dzień, pod nią mieszkał buchalter Kortekamp z matką i sześcioma siostrami, obok bracia Welwele, którzy nazywali siebie agentami i bywali odwiedzani przez tajemniczych eleganckich panów — sami otaczali się nieprzeniknioną tajemnicą. Tapeciarz, robotnik, pani von Grawicka, której trzy córki były sprzedawczyniami u Tietza, a synowie sprzedawali książki i mieli wózek przed uniwersytetem. Zamiatacz uliczny z żoną, która w obiad przyprowadzała do siebie klientów. Motorniczy tramwajowy z dwiema małymi córeczkami — (żona jego uciekła z wysłużonym żołnierzem) — które całymi godzinami siedziały na

podwórzu bez opieki. Na pierwszym piętrze mieszkał lichwiarz. Odwiedzali go oficerowie. Zawsze w cywilu, lecz łatwo było ich poznać po kroku i rozkazującej minie. Podpisywali weksle i otrzymywali pieniądze. Potem obdarowywali obok małe dziewczęcio - i dwunastoletnie dziewczynki czekoladą.

Było to mieszkanie Bumkesów, zarządcy domu; on był szewcem, ona chodziła sprzątać i prała; sprzątała także u Dawida Adlera. Ich córka, Meta, szła z każdym chłopcem na piwniczne schody. Młoda, piękna wdowa, Agata Wojtkowiak mieszkała z Oskarem Riwaliskim, który nigdy nie pracował; zawsze uperfumowany w półbucikach i jedwabnych skarpetkach, sprowadzał sobie przyjaciół na karty, wówczas gdy ona, Wojtkowiak, odwiedzała łóżka podoficerów w pobliskich koszarach. Czasami widziano starszych dystyngowanych panów, gdy szybko i ostrożnie opuszczali jej mieszkanie.

Wiele, wiele jeszcze mieszkało w tym domu ludzi. Także dobrych, czystych, umęczonych pracą. Szwaczka Alberta Kühling, szyjąca bieliznę po domach utrzymywała trzy tłuste koty. Stary Anselm Ladewig, który na rogach ulicy rozdawał ulotki, niosąc na plecach i piersiach plakaty knajp i zawiadomienia o wyprzedażach. Ślepa pani Abeljanz z synem, pisarzem w prezydjum policji. Listonosz Gottselig ze swą siostrą, z którą podobno żył — Bumkesowie słyszeli wszystko przez ścianę — która jednak śpiewała wśród niewinnych dziewcząt w chórze kościelnym i szła ubrania dla umarłych.

Czasami ktoś się wyprowadzał, najczęściej pokryjomu, w nocy, lub zostawał wyrzucony z meblami i betami na ulicę. I wtedy o tej samej prawie godzinie, wprowadzali się inni; rodzina składająca się

z sześciu głów, do jednego pokoju z kuchnią, lub stara wdowa z dwoma synami, lub stara kwiaciarka z Potsdamerplatz z mężem pijakiem, prostytutka, kupiec z Galicji, który chciał mieszkać w pobliżu Grenadierstrase, mleczarz z żoną, pomagającą nie-
dołężnym służącom.

Ale : to była ludzkość. I gdy stali w brudnym cuchnącym podwórzu i słuchali gry Abła, spływało z nich na niego głębsze i żarliwsze natchnienie niż z towarzystwa, zebranego w Filharmonji lub sali koncertowej. Nigdy bardziej nie czuł Abel tej łączności między biorącym a dającym, artystą a publicznością, Bogiem a człowiekiem. Abel grał nie tylko siebie, lecz także całą ludzkość, która w nim tkwiła głęboko. Niemowle uspakajało się, nierządnicą płakała, pijak uśmiechał się tkliwie, gdyż cała ich tęsknota była wstrząśnięta. Abel kochał ludzkość. Był twórczym. W przepotężnej swej miłości do człowieka był bożkiem ludu.

Starzy Adlerowie nie sprzedali jeszcze swego sklepu. Przenoszono się do dużych miast. Oskre-
tscham było ciche i wyludnione. Sklep Gerszona Adlera nawet w dnie targowe nie był pełen. By odwiedzić dziecko w Berlinie, trzeba było wydać większą sumę pieniędzy. Mirjam nie widziała już swego synka przeszło dwa lata. Postarzała się ; bliska czterdziestu lat, była już ociężała, cierpiała na bóle krzyża i ręce jej drżały. Gerszon Adler miał sześćdziesiąt lat, schylał się za nią, modlił się za nią, jeździł na targi, by podnieść obroty, stał w wietrznych budach i sprzedawał fajki, szelki, madonny porcelanowe, nici. Jeździł z małym kozackim konikiem w zaprzęgu, którego dzwoneczki smutno wydzwaniały w te chłodne i dżdżyste ranki lub

zimne i wietrzne wieczory ; jechał poprzez przygnębiający krajobraz, już w pobliżu polskiej płaszczyny. Lasy i błota, rzeki, łąki, pochylone wsie, w których nawet wieża kościelna jakgdyby nie miała śmiałości spoglądać wprost w niebo, lecz była pochylona. A na horyzoncie kominy, czarne chmury kopalń, fabryk...

Przepiękne miasto Berlin ! Gdy Abel udawał się na lekcję muzyki, jechał do zachodniej części miasta. Przechodził przez Unter Linden, obok Tiergartenu, przez Potsdamerplatz i ożywił się. Nie lubił tej świątecznej dzielnicy, gdzie życie zatracowało tempo i świeżość, zapach i głos. Dobrze się czuł w ciżbie, hałasie, pomiędzy biedakami, upadłymi, prześladowanymi. Obcymi, wprost zmienawdzonymi wydawali mu się ludzie w samochodach, kobiety w łóżach, dziecko z guwernantką. Serce uderzało mu silniej na widok żebraka. prostytutki stojące na rogach pobudzały go do miłości. Tam, w jego dzielnicy wszyscy znali małego żyda, który tak szybko rósł i grał jak anioł.

Ach, uprzejme, dobre miasto ! Tylko w początkach, w szkole, miały niektóre dzieci odwagę zaczepiać Abła.

— Icek, żydziak !

Lecz jego niezmacony spokój czynił te zaczepki nieszkodliwymi. Wkrótce ucichło dokoła niego. Czasami, w rozmowach wybuchała w dzieciach wrodzona nienawiść i zakorzeniona pogarda.

Wówczas Abel mówił :

— Słuchajcie ! Nie wolno wam przeklinać żydów. Spójrzcie, jestem jednym z nich. Czyż jestem gorszy niż wy ? Czy znacie innych żydów ?

— Oni ukrzyżowali Chrystusa !

Abel : W imię Chrystusa zabito miliony ludzi.
Niewinnych ludzi i dzieci.

— Żydzi nas wyzwyskują !

— Zarzynają dzieci !

— Żydzi gwałcą chrześcijańskie dziewczęta !

— Oszukują wszystkich !

— Są bogaci i zubożają nas !

Abel uśmiechał się łagodnie. Wiedział o sile kłamstwa i bezsilności prawdy. Dodawało mu to tylko bodźca, by kazać im o prawdzie. I mały kaznodzieja stawał w klasie na katedrze i mówił o człowieczeństwie żydów. Nie o wybraństwie żydowskiego narodu — był tak mądry i przewidujący — ale o jego równości, o jego prawie przynależenia do wszystkich narodów i o obowiązku innych poznawania się na nim.

— Zupełnie taki sam jak wy, chłopcy i dziewczęta. Ale o wiele nieszczęśliwszy jest żyd, gdyż jesteście niesprawiedliwi wobec niego. Jeśli go ze swego środowiska wydalacie, czyż on nie musi się stać zawistnym i złym — jeśli nie jest silnie dobrym? Przyjmijcie go do siebie, a przekonacie się, jaki z niego dobry towarzysz. Powiedzcie : czy nie lubicie mnie ? Czy spostrzegacie, że jestem inny, niż wy ? Czy nie jesteśmy przyjaciółmi ?

Słowa przebrzmiały bez echa w sercach dziecięcych. Wkrótce Abel przekonał całą szkołę złych, zwyrodniałych, niewychowanych dzieci o swojej osobowości. Jeśli nie umiał ich przekonać do żydów — przekonał ich do siebie : Abel, chociaż żyd, był wspianiałym chłopcem.

Jego stary nauczyciel muzyki chciał go przenieść do gimnazjum. Długo na ten temat rozmawiał ze stryjem Dawidem. Ale Abel sprzeciwił się temu.

Czyżby miał dłużej, niż to było konieczne, gnieść szkolną ławę. Ciasno mu było w krótkich spodenkach, zawstydzają gęste włoski na górnej wardze. Jutro będzie już mężczyzną, cygan - włóczęga — dość być uczniem. I został na Gleifswalderstrasse między zawszonymi zwyrodnialcami. Ten zwyczajny ordynarny człowiek był mu miłszy, zrozumialszy, bliższy sercu niż ugłaskany, czysty, udający przyzwoitego człowieka z zachodniej części Berlina.

Stryj Dawid, zawsze słaby, skory do pojednania, rzekł :

— Jak chcesz, mój chłopcze ; sądę, że masz rację. To, co tobie potrzebne, masz, jesteś u samego źródła. Tu masz życie naturalne, tam — za Potsdamerplatz — jest ono w oprawie. Tu nie jest filtrowane. Przeciwnie, brudne, muliste, niebezpieczne. Ale twoje serce Abel, jest filtrem. Nic nie wejdzie w ciebie, co jest zepsute. Pilnuj tylko swego serca. Posiadamy tylko jedno. Jeśli je zanieczyścimy, nic nam już nie pomoże.

Abel kochał łagodnego stryja. Zwracał się do niego z pieśczołą, której ten się jednak nie poddawał. Ale chłopiec pragnął pieśczoły, uśmichów. Rozpieszczał wszystkie koty i psy w całym domu. Słabł pod pieśczołliwym dotknięciem ręki, jeśli nawet ta ręka była brudna i twarda. Nie odczuwał wstrętu na widok stwarniałej i brudnej dłoni.

To, co doprawdy było brudem, nie mogło do niego przylgnąć.

Nie miał jeszcze dwunastu lat, gdy stał przed krzyczącymi plakatami kina. Na Münzstrasse w każdym prawie domu było kino. Czynne od dziesiątej rano do pierwszej w nocy, w ciągu dnia mia-

ły za publiczność bezrobotnych, włóczęgów, sutenerów, którzy wieczorem i w nocy nie mieli czasu, pilnując swe dziewczki, dzieci, które uzbierały lub ukradły pieniądze. Elektryczne pianina wybijały bezduszny rytm w symfonię ulicy. Bezświatłne latarnie paliły się w słońcu, którego promienie ślizgały się po wielkich plakatach kinowych. Wewnątrz w okienku kasy uszminkowana głowa kobiety. Przed wejściem chłopiec, podobny do bohaterów filmowych, zapraszał do wnętrza.

Podczas wakacji w południe stawał Abel często przed kinem. Kochał kino aż do zapomnienia się. Tam życie żyło tak skoncentrowane, jak on sobie tego życzył, tak dziko romantyczne, jakim on sam był. Stryj Dawid kiwał głową, ale chętnie i z uśmiechem dawał trzydzieści fenigów. Abel otrzymywał kieszonkowe pieniądze. Ale miesięczną pensję wydawał w ciągu tygodnia. Miał namiętność obdarowywania. Przynosił pannie Sadewasser, która ze wzruszenia zalewała się łzami, kwiaty. Stryjowi Dawidowi przyniósł starą filiżankę, znaną u antykwariusza. Gdy Meta Bumke wynurzała się za szybko odchodzącym, zaspokojonym chłopcem z sąsiedztwa i bliska płaczu wołała: „A lukrecjowa laseczka! Emil, tyś mi przyrzekł laseczkę lukrecjową, jeśli pójde z tobą do piwnicy! teraz uciekasz!“ — Abel kupował jej laseczkę lukrecjową.

A teraz stał przed kinem z pustymi kieszeniami. Portjer uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

Chętnieby go przepuścił, ale za czerwoną aksamitną portjerą kontrolował szef. Wtem usłyszał za sobą głos kobiety:

— No, moje serduszko, chciałbyś zapewne tam wejść.

I miękka, delikatna ręka z pieszczotą opadła na jego odsłonięty pod marynarskim kołnierzykiem karczek. Chłopięcy karczek, podstrzyżony, na którym wyrastają miękkie, jedwabiste włosy, karczek niewinności i dziecięcości.

Stara kobieta w kapturze stała obok niego, wysoka, tłusta, w pachnących jedwabiach, w narzuconej antycznej koronkowej pelerynie. Miała czerwona błyszczącą twarz, fałszywe zęby, uśmiechała się do niego. Poprzez niebieskość oczu miała spojrzenie zwierzęcia, spojrzenie wietrzące, badające, jakgdyby te oczy umiały wachać. To spojrzenie uczyniło dziecko bezbronem. Pozwoliło się przeprowadzić obok kasy do ciemnej sali, do łoży na samym końcu, gdzie panowały nieprzeniknione ciemności.

— Już go ma! — zawołał zachwycony portjer do kasjerki. Ta wykrzywiła pogardliwie usta.

— Ta wie, gdzie można tanio otrzymać. Żołnierz mniej jak za trzy setki nie pójdzie z tą starą.

To co się działo było dziwne. Człowiek stał przed lustrem i odbicie jego własnej osoby doprowadzało do szału. Odnajdywał siebie, bliźniaczego niewolnika swoich czynów, odwrotne odbicie jego ruchu. Wreszcie stało się coś niezwykłego, obraz w lustrze zbuntował się przeciwko swemu panu, stał się samodzielnym, odmówił posłuszeństwa i zmuszał tego realnego, cielesnego do odbijania go. Teraz człowiek przed lustrem był fikcją, uzależnionym i musiał być posłusznym temu drugiemu. Tamten kiwnął na niego, i ten musiał być posłusznym, musiał wejść w lustro poprzez ramy, w tamtą przestrzeń, dziwną, w sen... I oto rozpoczęły się przygody: rozpiętane namiętności, miłość, mord, ucieczka, przelot przez wieki do nieznanych krain, upadek do

bezdennych wygasłych światów. Pokazywały się zwierzęta, okropniejsze jak smoki i mamuty. Ludzie byli olbrzymami, części świata przesuwały się, morza wysychały. Naciśnięcie guzika — i całe życie przyjmowało inny rytm, panowało wieczne lato. Człowiek był nieśmiertelny.

To było życie, które porywało jego umysł, nie czuł bliskości kobiety, nie wiedział, że posadziła go na swoich kolanach, wyszedł z siebie.

— Prawda, jakie to ładne, moje serduszko? — szeptała stara. — Co? ty musisz przyjść do mnie, Pallisanderstrasse numer trzeci, mój aniołku. Mam tam ciasteczka i słodki sok, podaruję ci czekoladę. A może ty chcesz papierosy? i piękne obrazki ci pokażę i wiele innych śliczności. Dobrze? Daj mi no twoją łapkę moje kochanie.

Wtem nagle, szybko odeszła. Mocno przycisnęła chłopca do siebie tak, że mu aż tchu brakło, potem postępując wysunęła się, pozostawiając go samego. Abel odetchnął głęboko, opuścił łożę i przesiadł się do tańszych miejsc, na przedzie sali, do swojej siery, gdzie odczuwał bardziej wspólnotę z przeżywającymi obok niego te same co i on wrażenia.

Tak przechodził poprzez występki Berlina, sam nie stając się występny. Ześlizgiwało się z niego. Dwa lata w Berlinie, lecz nic nie pozostało przed nim ukryte, nieznane, niepojęte. Jak wszyscy jego szkolni koledzy, nie nosił kołnierzyka, ubrania były wyrosnięte. Prośby i rozkazy stryja Dawida były daremne. Kiedy jechał na lekcję muzyki, ubierał najpiękniejsze swoje ubranie, zawiązywał jedwabny krawat na błyszczącym kołnierzyku i wyciągał z pod rękawów mankiety jedwabnej koszuli.

Stryj Dawid zapelniał jego szufladę najpiękniej-

szemi przedmiotami, jakie posiadał w sklepie. Gdyby chłopiec chciał, mógłby ukazywać się na ulicach ubrany jak lord. Lecz Abel nie chciał. On kochał proletariąt, obdartych, brudnych. Tu stawał się przyjacielem, towarzyszem, bratem, synem. Czuł się swobodnym, gdy mógł jak syn robotnika, praczki, dozorczy w krótkim kitlu, bez kołnierza przebiegać ulice, które lubił.

Wyprosił sobie pozwolenie na wychodzenie w sobotę wieczorem, w niedzielę mógł się wysypiać. Stryj Dawid posadził go sobie na kolanach i spojrzał mu w oczy.

— Co ty wyrabiasz chłopcze? Wiesz chyba o tem, że przysiągłem twojej matce, że ci się nic złego nie stanie, że będę cię pilnował, jak własne najukochańsze dziecko, że stale będę na ciebie uważał. Czy ty jesteś czysty, moje dziecko?

— Tak, stryju Dawidzie.

— Ja wiem, czytam to w twoich oczach. Obyś był szczęśliwy. Widzisz, Abel, ja nie uiem ci niczego odmówić. O tem musisz pamiętać. Nie żądaj odemnie nigdy rzeczy niemożliwych. Oddaję ciebie w twoje własne ręce. Pilnuj się, Ja uiem cię tylko kochać; jestem bardzo słaby. Czy to mądrze tak z tobą mówić?

— Bardzo mądrze, stryju Dawidzie. Ja ciebie bardzo kocham, chciałbym wiedzieć o wszystkim, ale to mi nie szkodzi. Wiesz, to wszystko jest nic. Wcale mi na tem nie zależy, gdy się gra na skrzypcach...

— Musisz zostać wielkim artystą.

— Tak sądzisz? ja nie wiem, pragnąłbym mieć zielony wóz i grać przed domami, nawet do tańca w karczmie. Trzeba muzyką ludziom pomagać, roz-

radować ich lub choćby rozbudzić. Tak ja o tem myślę, a tak... koncerty — to nic nie jest. To mi się wydaje podobne do teatru, komedjanctwo. To nie jest prawdziwa muzyka! jak myślisz?

— Ja myślę, że ty już jesteś wielkim artystą, może tak wielkim, że się już na „sztuce“ nie poznasz.

— Co to znaczy?

Ale teraz został już odesłany. Była sobota, dziewiąta wieczorem. Ulice w pobliżu placu Alexandra pełne były ludzi; wszystkie drzwi i okna kawiarni, barów, sal tańca, kinoteatrów płonęły światłem. Muzyka rozlegała się dokoła. Na niewidocznych dachach ukazywały się i znikały reklamy świetlne. Z pobliskich hal targowych szedł zapach ryb, owoców, kapusty i mięsa. Ludzki pot, oddech domów, wilgoć z otwartych piwnic — wszystko mieszało się razem.

Banda chłopców udała się na Dircksenstrasse. Pociągi jak fantastyczne widma pędziły po wysoko ułożonych torach. Asphalt pokryty był odpadkami z hal. W zaułkach czaili się młodzi ludzie i szeptem zwracali się do przechodzących mężczyzn. Nierządnicę wlokły się powoli, nawoływały się, przyciągały mężczyzn i przeklinały Abła i jego kolegów, którzy krążyli dokoła nich. Chłopcy wrywali nocy jej tajemnice. Nic nie było im obce. Skradali się za prostytutką, która prowadziła swój połów przez most Fryderyka, na ławkę wśród krzaków, śledził obejmujących się w cieniu kolumn, wśród zapachu kasztanów. Patrzyli zdaleka w błyszczącą Friedrichstrasse, gdzie rozpusta mogła spacerować bez maskowania się pod okiem prawa. Nie odważali się tam zbliżyć; tam podchodził do nich agent policji kryminalnej i przepędzał ich, obdartych, wygła-

dających na złodziejasków. Schodzili na Dorotheenstrasse przy Tiergartenie, gdzie się to samo powtarzało; we wszystkich krzakach coś się poruszało. Wystrasżali zakochane parki nad brzegiem Sprewy, obserwowali zbierające się szumowiny pod mostem, w porcie w miejscach wyładunku, pod ścianami klasztoru — wszędzie widzieli powtarzanie się ludzkiego zwyrodnienia.

Pijany przeżyciami, zataczając się, wracał trzy-nastoletni Abel do szlachtetnych pokoi Dawida Adlera. Madonny uśmiechały się do niego, nagie dziewczęta zdawały się drwić w swej niewzruszonej czystości. Z konturów szaf, błysku porcelany, ornamentu dywanów płynął spokój; pewność, że istnieje w życiu piękno, oczyszczała go z brudnych przeżyć.

Była północ. Chłopiec grał. Na alabastrowym zegarze srebrny dzwonek wybił godzinę pierwszą. Abel grał. Nie, to nie była sztuka, to było życie, głos ziemi, podziemi, zagadki człowieczeństwa.

O drugiej godzinie tej nocy czerwcowej pochylił się Abel nad łóżkiem stryja. Oczy Dawida Adlera błyszczwały jakby łzami.

—Moje dziecię —

— Dziękuję, stryju Dawidzie, kocham cię bardzo, nie mogę więcej.

Świece zagasły. Abel zasnął. Pierwszy sen.

— O, mamuśka...

Oto trzyma go na swej piersi. Jej jasne włosy okrążyły go. Pachnie jak w raju. Ona była bez wieku, wiecznie jedyna kobieta. Wspomnienia powstają w chłopcu. Jej śpiąca głowa o pachnących lokach, rozrzuconych na poduszkach; noce ciężkie, kiedy gorączkował — ona pochyłona nad nim, otulająca go, głaszcząca — zimne kompresy na czole.

^ Dziesięć lat później. Chłopiec cierpiał tej nocy, miał pragnienie zawołać jak wtedy w dzieciństwie :

— O, mamuska...

Usiadł na łóżku. Koszula jest mu za obcisła. Ciemności drażnią go. Ale musi być cichy. Nie trzeba budzić stryja. Ale Dawid Adler słyszy nawet to, co jest bezgłośnie. Przeczuwa cierpienie ukochanego dziecka, które żyje w jego sercu, w miejsce ubóstwianej matki. I Dawid Adler rozmyśla :

— Ach, jaki słodki ból sprawia miłość ! co za przekleństwo być zbyt czułym, czy nie jesteśmy najbardziej bezradnymi przed ukochanym, najsłabszymi w ubóstwianiu ? Gdybyśmy nie mieli serca, moglibyśmy się swobodnie wznosić. Ale serce wiąże nas z ziemią. Im bardziej jest przepełnione — tem silniej nas trzyma na ziemi. Żaden Bóg nie rozgrzesza w miłości. Bo miłość — miłość jest grzechem wobec samego siebie.

Ojczyzna, zupełnie zgęszczona ojczyzna w pobliżu. Z europejskiego, internacjonalnego, niereligijnego życia Münzerstrasse, o trzy kroki za rogiem pograżało się w centrum ghetta. To były Grenadierstrasse, Hirtenstrasse, gdzie dźwięczał żydowski, hebrajski, zły polski, rosyjski, gdzie były koszerne restauracje, wędliniarnie, żydowskie piekarnie, gdzie szyldy hebrajskie rozwieszono były wzdłuż ulic. Mężczyźni w kapotach z pejsami, a w soboty kobiety odziane w szeleszczący jedwab w złotych ozdobach, w czarnych lśniących peruczkach. Młode dziewczęta upinały swe piękne włosy wysoko, kokietując nimi, zanim zostały ścięte. Hałaśliwe dzieci stały gromadami. Przez szerokość ulicy rozmawiano głośno, nawołując się. Pachniało gęsim smalcem, skwarkami i czosnkiem. W łagodnym słońcu zimowym siedzieli starzy żydzi z długimi brodami na stołeczkach przed domami. Kobiety tworzyły gromadki oddzielne.

Gdy Abel odczuwał silną tęsknotę, siedł tam. Czuł się tam bardziej zbratany. Nazewnątrz zapomniał czasem, że był żydem. Nikt za nim, wymyślając, nie wołał tego więcej. Nie potrzebował więcej być dumnym z tego, że należy do wybranego narodu. Inne sprawy nabierały znaczenia w wielkim mieście. Trzeba było dzielnie pracować, naprężając

wszystkie zmysły. Było zupełnie obojętne do jakiego Boga kto się modli. Któż posiadał czas na tęsknotę, by szukać czegoś głębszego w sobie, by szukać Boga, lub zajmować się wierzeniami innych.

Lecz gdy Abel kroczył ulicami ghetta, padało mu to na serce. Jego młode serce ofiarowało się służyć nieszczęśliwym, poniżonym, opuszczonym. Kochał wszystkich. Lecz czyż nie byli ci tutaj najbardziej deptani? Najbardziej ślepo nienawidzeni? Najgłębiej znieważani? Gdyż byli bez winy —

— Szolem alejchem — pozdrawiał serdecznie obcych, którzy mu jednak byli najbliżsi. Podeszedł do jakiejś staruszki, która w oparach zapachów siedziała na ławeczce przed restauracją, uśmiechając się bezmyślnie.

— Najwyższy niech cię błogosławi, matko Fejgele — powiedział czule.

Młode, piękne dziewczęta otoczyły go kołem. Żeby przyszedł i grał — prosiły. Piękna Chaja Genachow objęła go i migdałowy zapach jej ciała, opalony blask jej oczu, cytrynowy aromat jej włosów poruszył chłopca. Grał w niskich brudnych izbach żydów w soboty, gdy świece się paliły i zapach faszzerowanych ryb przenikał na ulicę. Wszyscy byli cicho. Chaja miała łzy w oczach. Sprowadzała go wąskimi stromemi schodami. Na dole było zupełnie ciemno — musiała go prowadzić objawszy i nagle stanęła. Pociągnęła go z tyłu ku sobie, odchyliła mu głowę i pocałowała w usta

To był pierwszy pocałunek.

Przeniknął go do głębi i był słodszy niż wszystkie dotychczasowe pieśczoły, i w swej prostocie i skromności, bardziej jawny, niż wszystkie dotychczasowe grzechy. Trafił do duszy chłopca i uświa-

domił ją. Wszystko co mu się dotychczas zdarzyło nigdy nie przeniknęło do jego krwi. Chaja całowała go.

— Kocham cię, mały Ablu — szeptała — kocham cię.

I wtem przypomniał sobie. Raz już to słyszał, nie wczoraj, gdy Meta pouczała go i nie, gdy stara kobieta trzymała go na swych kolanach w kinie i nie wtedy gdy Agata Wojtkowiak zwabiała go do swego pokoju, lub gdy jej piękny przyjaciel Oskar Riwaliski zabawiał się z nim tkliwie. Wszystko to było bez znaczenia, było tylko zwierciadłem życiowego błota. Gdzie, gdzie on to słyszał? „Kocham cię“ — —

Odwrócił się, objął dziewczynę i szepnął zachwycony: „Kochasz mnie“ —

Było zimno, lecz Chaja siadła na schodach, przyciągnęła Ablu ku sobie, zaczęła mu opowiadać i żalić się na swój los. Chaja Genachow miała poślubić Mayera Weiza z Czerniowic. Handlował tytoniem i był bardzo bogaty, był pięknym mężczyzną, miał mieszkanie w Paryżu, auta i willę nad jeziorem Garda. Lecz Chaja Genachow go nie kochała.

— Ja ucieknę Ablu — powiedziała — pojedę do Zurichu, zdam egzamin i będę studjowała medycynę. Mam bardzo dużo biżuterji po babce, sprzedam.

Chajo! — zawołał na górze Reb Chaim, jej ojciec. Jakieś drzwi otwarto, błysnęło światło.

Chaja pociągnęła Ablu w cień.

— Nie powinienes mnie zdradzić. Pewnego dnia wyjadę. W Boże Narodzenie przyjeżdża Mayer Weiz i mamy się zaręczyć. Nie zapominaj o mnie.

Pocałowała go mocno, jakgdyby na zawsze. Oddawała mu duszę, piła jego ducha — w tym poca-

lunku. Chłopak objął ją z siłą mężczyzny. Ulica, podwórze, piwnice nie pozbawiły go wrażliwości, przygotowały go, uczyniły dojrzałym. Gdy przyjdzie prawdziwe życie, by je pojąć i poznawszy — zakosztować.

Przyciągnął ją do siebie.

— Lecz ty mnie nie kochasz? — szepnęła dziewczyna.

Odwrócił głowę, pomyślał i odpowiedział z prostotą: „Nie wiem, panno Chajo“.

Roześmiała się. Tętniące, cierpiące serce zabrzmiało w jej śmiechu.

„Ja nie wiem, panno Chajo“ — powtórzyła zachwycona i okręciła się dokoła niego.

— Chajo! — zawołał ojciec znów. — Poczł stoisz na dole z Ablem Adlerem! Jeśli chcecie się śmiać, chodźcie do nas na górę!

Wybiegła z chłopcem na ulicę, uderzyła go mocno w plecy i pobiegła z powrotem. Stała, spojrzala w górę, gdzie przez otwarte drzwi widać było szabasowe lichtarze, beztroskich mężczyzn, całą jej przygnębiającą rodzinę; wstrząsnął nią dreszcz i z oczu pociekły jej łzy.

— Cóż ci się stało? — zapytał stryj Dawid.

Abel ujął go gwałtownie i głęboko pocałował. Pojął tak wiele. Dowiedział się, dlaczego go stryj tak kochał i że mu nigdy nieposiadane szczęście zastąpić powinien. Jedna myśl go uderzyła: „Ach, gdyby mamuśka go znów pokochała —“ Ale już prosił w myślach ojca o przebaczenie.

— Kocham cię — szepnął i ukląkł przed Dawidem Adlerem nabożnie, ze czcią i świętą miłością.

Dawid objął go, pochylił się nad nim i wszystkie pragnienia w nim zamarły. Tu był jego rozum,

jego życie, jego radość. Miłość — był to już tylko wyraz, bez znaczenia, daleki, przebrzmiały, zagubiony, możliwe, że zapomniany. Lecz to dziecko było nowem życiem, bezboleśnie ożywiało martwe serce, ciepło i miłośnie pachniało odmłodzeniem. Co było zakłete i nie do zdobycia, leżało w jego ramionach żywe i pulsujące.

Stryj i bratanek mieli kłopot, dużo namysłów i dyskusji. Abel ukończył trzynaste lat i rodzice zapytywali, jak będzie z konfirmacją...

Abel nie pamiętał prawie hebrajskiego, legendy leżały jeszcze zagrzebane w jego pamięci, lecz już pisma nie mógł więcej odczytać. W szkole na Greifswalderstrasse pobierał lekcje religii u starej, wyschniętej panny, lecz to ograniczało się do Biblii i przykazać.

Co robić? Rodzice chcieli jaknajprędzej przyjechać na konfirmację syna. Potem napisała Mirjam, że ojciec przyjedzie bez niej, gdyż nie można interesu zostawić samego, a podczas takich wielkich dni jest ojciec ważniejszy, niż matka; chodzi właściwie o odebranie go matce i włączenie do gminy męskiej. I potem to wstrząsające pytanie: „Dlaczego nie przyjeżdża nigdy na wakacje ukochane, najdroższe dziecko“?

Ach, wakacje, właśnie wakacje chciał Abel przepędzić w mieście. To był jedynie czas zupełnej swobody i nieskrępowania, pozwolenie na wałęsanie się po nocy, spędzanie przedpołudnia w porcie lub w ogromnych halach targowych w miejscach wylądunku. Włóczenie się przez Grünewald do Potsdamu, kąpiele w rzece, zwiedzanie muzeów ze stryjem Dawidem, podczas gdy panna Sadewasser

sama załatwiała sprawy interesu. I potem nie mógł myśleć o rodzinnem mieście bez drżenia, chwilami zdawało mu się, że traci przytomność na samą myśl powrotu, jak wtedy, gdy ukrzyżowanego rzucono w powietrze, gdy wpadł do rzeki Klodnitz... Nie chciał więcej wracać z powrotem. Tu, w wielkiem mieście złodziei, morderców, oszustów, spekulantów, dziewczek i faktorów był bezpieczny. Tu nie było wstydu pochodzenia, każdy był tem co osiągnął.

Wreszcie siadł z nim stryj Dawid do nauki modlitwy, którą miał mówić podczas dnia konfiracji. Zapisano go nie do starej surowej i wymagalnej synagogi, lecz do małej, nowej gdzie nie wymagano tak wiele, i zawiadomiono rodziców. To było w grudniu 13 roku, i zdarzyło się tak, że ani Gerszon ani Mirjam nie mogli przyjechać. Gerszon leżał złożony reumatyzmem w łóżku i nie mógł się ruszyć, a Mirjam nie mogła opuścić sklepu w porze świąt Bożego Narodzenia. W ten sposób odbyło się to bez żadnych uroczystości. Pierwszy raz w długich spodniach i miękkiej czapeczce, szedł obok stryja Dawida do domu. Otoczyło ich sobotnie życie Berlina. Śnieg topniał pod łagodnem słońcem. Z pod kół i gum srebrzyście połyskujące błoto opryskiwało przechodniów. Na placu Aleksandra stare kobiety sprzedawały żółte róże z Rivieri.

Stara, ślepa Abeljam, która obecnie musiała zarabiać, stała między niemi. Od czasu gdy syn po ataku apoplektycznym musiał przedwcześnie pójść na emeryturę, i jego trzydzieści pięć marek miesięcznie nie wystarczały, stara, ślepa matka, siadywała na składanem krzeselku i wyciągała rękę z różami w ciemności. I czekała cierpliwie, aż ktoś litościwy

rzuci jej do koszyka dziesięć fenigów. Syn gotował w mieszkaniu i przynosił jej jedzenie, a o siódmej odprowadzał ją do domu. Często, przechodząc tamtędy, wrzucał jej Abel do koszyka monetę. Podczas ferji, przyprowadzał ją o dziesiątej na jej zwykle miejsce, wyręczając syna, któremu było bardzo ciężko chodzić. W domu, gdzie mieszkali, zdarzyło się nieszczęście. Administrator Bumke, ojciec pracowitej Mety, wszedł na dach, by obejrzeć uszkodzone cegły i poślizgnął się na zaśmieżonym dachu. Spadł z wysokości 20 metrów na kamienie podwórza, i dwa dni się jeszcze męczył nim umarł. Pozostała więc Karolina Bumke ze swemi małemi zarobkami z prania, a musiała jeszcze dopomagać rodzicom, którzy żyli w wielkiej biedzie z emerytury pocztowego roznosiciela. On chory, ona prawie głucha i ślepa. Meta, tak Meta zarabiała czasem przez swą przedsiębiorczość tabliczkę czekolady lub markę od jakiegoś pana. Lecz miała zaledwie czternaście lat. Nie można jej było jeszcze wysyłać na zarobki. Policja! Można było najwyżej spytać starego Zenzesa, z frontu, na pierwszym piętrze, który posyłał zwykle swoją córkę do tramwajarza Bückekich'a, gdy przychodzili oficerowie. Karolina Bumke włożyła odświętne ubranie i zapukała do pana Zenzesa. Chciała to załatwić bardzo dyplomatycznie, lecz omal że nie została wyrzucana za drzwi. Zwyciężyła jednak obawa denuncjacji. Zenzes powiedział:

— No, moja droga Bumke, mogę zrozumieć, pani położenie. Lecz głowa do góry, przyślij ją pani, podczas gdy będą panowie, to się to jakoś urządzi. Może coś kapnie. Lecz: zamknięte usta, Bumke! Ale jak pani się jeszcze dobrze trzyma!

— Tak — powiedziała zarozumiale Bumke. —
Wszystko jest jeszcze na miejscu.

Stary Zenzes musiał się osobiście przekonać,
nie wierzył samym zapewnieniom.

Wtedy zdecydował się Abel wystąpić. Poraz
pierwszy pomagał własnym czynem. Chodził po pod-
wórkach Neuenkönigstrasse i Landsbergerstrasse i
innych ze swojemi skrzypcami. Omijał bogate dziel-
nice, wiedząc, że tylko biedne serca są rozwar-
te dla współczucia i tylko dłonie biedaków rzucają datek
biedniejszym.

Stał więc na podwórkach, na niepewnym grun-
cie dziurawego asfaltu, pośród nieuczesanych ko-
biet, nieumytych dzieci, w pobliżu skrzyni do śmieci
i grał.

W oknach, które niechętnie otwierano dla wpu-
szczania powietrza, ukazywały się głowy służą-
cych z frontowych mieszkań i kobiet, mieszkają-
cych w małych mieszkankach od strony podwórza.
Starzy mężczyźni spoglądali przez zmętniałe od ku-
rzu szyby, staruszki uśmiechały się, gdy mały piękny
cygan grał. Dziewczęta, pochylone nad maszyną do
szycia, płakały, matki, które obierały w kuchniach
kartofle, brały pięć fenigów, przeznaczone na śledzia
lub plasterek kielbasy, owijały w papier i rzucały
przez okno. I dokoła Abła padały nikłowe i miedziane
monety, paczuszka z kielbasą, jabłko.

Zanosił do Bumke pełne kieszenie. Stryj Dawid
powiedział :

— Złapią cię za żebraninę, chłopcze. Czyż nie
jest to bardziej pycha, niż bohaterstwem ?

Abel zbladł.

— Myślisz, że to nie jest poważne ?

Słuchał głosu swego serca, i kto chciał mógł to uważać za zabawkę i romantyczną przygodę!

Lecz stryj Dawid miał jeden ze swych poważnych dni.

— Nie, moje dziecko, u ciebie wszystko jest nastrojem, przygodą, nierozważnym czynem. Ktoś inny z twoim talentem, byłby już dzisiaj sławnym człowiekiem.

— Czyż ja chcę być sławnym? — wykrzyknął chłopak.

— Ty błądasz się w życiu. Niema w twem życiu celu, niema sensu w twoich przedsięwzięciach, Ablu. Znasz tylko daną godzinę. Lecz jutro?

— Nie znasz mnie! — zawołał łajany. — Jeśli tak mówisz, stryju Dawidzie, cóż ja robię. Sam nie wiem, czego chcę. Nie, ja niczego nie pragnę. Dlaczego zawsze trzeba wiedzieć? Nie chcę grywać w salach koncertowych, ty wiesz o tem. Ach, czemuż wtedy nie uciekłem razem z cyganami. Naieżę do ulicy, chcę zupełnej swobody. Nie chcę być kochany, nie chcę kochać nikogo z musu.

— Samotny, samotny człowiek, — powiedział stryj Dawid i roześmiał się tak, że Abel rzucił mu się na szyję, całując, śmiejąc się i płacząc.

— Małym orłem jesteś, doprawdy. Możliwe, że znam ciebie. Nigdy cię nie krępowałem. Wolę dać swobodę ptakowi, pozwolić mu pofrunąć pod strzał niż przywiązywać go do prętu. Nie jesteś stworzony do klatki, Ablu.

— Pod strzał?

— Możliwe —

I odsunawszy go od siebie, zasiadł do swoich książek.

Abel grał. Abel czytał. Tonał w świecie Balzaca, wyzwalając się z jego wstrząsającej prawdy słodczą muzyki. Niezwykłość przygód tej ludzkiej komedji czarowała go. Poświęcił książkom skrzypce. Żył dziko instynktem serca. Pewnego razu poszedł na Grenadierstrasse odszukać piękną Chaję. Jej przyjaciółki spacerowały bez niej. Nie śmiał się pytać. Lecz matka Fejgele siedziała przed jadłodajnią w łagodnym słońcu marcowem. Opowiedziała mu to okropne zdarzenie. Chaja uciekła. Mówią -- matka Fejgele szeptała przerażona — że skradła własnemu ojcu, reb Chaimowi, pieniądze z kasy. Cztery tygodnie temu jak zaginęła, a tymczasem przyjechał Mayer Weiz z Paryża i był zdecydowany ustąpić : Chaja może nie ścinać włosów i w prezencie jej ofiarował willę we Włoszech i konia pod wierzch i auto. „Boże, broń mnie“ — westchnęła Fejgele. Lecz Chaja zniknęła. I dopiero jak Mayer Weiz znów do Paryża powrócił i zwolnił ją z danego słowa, napisała z Zurychu. Wtedy pojechał do niej reb Chaim, jej ojciec, jak tylko mógł najprędzej. I po trzech dniach powrócił milczący, postarzały. i nikt nie mógł się niczego dowiedzieć. Gdy go pytano, mówił : „Jej imię niech będzie zapomniane -- “

— No, i co mówisz do tego, Abele ? Poto się chowa dzieci, żeby zamiast radości, sprawiały cierpienia biednym rodzicom ? — zakończyła Fejgele.

Było to pewnego pachnącego wiosną marcowego dnia, a w kwietniu zdarzyło się to, co los łaskawie ukrywa przed nami, że nie przeczuwamy nawet straszliwej godziny, która musi nastąpić.

Były ostatnie dni lekcji w szkole u Abla, w południe wrócił i zaczął grać ćwiczenia. Stryja Dawida nie było w domu. Była godzina druga, potem

trzecia i nie wracał. Panna Sadewasser wiedziała tylko, że chciał to piękne wiosenne powietrze wykorzystać i pójść na spacer do Tiergartenu. Wyszedł o dwunastej.

Gdy nagle przerażona powiedziała, że teraz tak dużo słyszy się o nieszczęśliwych wypadkach i czy czasem pan Adler, broń Boże, nie...

Wtem wszedł jakiś policjant do sklepu i przyniósł obojgu wiadomość, którą łagodnie, powoli, oszczędzając ich, zakomunikował :

— Jakiś Dawid Adler na Karlstrasse dostał się między dwa tramwaje, przewrócił się i został przejechany. Leży na Ziegelstrasse. Czy rodzina —

Panna Sadewasser drżała od stóp do głów, pobladła na twarzy. Lecz Abel spytał : „Martwy ?”

Policjant powiedział :

— Nie, nie, nie jest tak źle, mój chłopcze. Lecz pojedź pan tylko tam. Czy to pański ojciec ? Jakoś tam będzie.

Nie, jakoś tam nie było. Abel wszedł do ponurej sali, gdzie Dawid Adler leżał sam, na wąskim łóżku, postępując głośno, blady, jakgdyby pozbawiony krwi. Doktor i siostra miłosierdzia stali obok niego i ledwo odsunęli się troszkę, by zrobić miejsce dla Abla. „Pęknięcie czaszki”, powiedział doktor. I na pytające spojrzenie Abla, pokiwał głową, wzruszył ramionami i odszedł. Siostra powiedziała : „Możliwe, że jeszcze raz odzyska przytomność. Jeśli chcesz tu pozostać, usiądź, chłopcze”.

Jej głos był twardy, jak drzewo, jej spojrzenie chłodne, jak biała sala ze swemi pięciu pustymi łóżkami, nagiemi oknami.

Zrobiło się cieplej, gdy wyszła.

Abel pozostał sam z umierającym...

Zapomniano o nich i Abel zapomniał o sobie.

Coś niewypowiedzianego wiązało go z jęczącym. Jąkdyby on sam tu leżał na wąskiej pryczy i wydawał ostatnie tchnienie.

Sciemniło się, gdy Dawid Adler otworzył oczy. Ucichło mu w piersiach. Spojrzał na ukochanego chłopca i powiedział cicho, jasno, prawie mocno, bez zdziwienia, jąkdyby w tej godzinie konania wszystko wiedział, zdecydował, rozstrzygnął i odnalazł siebie.

— Podejź tu, Abele. Jesteś więc. Lecz potem, ach, zostaje się samym. Nie powinieneś się lękać mnie, Abele. Nie bądź smutny. To nie sprawia bólu. Powiedz mi prędko: czym kochał cię dobrze, kochał właściwie? Czyś był zadowolony ze mnie, moje dziecko Abele, mój ukochany?

Abel rozplakał się, począł jęczeć, krzyczeć, przejęty strachem i tajemnicą śmierci, rzucił się w ramiona Dawida, złożył mu głowę na sercu i błagał:

— Zostań, stryju Dawidzie, zostań ze mną —

— Gdybym mógł! — szepnął Dawid. — Siądź, Abele, uspokój się. Słuchaj. Powiedz twej matce, powiedz jej, że ja... Ach nie, nie mów jej nic. POCO? Wszystko przeszło. Tylko ciebie miałem Abele, moje dziecko —

— Tak, tak!

— Widzisz, jestem sentymentalnym żydem. Gdy myślę: rozłaka — robi mi się boleśnie. Nie mogę usiąść. Nachyl się. Mówił już szeptem: Abele, przynieś skrzypce i zagraj mi nim usnę. W moich spodniach są pieniądze. Pojedź prędko do domu. Wracaj jaknajprędzej.

Chłopiec już biegał. Pojechał na Münzstrasse, porwał skrzypce ze sobą, wpadł do czekającego sa-

mochodu — biedna Sadewasser nie otrzymała żadnej odpowiedzi, drżała jeszcze ciągle, nie mogła ruszyć się z miejsca. Ludzie z oficyn już wiedzieli i, stojąc w bramie, szeptem rozmawiali. I Meta, króciutko ubrana za dziewięciolatkę, z warkoczem przepasanym szarfą i z medaljonikiem na aksamitce, stała przed bramą i głośno płakała.

Abla nie było przez jakie piętnaście minut. Gdy powrócił, nie było już Dawida Adlera na sali, którą oświetlało zachodzące słońce. Zniesiono zmarłego do kostnicy i odesłano chłopca z paru suchemi słowy. Siostra o drewnianym głosie, patrzyła za nim przez chwilę, gdy schodził po schodach, drobny, mały, ze skrzypcami przyciśniętymi do piersi, bezradny człowieczek. Potem odeszła do swych zajęć, by pilnować umierających i konstatować śmierć.

Dawid Adler był...

Pochowano go i stary Gerszon siedział, kiwając głową w pięknych pokojach młodego, niepojętego brata. Kiwał tylko głową i modlił się pocichu, poruszając wargami, gdyż wzrok jego padał na drewniane madonny i obrazy świętych. Nigdy tu nie był.

Lecz młody Abel stał się posiadaczem tego wszystkiego. Do niego należał sklep, urządzenie bogatego, wrażliwego na piękno człowieka, cały dobytek, który się tu znajdował. Nie było tylko pieniędzy. Wszystkie zarobione pieniądze zamieniał Dawid Adler natychmiast na piękny przedmiot, książkę, obraz lub dywan.

Biedna Sadewasser, można rzec, jeszcze nie przestała drżeć. Abel powiedział jej: „Niech pani pozostanie dalej, panno Sadewasser, dostanie pani zamiast stu dwudziestu, sto czterdzieści marek. Czy chce pani ?

Czy chciała! Przychodziła teraz o trzy na ósmą i otwierała sklep, gotowała młodemu właścicielowi czekoladę tak gęstą, że łyżkę trudno było w niej obrócić, kupowała trzeszczące bułeczki i świeżą szynkę. Stary Gerszon nie tknął jedzenia w tym domu. Siadywał na Grenadierstrasse u matki Fejgele, w słodkiej parze jadłodajni i czuł się jak w ojczyźnie swych praojców. I tam na rogu Hirtenstrasse znalazł małe mieszkanie dla siebie i Mirjam, w jakimś brudnym rozwalonym domu, jakgdyby żywcem przeniesionym z Wołynia lub z Folski.

Miał z Mirjam przesiedlić się do Berlina. Gdy tylko Abel dowiedział się o treści testamentu, powiedział do ojca:

— Daruję ci to wszystko.

— Co moje dziecko? Co darujesz, jak jaki wielki pan, bez zastanowienia?

— Przedsiębiorstwo, ojcze. To należy do ciebie i do mamuski. Teraz musicie się sprowadzić. Ja chcę tu mieszkać w tych pokojach. Wy będziecie mieszkać w pobliżu i zajmować się sklepem, a ja...

— A ty, mój synu, Abele?

Na to nie było odpowiedzi.

Teraz były tylko wieczorne zajęcia w szkole, doksztalające we francuskim, angielskim, geografii i handlowości. Cały dzień należał do chłopca na muzykę, włóczęgę, rozmyślania i budowanie napowietrznych zamków.

Ojciec pojechał do Oskretschem, lecz Abel wahał się mu towarzyszyć. Nawet na najkrótszy czas. Tam jego subjekt przejął sklep i mieszkanie, podejmując się przez piętnaście lat płacić po dwa tysiące marek, potem stanie się to jego własnością. Zapakowano rzeczy, bieliznę i ubrania, naczynia kuchenne

ne, lepiej zachowane meble, dwojaki nakrycia, stare serbro. Złożono pożegnalne wizyty. Rabbi Lewinson żył jeszcze ciągle i chwalił lepsze czasy. Żydów nie wyśmiewano teraz na ulicy, chłopcy ze szkół nie prześladowali małych żydków, żydowskie dziewczęta nie pociągano za warkocze, żaden kamień nie wpadał do synagogi przed ołtarz Najwyższego.

Było już zupełne lato, gdy Mirjam uścisnęła swe dziecko. Gdy Abel ją obejmował, usłyszał łagodny i miękki głos stryja Dawida : „ Kocham cie — kocham cię“. I przestraszony puścił matkę i popatrzał na nią. Starzejąca się kobieta, której czarna peruczka tak głupio nie łączyła się z czystą białą cerą twarzy i szaremi oczyma. Wązki, szlachetny nos zaczął się zaostrić, i piękny rysunek ust pobladł. Zapach spokoju i pewności otaczał ją jak dawniej i jak dawniej czerpał z niego Abel.

Jak dziwne : to była matka i matka też była kobietą... Mężczyźni uwielbiali ją, kochali. A ona ? Co kryła w sobie ? Czego pragnęła ? Czy była szczęśliwą, czy tęskniła za czemś ?..

Mirjam płakała. Padało, jechano w zamkniętej dorożce, wzięła swe dziecko na kolana. Był ciężki i zaduży na jej ramiona.

— Abel, moje życie, jaki duży, piękny i silny stałeś się, moje dziecko ! Czy rzeczywiście grasz jak artysta ? Czy będziemy z ciebie dumni, czy będziesz sławnym ? Powiedz, Abele, co mówił stryj Dawid ? czy lekko umierał ? Czyś był zawsze dla niego takim, że sprawiałeś mu radość ?

Abel przyglądał jej się zamyślony. Czy zapomniała zupełnie ? Czy kochała ojca tak bardzo, że... Stary ojciec z pejsami, z których nie chciał uczynić ofiary, w starej kapocie, z już zbielałymi włosami i

broda, czy mogła go pokochać kobieta? Ach, cóż to jest miłość?.. Niezrozumiała dla tego, kto jej nie odczuwał... On był dzieckiem tego mężczyzny — Nagle stał mu się obcy, wrogi, nienawistny... Abel zamknął się w sobie. Na miłość boską, ojciec! Wziął go za rękę i ucałował kornie. Potem przytulił się do matki. Stara dorożka trzęsła, że czuł się niemowlęciem kołysanym w jej ramionach, coraz głębiej zapadał się dzieciństwie, z powrotem w łono maczyne. Słyszał bicie jej serce tak uspakajająco bliskie, tak wierne, że zdawało mu się, że leży pod niem uświęcony głębią jej życia wewnętrznego. Dla staro Adlera zaczęły się ciężkie czasy, był jak zgubiony zamroczony bezładnem życiem berlińskich ulic. Kręcił się na rogach i życzliwi ludzie przeprowadzali go przez plac Aleksandra. Potem stał tam, nie wiedział dokąd skrócić, gubił się, lękając się spytać śpiesznie idących przechodniów o drogę. W końcu chodził tylko z Hirtenstrasse na Münzerstrasse, na Grenadierstrasse, zatrzymując się przed każdym domem, i po upływie trzech dni, był członkiem żydostwa, mieszczącego się tam, synem narodu, którego mała cząsteczka skupia się tam na północy, w wielkim przyjaznem mieście.

I Mirjam też z początku nie próbowała przedostawać się do miasta. Sprzątała małe pokoiki i gotowała jedzenie, potem szła do Abła. Siedziała za zasłoną między sklepem i mieszkaniem i przeglądając bieliznę Abła, dawała baczenie na pannę Sadowasser. Wielkie stare szafy były prawie puste. Wszystko, co stryj Dawid posiadał z ubrania i bielizny, rozdawał Abel. Chrześcijanie i żydzi przychodzili; żebrząc, otrzymywali wszystko.

Często podczas ożywionych godzin sobotniego

popołudnia pomagał Mirjam w sklepie. Abel, skacząc po drabince, podawał pudła z kołnierzami i krawatami. Stary Gerszon był bezradny wobec tych eleganckich klientów o berlińskim dżalecie, nie rozumiał ich dowcipów, ich przyjacielskiego grubijaństwa. Zaczął robić małe interesy na Grenadierstrasse, bankowe pośrednictwa, sprzedaże. Spacerowano w cieniu i przyglądano się panom ze śródmieścia, którzy się odważali przyjść do ghetta, jakgdyby szukając czegoś zakazanego, między nimi, zeuropeizowani żydzi, którzy tu wśród swoich kapotowych braci czuli się gorzej i bardziej zakłopotani, niż chrześcijanie, mimo to nie wstydziło się używać ich do swych sprawek, w których mieli największy udział. Zdarzyło się raz, że jakiś blondyn, którego samochód czekał na rogu ulicy, zbliżył się do starego Adlera i cynicznie go spytał: „Słuchaj stary, czy nie mógłbyś mi się wystarać o jakąś dziewczynę żydowską?”

— Tak, sprawiedliwy Boże, i to stało się tu możliwym w tem dużem grzesznem mieście — myślał Gerszon — w mieście, gdzie niema Boga w niebie! Żydowskie dziewczęta sprzedają się, stają się dziewczkami, wszetecznicami. Boże wszechmogący, co stało się z Twoim ludem!

Lecz Mirjam nie wiedziała o niczem, świat był jej obcy, jakgdyby nie mieszkała na nim. Brała swe dziecko za rękę i szła z nim jeść obiad na Hirtenstrasse. I znów w wieczory piątkowe widział Abel palące się świece. Gerszon sprowadzał z bóżnicy obcego przybysza, któremu okazywał gościnność, karmiąc go i dając nocleg, zanim odjeżdżał do Lwowa, Kowna czy Kijowa z powrotem. Wszystkie posty były przestrzegane, lecz Mirjam gotowała mu skry-

cię, zwalczając siebie, by uchronić ukochane dziecko, nieprzywykłe do niemiłych umartwień.

Abel stał się panem mieszkania. Lecz nie czuł się w niem samym. Duch stryja Dawida żył w każdej drobnostce dalej i Abel nie mógł żadnej szafy otworzyć, by nie zdawało mu się że dotyka niemal czegoś, co zeń jeszcze na ziemi zostało. To, co znajdowało się tu, było żyjącą cząstką zmarłego stryja. Gdy stół w nocy zaskrzypiał, było to westchnienie, które z siebie wydobył, gdy szumiały jedwabne firanki, były to szeptane słowa miłości, lecz wszystko to nie przestraszało. W żywym cieniu, który martwy roztaczał, żyło się pewnie i pod ochroną.

Abel spał sam w złocistym pokoju z czarnymi meblami. Czasami w gorące noce letnie chwytало go jakieś niewyjaśnione pragnienie, był już dojrzały, wczesną dojrzałością dziecka wschodu, był to tylko zew krwi. Lecz kochać nie umiał jeszcze...

Tam, gdzie były tylko rozpalone żądze, serce jego milczało i pozostawało zimne. A jeśli budziło się w nim uwielbienie, rozpływało się w bezoosobowym rozmodleniu i tak został nietknięty, dojrzewając duchem. Kochał występki, bo go pojmował: nie brudząc go samego — odświeżał go, oczyszczał i zagrzewał do walki. Dziecko jeszcze wiekiem, dojrzały duchem, mężczyzna — uczył się nieświadomie współdziałania powściągliwości i wzmacniania sił duchowych.

W gorące duszne noce opuszczał dom już nie w towarzystwie kolegów. Stał się w trybie życia, które prowadził, bardziej samotny, chociaż bardziej napełniało go ono uczuciem współczucia dla ludzi. Chętnie podzieliliby się z każdym ostatnim kęsem

chleba, lub nawet oddałby go zupełnie, zdjąłby ze siebie ubranie, marzyłby bez niego, byleby ogrzać nawet wroga. Lecz to, co go uszczęśliwiała, co wschodziło w jego sercu, co krzepiło jego ducha, pozostawało tajemnicą. Rozwierał swe serce, by się w niem ukryć. Im bardziej się udzielał i oddawał, tem więcej niedostępnie zamykał się w nim duch. Będąc jeszcze dzieckiem, siadał w łóżku nie mogąc zasnąć od myśli i pytań, które go dręczyły.

Czyż jestem obłudnikiem? Czy tylko gram komedję? Nie służę przecież sobą, oszczędzam siebie, zbogacam tylko swą wiedzę życiem innych. Moja ofiara jest rabowaniem innych.

Nie umiał jeszcze dobrze przemyśleć tego. Choć nie był nigdy bezmyślny, choć chwile, w których myśli te dręczące go opuszczały, były najbardziej głęboko uszczęśliwiające. Lecz już w następujących sekundach: Czegom się nauczył? POCO to było? W jakim celu?

Błąkał się nocami. Znał dziewczęta z placu Aleksandra, chłopców na Schönhauserstrasse, całe to upadłe zbiorowisko z tych dzielnic aż po Pankow, Reinickendorf. Sutenerzy ze Stettinerbahnhof brali go ze sobą do swych kawiarni, gdzie oczekiwali na swe dziewczęta, które im przynosiły pieniądze. Znał wszystkie tajemnice prostytutki, znał wszystkie prawa i wybiegi sprzedajnej miłości, znał podziemne knajpy złoczyńców i właścicieli lupanarów, kawłarnie z Lothringerstrasse, gdzie starzy panowie i zepsuci młodzieńcy z Kurfürstendammu wyszukiwali dla siebie wykonawców do niecznych planów. Wchodził i wychodził swobodnie z straszliwych mieszkań prostytutek. Czyż można się ukryć przed życiem? Gdy się narzuca ze swym bólem i wsty-

dem? Czyż można inaczej niż mu się ofiarować? Czyż nie jest wszystko łaską, co nam przynosi? Łaską — przeżycie wstrętu, kłopotów i mąk? Kto tak ukochał życie, jak on, szuka i rzuca się w najgłębsze otchłanie życia, jeśli nawet na dnie znajduje śmierć. Czyż nie jest ostatecznie śmierć najwyższym przeżyciem wszystko obejmującym, koronującym i zwyciężającym?

Wszyscy kochali go. Dziewczęta o zmartwychwstałych ustach całowały go z uczuciem. Zboczeni, zwyrodniali mężczyźni przyciągali go do swych stołów i odnajdywali w sobie coś nakształt: braciszek, synek... Odczuwali i odnajdywali zapomniane uczucia w sercu, zagubione dzieciństwo, wspomnienia matki, stawali się lepsi przy nim.

— Nasz mały żydek — mówili. I po raz pierwszy był wyraz „żyd“ dla niego wyrazem miłości i pieśczości.

— Mój żydzie, mój żydzie — szeptały kobiety, odpoczywając od mężczyzn na jego chłopięcej wąskiej piersi.

— No, stary żydzie! — krzyczał znany alfons w plwicznej knajpie i klepał go po ramieniu i w jego uśmiechu przeblyskiwało coś, jakby echo nieśmiertelnej boskości, która tkwi w każdym człowieku, a w sutenerze jest tylko głębiej ukryta.

Może to on był — Bóg — który postępował za małym żydem w tę krainę rozpusty. Może odczuwał Jego obecność nawet w sprzedajnych ramionach. Jego rękę nawet w przeznaczeniu dziewczki, w napaściach włóczęgi. Bóg dotykał go poprzez ramiona upadłej i poprzez dłonie mordercy. Wszędzie otaczało go Jego tchnienie, budzące wszystko na nowo do życia. Wszystko na nowo. Niema więc bez-

względego zła, bezwzględnej brzydoty. Istota pochodzi od Boga i wraca do Boga z powrotem. Na tej drodze musi być wszystko boskie. Czyż odnalazłaby się z powrotem u Stwórcy? Czyż nie musiałaby inaczej żyć wiecznie, nieśmiertelna w grzechu, niezdolna wrócić do czystości, związana i przykuta po za nawiasem Boga! Nie, człowiek nie opuszcza nigdy Boga. Może czasem Bóg go opuszcza — i wtedy wina jest bez winy i dlatego lituje się Bóg w swej łaskawej miłości nad upadłym, gdyż on był winien jego upadku. Złe sumienie: to może być tylko w duszy Stwórcy. Człowiek jest czysty i bez grzechu. Co jest w grzechu — pochodzi od Boga...

Tak myślał chłopiec, gdy opuszczał mieszkania wszetecznic i sutenerów. Zanurzał się tylko na dnie stworzenia, by tem głębiej rozumieć i kochać. Im więcej wiedział o błocie na dnie, tem dziwniejsze wydawało mu się światło i uśmiech widaćego. Uczył się i pojął, że przebaczone jest tylko pycha, pobbłażaniem, zarozumiałością.

Nie można być bardziej zbratanym niż ze stworzeniem na ziemi. Gdyż pojął to bezwiednie już teraz. Człowiek o ile go dziś odnaleźć można jest tu na dnie łatwiejszy do odszukania, niż tam na zachodzie miasta, gdzie mieszczą się luksusowe lokale, w pałacach, gdzie z drzwi i okien kapie zbytek. Nowa kultura zabiła ducha, przyrodę, podobieństwo Boga. W biedzie, w brudzie, w nędzy, w zbrodni był Bóg widoczniejszy, niż przy marnotrawnych i hulaszczycach ucztach.

Milej mu całować mordercę, niż z bogaczem z jednego pić kieliszka, lepiej zarazić się od dziewczki, niż być zdrowym przy bogatych, kłamliwych kobietach zachodu. W tym domu, gdzie cuchnie bieda,

był Bóg widoczniejszy, niż w wonnych salonach bogaczy. Mało jest, pośród milionów ludzi, ludzkiego. Lecz było jednak widoczniejsze, wśród wydziedziczonych .

Wszystko to widział mały żyd, waleśający się pod mętniejącymi gwiazdami. Uliczne drzewa, wyrosłe z asfaltu i kamienia, szeptały mu o utraconym szczęściu, a rynsztoki zarośnięte trawą o wyśnionych źródłach. Lecz drzewo, gwiazda i woda nie przemawiały do żyda. Nie znał przyrody. Już jego praojcowie utracili ją. Zamknięci w ghecie na ulicach, pozbawionych drzew, nie widząc pól i rzek już dawno oduczuli się współżycia z trawą i kwiatem, poematów bez słów. Biedny żyd, więziony w murach, był uciśniony jak brat i jak wróg. Nawet psa podjudzano na niego, nawet kot jeżył się na jego widok. Posyłano mu robactwo, lecz kwitnąca natura była mu zabrana.

Młody Abel widział tylko naturę, lecz nie mogła go pocieszyć, nie rozumiał jej. Był cały zamknięty w duchowych przeżyciach. Nikczemny uśmiech dziewczki, wyzwisko rzucone przez wroga, dawały mu głębsze poczucie Boga, niż szmer gałęzi na drzewie lub blask gwiazd widzianych z oddali. Cały świat przestawał istnieć dla niego, gdy jakaś prostytutka opowiadała mu jakim stworzeniem jest mężczyzna; gdyż tylko ona go znała w całym jego bezwstydzie. I możliwe, że milkła i muzyka dla niego, gdy jakiś z więzienia wyszły opryszek opowiadał mu o drogach zbrodni, o cierpieniach w więzieniu. Życie, jeśli to było życiem, było ważniejsze niż wszystko, co szczęściem, rozrywką, zapomnieniem nazwać można było. Zniść do niego było wyższym celem, niż sztuka i wiedza.

Dlaczego? — Tego pytania nie stawiał sobie jeszcze młody Abel — gdyby choć raz je sobie zadał i nie znalazł odpowiedzi, możliwe, że stał by się bardziej wiedzącym, wiedzącym na tyle, by nie interesować się człowiekiem. Gdyż dużo później pytał o to, gdy życie już go opuszczało, tak późno, że zbrakło już czasu na odpowiedź. Bóg pozostał milczący. Czyż jest podczas życia miejsce, czas i głos na pytanie? I czyż jakieś stworzenie dba o to pytanie? Bóg umiera z człowiekiem. Gdy Abel Adler odnalazł Boga w brudzie i bólu, spojrzał tylko w głąb siebie. I wszędzie, gdzie Go nie kochano — mówił daremnie o Bogu.

— Bóg — Bóg — ileż nocy przemyślał nad Jego nieskończonością! Jakież to dziwne, że czuł się bliskim Niemu tam, gdzie człowiek w grzechu tonął. Jak niedorzeczne, jak sprzeczne z logiką — że Bóg więcej w grzechu tkwi, niż w cnocie... Jego myśli nie sięgały dalej. Nieszczęśliwy, zawstydzony rzucał się na poduszki i zasypiał.

Jego stary mistrz umarł. Kacper Zaremba, od roku już znany wirtuoz, odziedziczył po nim uczniów. Zachował tylko tych najzdolniejszych, w tej liczbie i Abła Adlera, lecz ten nie spełnił tego, co zapowiadał. Tylko podczas tygodniowych lekcji u Zaremby, wieczorem od dziewiątej do dziesiątej, w wielkiej zimnej sali wyższej szkoły, — tylko przy pulpicie paliła się lampa — reszta tonęła w mroku — tylko w tych godzinach śpiewała z Abła dusza cygana ukryta głęboko w jego krwi i żyłach. Zaremba boleśnie przyciskał swe twarde palce do ramienia młodzieńca, ciągnął go za włosy i rozpałał w nim siłę, ogień i namiętność.

Trzaskał batem. Abel zbierał się w sobie i z

pod jego smyczka płynęła canzonetta Czajkowskiego z taką namiętnością i uduchowieniem, że здавало się, że życie z niego zabierze. Bat świstał w powietrzu, sala tonęła w zupełnych ciemnościach, w rogu miotał się dziki Zaremba i wrzeszczał :

— Graj! Lżej, pełniej, syciej! Gdzie zostaje dźwięk! Czy cię to boli? Czekał, chłopczyku, nie wstydz się. Krzycz, krzycz, lecz wydobywaj.

I wrywał to z niego. Abel grał na swojej duszy, ona uciekała z rozpalonego ciała do skrzypiec i wyplakiwała tam swe cierpienia szlochając. Teraz był już dostatecznie rozgrzany, by grać melodie Brahmsa. I grał D - dur koncert jak mężczyzna, który znalazł ton dla swych cierpień, tęsknoty i opuszczenia, jak twórca, który gorzyc wlewa w najjaśniejsze dzieło.

Potem po tych godzinach męki i rozjaśnień, całował Zaremba chłopca wilgotnymi ustami, dodając mu spokoju, siły i ciszy i głaszcząc struny, mówił łagodnie :

— Nigdy, dziecino, nigdy nie staniesz się kimś. Poco męczę nas tylko! Nie jesteś czynny. Dajesz się zasłaniać. Jeśli cię nie wpędzę biczem do pierwszych rzędów, pozostaniesz w tyle i zginiesz. Lecz kto cię kocha dostatecznie, by cię bić, prócz mnie? Idź, żydowski chłopaku, głupcze, nie mogę patrzeć na ciebie. Jesteś nieużyteczne życie. Pfu! wynoś się!

Abel śmiał się, obejmował go, całując go w ramię. Gdy grał w domu, dźwięczało bezduszenie i blade. Czyż naprawdę trzeba cierpieć, żeby osiągnąć? Jak długo wiedzie mi się dobrze — nie będę nikomu przynosił korzyści?

— Boże, niech mi się źle powiedzie!

Gdy Abel tak w dobrej wierze modlił się, stało

jego przeznaczenie za nim, cicho, chwilę się waha-
jąc. Potem zapadła decyzja...

Jeden z byłych uczniów Zaremby, obecnie agent w dziedzinie muzyki, przyszedł do niego z zapytaniem o skrzypka, potrzebnego na drugiego skrzypka do kawiarnianej orkiestry w Interlaken. Musi być młody, piękny o cygańskim typie. I żeby ton jego skrzypiec miał brzmienie odpowiednie do tercetu.

Gdy Abel Adler przyszedł na następną lekcję, powiedział do niego Zaremba :

— Zdecydowałem za ciebie. W pierwszych dniach sierpnia będziesz już w Interlakenie, w kawiarni Szuh ; od czwartej do szóstej i od ósmej do jedenastej będziesz tam grywał. Drugie skrzypce. Rzucam cię w świat. Tu rozleniwiasz się. Będziesz codziennie po cztery godziny ćwiczył, naszą metodą. Wieczorami możesz grać jak bydlę, inaczej nie będziesz mógł. Poeta może napisać nieśmiertelne dzieło, a nocą w kabarecie zarabiać dowcipami, jeśli to potrzebne dla dzieła. Idź z naszymi bogami Beethovenem, Bramsem, Mozartem. Będziesz im dalej służyć. Nie będziemy grali już dziś więcej.

Na odchodnym powiedział mu jeszcze : W ciągu ośmiu dni musisz wyjechać. Na Wielkanoc wrócisz z powrotem. I będziesz grać. Dowidzenia. Nie dotykaj się mnie. Zapanuj nad sobą, głupcze. Wiesz : kocham cię. Dowidzenia.

Wypchnął go za drzwi.

Abel Adler spał jakby odurzony. Matka płakała skrycie. Gerszon Adler był dumny. Jego syn w piętnastym roku zarabiał dwieście pięćdziesiąt marek miesięcznie.

W owym czasie gorzała Europa. Abel jechał poprzez ten wzburzony, dojrzwały do wybuchu świat.

Przyjechał do jaskrawego tłumnego Interlaken, wynajął sobie pokój i poszedł do kawiarni, dziś jeszcze jako placący gość, przez służbę bardzo uniżenie traktowany, żeby usłyszeć orkiestrę, w której jutro zasiądzie jako drugi skrzypek. Serce biło mu mocno. Oddech gór otaczał tę dolinę wśród jezior, nieznanym blaskiem świeciły gwiazdy nad tajemniczymi szczytami gór. Ziemia narzuciła tu sobie olbrzymów i człowiek zdawał się tu mniejszy wśród gór, niż w strumieniu miasta. I to stężenie i bezgłos były bardziej ogłuszające i przeraźliwe, niż blask, hałas i nieskończone morze ludności miast.

— Czy to jest rzeczywistość? — zapytywał siebie młody Abel, stojąc w oknie swego pokoju i słuchając szumu dochodzących go dźwięków muzyki i dzwonek wracających z gór krów. Oddychał nieznanem powietrzem, zmieszanem z zapachem pól, lasów, wody i śniegu. Zdejmował go strach, jakiego nigdy nie odczuwał podczas uniesień ludzkich.

Nie spał tej nocy — pierwszego sierpnia. Gdy rano zdecydował się poznać tę przerażającą go naturę, zanurzył się w jej blasku, zapachu i pięknie bez końca, świat stał już w płomieniach. Wojna wybuchła; odurzyła przerażeniem ludzkość dokoła, popychając ją ku nieznanemu i budząc w każdym uczucie: „Ojczyzna“. Muzyka nie rozbrzmiewała więcej. Młody Abel został na bruku, nie miał paszportu, żadnego dowodu. Gdzie był jego dom? I gdyby nawet padł na kolana przed tymi uciekającymi, nikt nie zainteresowałby się nim; nie było gór, śnieg nie błyszczał na szczytach, las nie śpiewał. Tylko jeszcze kobiety trzymały się mężczyzn, matki troszczyły się o dzieci. Lecz mężczyzna, młodzieniec, był już sam, obcy i daleki miłości i współżyciu, blis-

ki i zbratany już ze śmiercią. Tam nie towarzyszy już żadna matka.

Abel rozejrzał się dokoła. Teraz świat należał już do niego, lecz był opustoszały, pozbawiony ludzi. Jakiś pies porzucony szedł za nim, pochylł się nad stworzeniem i w jego spojrzeniu odnalazł wyżyny miłości, na które nigdy nie wzniesie się człowiek.

Po deszczu zajaśniały gwiazdy nowym blaskiem nad ciemną i głęboką zatoką, krople spadały z ciężkich wierzchołków i łodzie głucho obijały się o siebie. Jezioro pluskało, uderzając o brzegi, noc górską przepelniona była tajemnicą, szczęściem, pieszczotą.

— Czyś dużo w życiu popełnił złego i brzydkiego? — pytała dziewczyna. Oparła się o ukochanego i spoglądała w niebo. — O, spadła gwiazda i nie zdążyłam pomyśleć życzenia, zawsze przepuszczam tę okazję. — Powiedz, popełniłeś?

— Jeśli się tem daje radość i przynosi szczęście, czy to jest brzydkie? Nigdy świadomie i z wolą nie skrzywdziłem nikogo i nigdy tego nie uczynię. Możliwe, że popełniałem grzechy, lecz to było dla dobra innych. Czy to złe?

— A ty? Jak postępowano z tobą?

— O to nie trzeba pytać, kim się jest?

— Tak, ty kochasz ludzi. Lecz jeśli jest się zależnym wzajem od siebie? Tyś jest szczęśliwy. My — cierpimy jedni z powodu drugich.

— Cierpcie, cierpcie — powiedział młodzieniec śmiejąc się. — Gdyż z cierpienia wytryska źródło.

Nagle zerwała się:

— Czyż nie jest on obrzydliwy — zawołała. — Aleksandrze Gottlos, niech pan powie!

Na drugim końcu ławki obrócony, jakgdyby zapadając w wilgotną ciszę nocy, śledził Aleksander Gottlos, rozmarzony wspomnieniem Moskwy.

— Cóż mam powiedzieć? Mówicie zwykle głupstwa. Zajmujecie się tylko sobą. Lecz w tej godzinie, w tej chwili skręca się z bólu mój brat Jemim z odłamkiem granatu w głowie. Lub chłopci przygważdżają moją matkę do drzwi jej domku. Siedzimy tu bezpieczni, na ławce. Jeśli już będzie najgorzej, usłyszymy echa walk we Włoszech. Jemy, pijemy i śpimy w bezpiecznym mieście. Filozofujecie i chodzicie do teatrów. A poto, byście się mogli weselić i uśmiechać, muszą krwawić miliony.

— Ty właśnie jesteś tym, co filozofuje — rzekła piękna Chaja, potrząsając swemi krótko ściętymi włosami i poruszając tanecznie biodrami. Ulicą przeciągali chłopcy ze śpiewami, przygrywając na mandolinach. Żołnierska piosenka rozbrzmiewała, rozsiewając wiew południowego ciepła.

Wszyscy nadsluchiwali.

— O cudny świecie, życie ukochane! — zawołała dziewczyna i łzy wystąpiły w jej oczach. — Spójrzcie, czy widzicie, jak jest pięknie?

Jeziro oddychało głęboko, jakaś spóźniona łódź płynęła z miasta do Kilchbergu. Cały brzeg wydawał się błyszczącą girlandą drżących gwiazd.

Abel wstał z ławki.

— Tylko oczy, w których przegląda się świat, są piękne. My jesteśmy ci, którzy pięknu nocy nadają ducha i życia. Bez nas byłaby natura pozbawiona boskości.

— Mały bożku — powiedziała śmiejąc się Chaja — uwieńczę cię.

Zerwała z krzaku błyszczącą rosą, wonną gałąź, objęła nią jak wieńcem głowę Abela, pociągnęła ku sobie i pocałowała jego czoło.

Ludzie mijali ich jak cienie. Była północ. Zurüch spał w tę wrześnieową noc szesnastego roku. Podczas gdy świat płonął pijąc krew, pogrążone były pola, góry i jeziora w bajecznej kramie pokoju i szczęśliwości.

Aleksander Gottlos, ciągle jeszcze pogrążony w swych myślach, powiedział :

— To są narody chrześcijańskie ! Mordują hekatombę. My ukrzyżowaliśmy tylko jednego !

— Dlatego, że go posiadają — powiedział Abel, zarzucają nam, żeśmy uczynili Bogiem tego, którego oni uwielbiają. Bez nas nie mieliby go nigdy. Wyostrzyliśmy broń przeciwko sobie. Przypomnijcie sobie : Chrystus w swem życiu nie śmiał się nigdy...

Po paru chwilach powiedziała dziewczyna :

— I nigdy nie kochał.

— Bóg ! — zawołał Aleksander Gottlos. — Nigdy nie był nawet doskonałym człowiekiem.

— Czyż może człowiek całkowicie wyzbyć się cielesności, by stać się Bogiem ? — zapytała Chaja. — Człowiek bardziej jest Bogiem. Kto go ukrzyżował — był silniejszy, niż ukrzyżowany ; kto się odważył — większy, niż ten co cierpiał.

— Pójdźcie — zawołał Aleksander Gottlos. — Wogóle Bóg ! Ten mały codzienny skromny umysł ! Po sześciu pracowitych dniach, byleś Boże zadowolony ze swego dzieła, które było tylko łataniną. Człowiek, którego stworzyłeś małym, przerósł Ciebie, stanął w pracy nad Tobą, gdyż on gani Twój świat, znajdując go niedoskonałym, poprawia go. Robi wynalazki, o których Ty nigdy nawet nie śniłeś. On Cię oddalił, a mimo to świat istnieje ciągle.

Chaja, porwana nadmiarem swobody, deklamowała rozpiętanie swego ducha.

— Boże, małostkowa istota, która się z człowiekiem rachuje, którego Ty nagradzasz, którego Ty karzesz ! Wcale nie jesteś mądry. Wyrachowany jesteś, nieskromny i dlatego krótkowzroczny, choć tak wysoko stoisz. Może dlatego tak wysoko jesteś, bo się lękasz ; w niebie u góry, gdyż lękasz się tu, na ziemi, ludzkiego tłumu. Ze sobą zgadzasz się znakomicie, co Ty czynisz, jest dobrze czynione ; lecz z ludzi jesteś wiecznie niezadowolony. Robisz im wyrzuty o źdźbło słomki w oku, a nie widzisz belki w swoim własnym. Tyś uczynił człowieka złym ! I karzesz niewinnego. Więzisz człowieka bez winy i powodził Ci się bardzo dobrze.

— Cicho — powiedział Abel — wykorzystujesz swoją przewagę. Nie obmawia się nieobecnych. Wymachujecie bronią, gdyż niema przeciwnika. Dla widza jesteście śmieszni.

Mnóstwo młodych ludzi przechodziło obok nich, synowie amerykańskich milionerów, internowani oficerowie. Wyglądali jak ogarnięci wizją kokainy. Miasto było ciche i opustoszałe. Pachniało jesienią. Koty skradały się w poszukiwaniu ostatniej miłości. Na wielkim placu stała samotna kobieta, czekając jeszcze. Popatrzała za trojgiem młodych ludzi ze smutkiem i rezygnacją.

Chaja mieszkała obok uniwersytetu, w małym pensjonacie, z rosjanekami. Aleksander Gottlos pożegnał się na starym rynku. Miał tam niedaleko pokój. W okna jego mansardy zaglądały obie wieże kościoła, nocą głośno szemrał strumień. Abel wspinał się dalej w górę ulicy. Mieszkał wysoko, prawie pod lasem i miał miasto, jezioro i góry pod sobą, jak w przestworzach spoczywające ptaki.

Grał w jakiejś kawiarni na Bahnhofstrasse co-

dziennie po południu od czwartej do szóstej i wieczorem od ósmej do jedenastej. Stał się pierwszym i grał na swoich skrzypcach głęboko, z uczuciem i oddaniem; wszystkie kobiety szalały za nim.

Kelmerzy przynosili mu listy, które odkładał, zapominając o nich. Spojrzenia nie dosięgały go, gdy stał na swem wzniesieniu. I czy grał sentymentalne melodie, czy najczulsze arje — zawsze wydobywany dźwięk zadziwiał go. Ten cud: że strun wydobywać muzykę, czarował go ciągle na nowo.

Był szczęśliwy — boski to stan. Wypoczywał w życiu — z rozpiętymi skrzydłami niesiony życzliwym powiewem.

Czego nie było więcej: — żyda! Natomiast były grupy innych narodowości: francuzi, anglicy, niemcy, austriacy — lecz religji nie było. Nie była tu znakiem szczególnym. Wszyscy czuli się obywatelami całego świata, nietylko poszczególnych państw. Dlatego czuli się wszyscy zbratani. Tam w Niemczech pozbawiony siły lotu duch człowieka leżał w pyle, upadły.

Siedemnaście lat! Lecz tu nie było małoletnich. Znajomości i poznawanie czyniły dojrzałym każdego przedwcześnie. Starzy rozmawiali z nim mądrze, kobiety uważały go za mężczyznę, nietylko w miłości.

— Dзецinko — mówiła Olga von Schestow — ukochane dziecko, moja duszyczko. Cóż z tego, że ja cię kocham, — Spoglądała na niego drżąca z oddaniem, klękała przed nim. Ty kochasz wszystkich, nic nie pozostaje dla mnie. Gdy odchodzisz — staje się taką ubogą, samotną... Odbierasz siebie tak zupełnie. Nic mi nie pozostawiasz. Gdzie wznosi się twa dusza? Powiedz.

Śmiał się, nie wiedział nic.

— Że ty, ukochany, jesteś czysty — poprzez cały brud — mój Ablu, nie dowodzi, że istnieje niezniszczalna czystość — takiej nie bywa. Nie, lecz: jesteś zawsze jakgdyby nieobecny. Nic cię nie obchodzi, nie porusza. Oczy twe na wszystko tylko spoglądają. Lecz twe serce — gdzie jest twe serce, ukochane dziecko ?

Była blisko czterdziestoletnią, piękną kobietą, pełną zmysłowości. Mąż i syn w Rosji, na froncie. Lecz ona żyła tylko chwilą, która stawała na jej drodze. Nie była niewierna, gdyż każda nowa miłość odradzała ją na nowo, każdy nowy mężczyzna zmieniał ją, każdy był jej pierwszym kochankiem.

— Mój Ablu — szeptała — Nie wielkie przeżycia, ani społeczeństwo, ani zawód — mężczyznę wychowuje kobieta, kobieta, która kocha, wzmacnia jego siły, rozwija jego zdolności. Zaufaj i ofiaruj mi siebie, moja duszyczko, a ja nietylko nic ci nie zabiorę — o, ja pomnożę cię ! — Lecz pocóż to mówię ? Ty nie możesz. Lecz strzeż się: kto nie może oddać się jednemu, zgubi siebie !

Całowali się w oknie w świetle księżycy i w blasku gwiazd. Tam w głębi jezioro odziane było w srebro, szemrało w ogrodzie, góry pachniały owocami.

— Cóż za tajemnica ! — szeptała kobieta. — Cały świat nazewnątrz : dziwnie zagadkowy. Czy ty to rozumiesz ?

— Czyż my nie jesteśmy większą tajemnicą, Oljuszka ? Pomiedzy nami, a naturą leży zawsze przepaść. Dzieli nas tak wiele — niema zespolenia, ani porozumienia więcej. Lecz ty, jak człowiek wogóle, świat skoncentrowanej tajemnicy, ciebie

mogę trzymać w ramionach, twe myśli, twe serce podsłuchać. Jestem wtedy bliższy zrozumienia.

— Co jest we mnie do odgadywania Abla? Czyż nie jestem szczerą i otwartą. Czy mam tajemnicę jakąkolwiek przed tobą? Kocham cię — masz mnie więc całą.

Nie, serce jego milczało. Obejmował ją — i w tym momencie myśli jego błąkały się w wieczystych pytaniach: To? więc to jest życie? Dokąd idę? gdzie sens?... Ileż tracę w tej godzinie nocnej?.. W ramionach kobiecych. — O nieudolności! — A nazewnątrz nieskończoność życia...

Zurich stał się otchłanią. Wszystkie przez wojnę stworzone bogi, miały tu swe świątynie. Były salony gry, domy publiczne, jaskinie opium, kluby kokainistów, szpiegowskie biura, anarchistyczne związki, fabryki i drukarnie fałszywych pieniędzy i dokumentów, lokale dla zbrojców, handel dziećmi. Wszystkie języki dźwięczały. Wielkie namiętności ogarnęły niepodzielnie miasto. Nic nie miało większej wartości jak złoto, pieniądz. Cnoty były tylko warte pewną cenę, sposób myślenia był przedmiotem handlu, cały człowiek — do osiągnięcia dla tego, kto — więcej zapłaci. Niemcy służyli za szpiegów ojczyźnie tak długo póki Anglija nie zapłaciła więcej. Francuzi ofiarowywali niemieckiemu sztabowi plany wojskowe, gdy francuski handlarz płacił im o sto dolarów mniej. Często pracowano dla rozmaitych sztabów jednocześnie, kobiety tak często i bez wyjątku płaciły swem ciałem, że mężczyzna żądał już innej zapłaty. Oficerowie upijali się na kolacyjkach, i upici dawali się podsłuchiwać obcym agentom. Wojna, ten motyw rozpalał się najszlachetniejszych namiętności w boha-

terskim człowieku, zbankrutowała doszczętnie: rozpełtała najniższe, najpodlejsze instynkty. Człowiek ostatecznie rozpełtany, był twórcą najnikczemniejszych myśli. Wysuwał takie jednostki, które przeciwko niemu świadczyły, które wszystko trzebiły co lepsze. Niższym od zwierzęcia był człowiek wojny, a więc ten właściwy zdemaskowany człowiek, był wyrzutkiem stworzenia, skalany we wszystkim. Bóg stworzył świat i oddał go człowiekowi, by go zniszczył doszczętnie i zbudował sztuczny na nowo. Nic nie było dla człowieka dobre dostatecznie, prócz niego samego. Wyniszczał wszystko co boskie z każdego zjawiska, i siebie brał za miarę wszystkiego. Jak znudziły go gwiazdy! tylko myślą mógł ich dosięgnąć: astrologia już się przeżyła, twierdząc, że w nich są zapisane losy człowieka. Ratowano ducha zapomocą spirytyzmu, który napełniał świat widmami ludzi powstałymi z opróżnionego miejsca. Niezadługo, a świat składać się będzie tylko z „człowieka“!

Jak na zakazanych planetach ratowali się niektórzy w pokojkach studenckich, pośród dysput o rzeczach wzniosłych, o symbolice dnia dzisiejszego i lepszego jutra. Abel Adler, o jedenastej wolny od swej kawiarnianej muzyki, siadywał wśród rosyjskich studentów, niemieckich myślicieli, francuskich pacyfistów. Lenin mieszkał na Zürichbergu i Abel uczył się rosyjskiego, by mózdz rozumieć płomienne mowy, które wygłaszał. W domu ludowym, gdy mówił, wyrastał ten mały człowiek do takich wyżyn ze swemi wierzeniami, że imię jego poprzez niego, znaczyło ludzkości szczęśliwszą przyszłość. Niemieccy pisarze bezsilni w czynie, zdolni tylko do pisanego prowodyrstwa, zapełniali pisaniami mani-

festami papiery, które były śmieszne, gdyż nie tworzył ich człowiek, tylko atrament. Manifest musi być czynny, nie pisany. Lenin wybuchał. Czyn był w Rosji. Niemcy mogły tylko cierpieć. Lenin, ten dał się zaplombować w wagonie i przemyścić do Rosji. Manifestował sobą, krwią, życiem. Niemieccy przywódcy rewolucyjni byli dezertarami, wołali z miejsc bezpiecznych, do krainy okopów. A tam w morzu krwi pływały ludzkie ciała i w drucie kolczastym tkwili ludzie — wrony żywiły się ich oczami, szczury sercami. Z Szwajcarii wznosiły się ku błękitnemu niebu oskarżające wojenne nowełe, płomienne czerwienią wiersze, propagujące miłość i pieśni braterskie — wszystko produkt białego chleba z masłem, wina, czekolady, mięsa i sera. Żołnierze stawali się szkieleciami w swych mundurach, nim umierali, a deklamujący dezertrzy ze wszystkich państw w Szwajcarii napychali sobie brzuchy i mózgi, kapiąc z nadmiaru, w kawiarniach, domach publicznych, cudzołożąc i gromadząc się na zebraniach.

Wtedy powstał lud w Szwajcarii przeciwko wrogom w kraju. Przeciągano przez miasto wielkimi tłumami. Milczące sztandary wołały o nędzy dniem i nocą, płonęły napisy na białym i czarnym tle. Ci, którzy pracowali, ci, którzy byli nawozem — głodowali, marzli, zdychali. Zaraza panowała dokola, zagadkowe choroby. Wszędzie wybuchał jad. Łajdactwa ludzkie zakaziły powietrze i stworzyły bakterje.

Lud jednoczył się. Żądał, jak już nieraz, nie szczęścia, lecz ulgi w biedzie. Był tak podle poniżany, tak pozbawiony woli przez bogaczy i chlebowców, że ośmielał się domagać zaledwie swych

słusznych racji i praw. Samodzielnie obawiał się czegoś żądać. Żądał tylko tego, co jako człowiekowi, słusznie się należało, a czego mu, jakgdyby był czemś niższem, odmawiano. Lecz — jednoczył się. Mężczyźni, kobiety, dzieci, przeciągali przez miasto, zatrzymując się przed ochranianemi przez wojsko bankami i bezradnie śpiewali pieśń Internacjonalu. Dziewczęta rozchylały swe usta dla tej nieprzytomnej modlitwy i były piękne w swem oddaniu dla Ideału. Przeciągano przed wielkimi restauracjami, przed hotelami dla cudzoziemców, przed kawiarniami, gdzie wszetecznicę słuchały muzyki, szpiedzy grali w bilard, dezertery pisali naczelne artykuły. Wszędzie zapuszczano żaluzje, gaszono światło, twarze bladły. Pieśń Internacjonalu dźwięczała głucho, jak z grobu, w salach pełnych zapachu kobiet, kawy, likieru, tytoniu i wina. Kamienie padały do sklepów. Padł strzał. Żołnierze muszą strzelać. Z domów sypały się kamienie, jakieś dziecko przeraźliwie krzyknęło.

Na werandzie kawiarni siedzieli artyści, intelektualści, szukający dla siebie pokarmu, w tym nastroju. W Odeonie przy stoliku literatów każdy szkicował jakiś rewolucyjny dramat. Znany krytyk — feljeton, satyryk — aforyzmy. Żywili się nawet głodem ludu. Lecz każdy kamień rzucony w zabezpieczone okna wprawiał ich w drżenie. Wielcy artyści z teatrów Berlina i Paryża, którzy tu występowali, grali swe partje bilardowe dalej. Kelnerzy podawali mokkę, jaja w szklance, mrożony krem, coctaille.

W swej kawiarni na Bahnhofstrasse, gdy zaskrzypiały żaluzje, opuścił Abel smyczek. Tam byli oni — kto, kto? Ukochani bracia, żyd i proletarjat

— czyż nie są głęboko zbratani, jednako nienawidzeni, gdyż budzili strach; jednako deptani, bo zawstydzali. Przypomniawszy sobie nagle: być żydem w Niemczech — nie móż wejść w otwarte wrota, gdyż inni przywłaszczyli sobie to prawo; być wyrzuconym poza nawias współżycia, wciśniętym w ghetto, choć świat należy do wszystkich... I jeszcze podczas wojny: odwaga żydów była samo przez się zrozumiała; lecz pochwał, nagród i odznaczeń tylko chrześcijanie wǎrci. Pierwszy sztandar zdobył jakiś mały żydowski nauczyciel z Berlińa; musiał otrzymać żelazny krzyż odwagi, lecz nazajutrz posłano go tam, gdzie musiał paść. Tak wielcy panowie pozbywają się bohaterów, którzy im pomagają. Pewnego dnia nic im więcej pomódz nie zdoła! Żydowscy lotnicy bronią jak aniołowie niemieckiej armji, a gdy zestrzeleni — milkną na zawsze, nie mogąc się bronić — oskarża się ich!

Nagle pomyślał Abel o tem wszystkim i krew w nim zakipiała przeciw tym, którzy siedzieli poniżej u jego stóp. Czy przeczuwają, że wróg jest tu, między nimi? Wróg, gdyż ich poznał! Nienawidzący, gdyż przejrzał ich i odczuł.

Abel rozejrzał się wokół siebie; wtem jakieś dziecko uśmiechnęło się do niego. To była Oliva Leu, piętnastoletnia córka króla jedwabiu w Szwajcarii; słyszała o skrzypku Ablu Adlerze i zakochana w muzyce, dopięła dziś tego, że ojciec zabrał ją tu do kawiarni, gdzie grajkowi mogła przyjść ochota zagrać koncert Bacha, wyjątki z Brahmsa, Francka, Czajkowskiego, Beethovena i Mozarta. O niczem nie wiedziała, prócz o jednym: — muzyka. I teraz chociaż już umilkła, słyszała ją jeszcze, nic nie wiedząc o niebezpieczeństwie grożącym z ulicy, uśmie-

chając się do grajka, jakgdyby siedziała z nim w niedościgłej krainie błogości.

To go ujęło. Dziecko mogło całą ludzkość uratować. Gdzie wykwitał ten uśmiech, nie mógł nie nawidzieć, sam usprawiedliwiał cały grzech... Fobiegł do drzwi od ulicy i gdy padły strzały a szyby rozprysły się, gdyż żołnierze strzelali w powietrze — podciągnął żaluzje i stanął przed ludem.

Tysiąc twarzy przysunęło się do niego, cała szumiąca fala ludzkości, jedna fala morza, które kochał, które chciał kochać — lecz była straszna jak przepaść o tysiącnych czeluściach, cuchnąca kloaka, nie do zniesienia zabójcze spojrzenie, oblicze Gorgony.

Lecz nie namyślał się, powiedział głośno :

— Co czynicie przyjaciele? Gwałtem niszczy się tylko siebie. Przeżyjecie to podczas wojny. Nikt nie zwycięży, wszyscy zniszczą siebie. I czyja siła będzie największą, będzie najbardziej poniżony. — Jego głos rozbrzmiewał coraz donośniej. Nic nie umie bardziej milczeć jak tłum ludzi. W milczeniu słuchali jak mały czarny człowieczek mówił. Stał we drzwiach, światło padało na niego zanim tchórze wewnątrz zgasili je. W ciemnościach drżeli ci bogaci mężczyźni. I tylko Oliva Leu wślizgnęła się za Ablem; tłum nazewnątrz ujrzał jej twarzyczkę w cieniu, jak gdyby anioła opiekuńczego u jego boku. — Idźcie do domu, moi drodzy. Spokojnie i powoli. Noc jest tak piękna i ciepła. Rozerwijcie wasze brzydkie sztandary. Przeznaczenie zna wasze kłopoty i ludzie, którzy nie chcą o tem wiedzieć opuszczają i tak oczy przed waszemi napisami. Niema celu krzyczeć. Ci, którzy nie chcą słyszeć tego, zasłaniają sobie uszy. Dlaczego chcecie zabijać? Wła-

ściwych nie dosięgniecie przecież? Ci są dla was ukryci. Kto wie czy wogóle istnieją. Czy wszystko nie jest rządzone skądinąd? Drodzy przyjaciele, nie mówię o Bogu. Wiemy wszyscy, że boskość jest we wszystkim, niema zastępców dla świata. Tej boskości musimy się podporządkować. Gdy będziemy nierozważni, jesteście zgubieni. Musimy czekać. Tak, gdy będziecie bici, brońcie się! Kto uderzony w lewy policzek, podstawia prawy, zasługuje, żeby został uderzony. Lecz my nie chcemy zaczynać. Jest bardzo ciężko, ja wiem. Lecz wasze serca są bardziej głodne, niż wasze żołądki. Gdy będziecie kochać — będziecie bardziej ochronieni. Nie podnieście żadnego kamienia, nie zmuszajcie braci żołnierzy do strzelania. Trafiają tylko niewinnych. Nie mogę wam wcale pomóc, widzicie to. Lecz zostawcie wojnę na granicy. Pokażmy przykład. — Wziął dwóch chłopców za ręce, którzy przed nim wprost stali, pozwolili na to, jeden z nich roześmiał się wesoło.

— Wszystko jedno — powiedział. — Przykład nic nie pomaga.

Lecz już było dobrze. Nagle zaczęto rozmawiać między sobą, śmiać się, nawoływać. Starzy mężczyźni otoczyli skrzypka.

— Czy chcesz jeszcze coś powiedzieć? — zawałał jeden.

Jakaś głucha kobieta krzyczała:

— Co powiedział? co powiedział?

Abel Adler poszedł z tłumem. W pewnej chwili poczuł, że ma skrzypce w rękach. Oliva Leu przyniosła mu je, teraz stała ze złożonymi rękoma, w bramie jakiegoś domu. Z jakiejś bocznej ulicy nadjechało auto, bez światła, ostrożnie, auto jej ojca,

które stało przed kawiarnią, jak tylko tłum się oddalił.

Na Paradeplatz zaczął Abel grać. Pieśń Internacjonalu, śpiewali ją jako pieśń święta. Potem umilkli i nocą o jedenastej przed wciąż wzrastającym tłumem dał Abel swój pierwszy koncert. Teraz wypełniło się jego życie. O tem marzył. Biedny, pozbawiony praw człowiek, stwarzał szczęście swą muzyką, odnajdował boskość w sobie, odpoczywał w wieczystej rzece wydarzeń. Żadna gwiazda nie przyświecała młodemu żydowi. Lecz człowiek wschodził w nim w ciepłym blasku.

Ludzie jak Abel Adler nie znajdują przyjaciół. Wszyscy lubią go i wszyscy pozostają, gdy on idzie dalej. Nikogo nie zabiera ze sobą. Życie jest jak nieustanne wyścigi, zatrzymujemy się tylko, by zebrać nowe siły na dalszą drogę. I kogo się napotyka tylko na drodze, ten jest materiałem, który w sobie przetwarzamy w dalszej wędrówce; wspomnienie jest wszystkim co pozostaje.

Olga von Schestow — jej miłość jak zapach jaśminu w noc lipcową podczas pełni księżyca — pozostała w tyle.

Chaja Genachow wiedziała o tem: on przeszedł obok. Każda kobieta czuła: mogę go zdobyć, lecz nigdy zatrzymać. Uczucie, który pocałunek będzie ostatni: czy już ten? — dodawał namiętności, żaru, miłości i siły.

Młoda, piękna Chaja Genachow tkwiła w swym pensjonacie wśród rosjanek. Jeden tylko mężczyzna mieszkał w najmniejszym pokoiku z bielonemi ścianami. Zamiast łóżka kanapa, zamiast szafy — zasłona w kącie. Był to Borys Steinberg. Studjował medycynę jak filozof. Jego spojrzenie przenikało człowieka do głębi. Kochał Abła sercem mężczyzny. Tylko mężczyzna mógł pójść za Ablem, gdyż tylko mężczyzna w ukochanym kocha ideały, tylko mężczyzną uczucie nie pozbawiało siły. Przyglądał

się Ablowi i w pewnej chwili ich nigdy niekończących się rozmów powiedział :

— Miłość jest najcięższym krzyżem, który człowiek nosi. Jeśli to propagujesz — ukrzyżują cię.

Abel odpowiedział :

— Już byłem na krzyżu. Czy nie jestem zabezpieczony ?

Lecz Borys rzekł :

— Czyż zmęczą się kiedyś krzyżowaniem Chrystusa ? Ta wojna jest niczem osobliwym, ona łączy tylko różne sposoby myślenia i uczynki. Czyż od dziewiętnastu stuleci, ludzkość nie jest nieustanną morderczynią Chrystusa ? Jeśli kochasz Ablu, będziesz nienawidzony. Zawróć.

Szli nad jeziorem. Był gorący wiatr i w kryształowym czystym wieczorze stały ośnieżone góry, różowiejąc u szczytów.

— Jesteśmy silniejsi od naszego przeznaczenia — powiedział Abel — nie gdy go unikamy, lecz gdy go własnowolnie bierzemy na siebie. Gdy „muszę“ przeistoczymy w „chcę“. To znaczy stać się panem swego losu.

— Maskowana pokora.

— Nie szydź, Borysie. Co nas tak głęboko wzrusza w zwierzęciu wydanem na rzeź ? Że zamiast wyrywać się z rąk kata, pokornie mu się poddaje. Przed progiem kaźni waha się tylko, lecz potem jednak idzie na rzeź. Dzięki, że się nie śmiejesz.—

— Czy nie wiesz Ablu, że zwierzę zawstydzą człowieka swą mądrością ? Bierze za przeznaczenie mord na nim popełniony. Jedna bywa tylko pokora wzniosła. Kto siebie odda, będzie uwieczniony.

Aleksander Gottlos szedł im naprzeciw. Wra-

cał z dalekiej przechadzki, z ulic nad jeziorem, pozwalał gnać się wiatrom i śpiewał hymny swego serca, swoich wierzeń i swej walki ze słodkim ciepłym wiatrem.

Mówiono o Bogu.

— Ach — zawołał Borys, — Chrystjanizm! Żydostwo! dążą ku Bogu; lecz inne religje mają Boga. Zachód dopiero go osiągnie, wschód już jest w nim zatopiony.

Na jakiejś ławce pod olbrzymim krzakiem irysu, nad którym unosiła się chmura zapachu, siedziała Chaja Genachow z kulejącą Miną Miljewicz i Trajanem Caduff. Siedzieli cicho, przeżywając zbliżającą się noc. Gdy Chaja Genachow ujrzała Abła, wstała i cały pokój zniknął jej z twarzy. Patrzyła na niego umęczonym wzrokiem, szepcząc niewyraźnie. Mina Miljewicz swym twardym językiem niemieckim powiedziała coś miłego. Trajan piękny, jak młody król rzymski — cała granitowa trwałość jego ojczyzny zawarta była w jego szarych oczach — uśmiechnął się cicho.

Poszli z powrotem ku miastu. Chaja z Ablem ostatni. W jakimś ogrodzie był koncert. Wszystko spacerowało, drogi napępniały się ludźmi, wszyscy walczyli z wiatrem. Jezioro wznosiło się, pluskając o brzegi. Muzyka brzmiała rozmarzeniem.

— Stajesz między mną, a życiem --- szeptała dziewczyna. Opuściła głowę. Jej krótkie rude włosy, opadły na twarz, nie chciała pokazać swych łez. — A może, Ablu, a może... tyś jest życie? Czyż żyć znaczy tęsknić? Wiesz: raz pocałowałam ciebie? Zawładnęłeś memi ustami. Ach, nie, nie mów nic, gdyż będę się wstydziła. Jednak, to jest życie. Odczuwać miłość — być szczęśliwa w mi-

łości, może to jest zawiele. Jestem wdzięczną, że mogę kochać. A teraz zapomnij o tem com mówiła Ablu? Och, ile jeszcze kobiet będzie całowało twe usta!

Przed nimi wołał Aleksander Gottlos:

— My żydzi jesteśmy jak psy. Liżemy rękę, która nas chłoscze. Będziemy kiedyś rękę, która nas karmi — kąsać.

Borys Steinberg roześmiał się.

— Jeśli nam dadzą pożywienie, będzie zatrute. Nasze niedowierzanie służy tylko łagodnym pośród nas. Surowi, nawet ci z nienawiści — nie chcą nic, lecz osiągają wszystko, co w nas jest najlepsze. Czyż bez nienawiści bylibyśmy tak silni? Czyż nie jesteśmy najbardziej uduchowieni na świecie, dlatego, że nie użyczyli nam nawet najpodlejszego kawałka ziemi?

I dokąd — spytał piękny Trajan, rzucając papierosa do jeziora, — dokąd się będą żydzi wznosić, jeśli ich ciała będą tępione? Może stworzą w przyszłości żydowskie pułki i wyślą je najpierw przed wroga. Dwie wygrane odrazu za jednym uderzeniem: trupy żydów i Chrystus zwycięża w bitwie wygranej przez żydów.

— Nie powinni zabijać żydów — potwierdzał Aleksander cicho. — On jest nieśmiertelny, zabijają starego, lecz zjawi się żyd nowy, który pomści starego, nowy, który umie nienawidzić. My nie umiemy nienawidzić, my biedni, wynaturzeni! Jeszcze ciągle kochamy jak psy. Lecz biada, gdy zaczniemy nienawidzić. Niech się strzegą: krają swe własne ciała, gdy nas zarzynają.

Zaraz po tym wieczorze odjechał Abel do Bernu, żeby grać w „Theater - Cafe“. Wołał jechać

do Genewy, lecz to francuskie, czarownie po parysku zepsute miasto, nie chciało wpuścić w swe mury Niemca. Lecz właśnie pociągało Abła w te koła, które były mu wrogie. W ten sposób dotarł do Berna. I tam panował duch francuski. Język wroga wszędzie, w kinach paryskie, propagandowe filmy, w każdym wierszu urągliwa nazwa — „boche“, okropności wojny tylko Niemcom przypisywane. Wszędzie w sklepach, w kioskach plakaty o niemieckich rabunkach, o zbiorowych niemieckich zbrodniach, opisanych w utworach, obrazy zgwałconych kobiet, mordowanych dzieci, popalonych zamków, kościołów, zrabowanych skarbców. Nawet niemieccy pismacy rozrzucali drukowane „J'accuse“ na francuskich śmietnikach. Za angielskie pieniądze rozfiatyzowani niemieccy młodzieńcy wrzeszczali przeciwko sobie samym : „boche“ ! kobiety zatrzymywały się przed rannymi żołnierzami niemieckimi, plując im w blade, wyniszczone oblicza, śmiecie i błoto swej duszy okrzykiem „boche“. W klozetach miejskich pisano rymy na „niemieckie świnię“.

Fale nienawiści z Francji płynęły aż tu do serca Szwajcarii. Tchórze wypisali w kloakach, na schroniskach w górach przekleństwa na rozpustne gubiące świat Niemcy. Niemiecka propaganda, przykład lapidarnej niezręczności, zrobiła komiczne fiasco w Szwajcarii. Teraz, gdy miała się już ku końcowi, pojawili się szefowie i ich adjutańcy pobrzękując szablami i ostrogami. Podczas gdy inni, mądrzejsi, swoje nadużycia ukrywali, nie otwierając ust, Niemcy kłamały jeszcze, lecz były już zgubione. Przesadzano ich zbrodnie, tylko dlatego, że były zaprzeczane. Gdy Abel Adler po raz pierwszy zobaczył i usłyszał słowo i obraz wroga, Niemcy od-

bite w lustrze przeciwnika, wtedy ujrzał prawdziwe oblicze kraju. Poczul co kłamstwo i przesada znaczą. Nikt nie był lepszy, nikt nie miał Boga. O niebiosa, które musicie broń błogosławić! O Boże, któryś był w bitwach wspomniany! Ty, któryś jest wrogiem wszelkiego ucisku.

Młody żyd czuł pulsowanie nienawiści, wyrósł w niej. Czul ją w powietrzu. Jak niemcy nienawidzili żydów, nienawidziła Francja Niemcy. Niemcy Anglję. Jak się witano? „Boże ukarż Anglję!“ O, ci chrześcijanie, wzywali Boga starego testamentu. Gdy będą im potrzebni, nazwą żydów braćmi, przecież nazywali ich tak, gdy wojnie każda męska kość była potrzebna. Lecz uwolnionych opluwano natychmiast. A on się dziwił? Nierozwinięci, niedojrzali potrzebowali nienawiści. Gdy kultura, cywilizacja idą naprzód, wybucha to pozostałe w tyle, podwójnie nienawistnie. Gdy niema co nienawidzić poza krajem, nienawidzi się w kraju. POCO są żydzi? Dobrzy do wybuchu brudnych instynktów. Rozpoczyna się konflikt wewnętrzny i przeprowadza się z nim walkę. I w grzechach innych znajduje się tylko własne. Ta propaganda, która tu miała miejsce, była jak antysemitka. Dosłownie. Tylko: zamiast żyd: „boche“. Nagle zrozumiał. Lecz zrozumienie powstrzymuje przebaczenie. Wstręt nie bywa łagodny.

Abel Adler udał się do Lucerny, do tego cichego, pachnącego miasta i grywał w jednym z kabeletów. Hiszpanki tańczyły, francuzi parodjowali, niemcy żonglowali, rosjanie śpiewali pieśni o Wołdze i wirowali w kozackich tańcach. Iluzjoniści czarowali w trzech językach. Improwizatorzy rymowali bluźnierstwa. W łóżach na kolacyjkach wi-

działo się paskarzy całego świata w towarzystwie kobiet. Wojna była dźwignią życia. Zapach krwi działał pobudliwie na apetyty; internowani, ranni, chorzy duchowo byli szkieletami rzymskich igrzysk. Carpe diem! Mimo to: było to oszaleńcze. Zbratanie we wszeteczeństwie. Sumienie było u Stwórcy, bestja była wolna.

W miastach, w których dotychczas pocałunek musiał być uświęcony miłością lub małżeństwem, otwierano domy publiczne, prowadzono jawny handel, urządzano wystawy występku. Co w innych krajach wyradzało się z biegiem czasu — rodziło się tu zwyrodniałem. Zwykle życie nie wystarczało dla pieniądza, trzeba było wynaleźć nowe sposoby używania. Bezwartościowe rzeczy nabierały wartości, której użyczała im wygórowana cena, kobiety, które dla ubóstwa wdzięków nigdy by nikogo nie uwiodły, czarowały, gdy stawiały wysoką cenę. Nie zachwycano się pięknem piersi ni pleców, tylko godziną, która kosztowała tysiąc franków. Gdy gram kokainy w Zurüchu na Bahnhofstrasse osiągnął cenę stu franków, zaczęli go wachać najbiedniejsi i najniżsi. Miłość do młodych chłopców wzrastała wbrew naturze, od czasu, gdy egzotyczni studenci rzucili się na rynek ze swemi ciemnymi ciałami, płonącemi ogniem, które były dostępne za dolary. Restauracje stawały się nocnymi barami, gdy podwoiły ceny.

Niebo nad oświeconemi górami, błękitnemi jeziorami, uśmiechało się spoglądając na tę Sodomę. Powietrze pachniało krwią i nierządem. Nieznośna mieszanina. Tym coctaiem upajał się świat. Bóg, jeśli istniał, był przygasły, beczynny w tej truciznie. Gdy wyczerpały się sensacje, opuścił ce-

sarz swój lud. Tchórzostwo jest romantyczniejsze niż odwaga, ciemność bogatsza niż światło — dla tego zepsutego świata.

Władza pozwalała na wszystko. Uciekł skrycie. Jeśli nie można było ratować honoru, trzeba było ratować choć głowę. Inni głupcy, oddali głowy, by nie widzieć upadku honoru. Mądrość jest też darem bożym dla królów, kto siedzi na tronie, ma jakąś iskierkę wyższego rozumu.

Rewolucja wzbierała. Stano w obliczu zguby; nie było zresztą już nic do stracenia. Wielkie czasy minęły, większe następowały. Wszyscy dezertrzy i zbiegowie napływali z powrotem. Alleluja! Rosyjscy agenci wypływali z mętnej wody, śpiewając o zbawieniu świata. Monarchiści wypelzli i przygotowali podziemne dzieło. Wojna była przegrana, gdyż żyd był tchórzem, bo miał skryte stosunki z wrogiem, bo on swoje państwo chciał tworzyć. Myśmy przegrali wojnę: zabijcie żydów! mamy republikę: mordujcie żydów! Świat nami pogardza: wytępcie żydów! Kto niema krwi czystej bez domieszki semickiej — na szubienicę z nim! Palcie żydów! Niemiecki Bóg zabrał nam zwycięstwo, gdyż żyd podczas etapów patrzył z ukosa. Śmierć, trucizna, zaraza żydom!

Konstanty Mikołajewicz Pokorski, mieszkał w hotelu nad jeziorem. Miał cały szereg pokoi. oświetlonych zachodzącym słońcem. Wtedy otwierano wszystkie okna i mieszkanie tonęło w świetle, które niosło ze sobą zapach wody i lasu. Lecz prócz tych chwil, panował tam wieczny wieczór, wszystkie okna były zasłonięte i płonęło światło lamp.

Gdy Abel Adler w południe przychodził do niego, by mu godzinę grać, wpadał z jaśniejącego dnia nagle w ciemną noc tych pokoi, które Konstanty Mikołajewicz, za pomocą obrazów, dywanów, kwiatów, chińszczyzny i rzeźb pozbawił hotelowego charakteru. Był zawsze sam, jeśli Borys Steinberg go nie odwiedzał, czasem sprowadzając rodaków. Jego żona Marta Aleksiejewna, była zwykle w podróży, zjawiała się co dwa, trzy miesiące, regularnie, zamieszkiwała w innym hotelu, oddawała mężowi formalną wizytę, przynosząc zawsze piękne rzadkie kwiaty, których on nienawidził i jeszcze podczas jej obecności, kazał wynosić z pokoju.

Była żydówką, wielkiej piękności, nie ukrywała swych czterdziestu lat, i działała właśnie przez swą bogatą dojrzałość i swój czar pełnego rozkwitu.

Abel grał codziennie godzinę za rocznem wynagrodzeniem. Potem, przy okazji, wołał go Konstanty

Mikołajewicz do swego pokoju, gdzie leżąc słuchał jego gry i mówił do niego swoim zwyczajem, bez oczekiwania i żądania odpowiedzi. Zwykle dużo milczał. Nie miał partnera. Był niecierpliwym, ekscentrycznym, samowolnym człowiekiem.

W dwudziestym piątym roku swego życia został kulawym przez postrzelenie.

Był wtedy oficerem w Petersburgu. Kiedyś zabrał dziewczynę żołnierzowi. Gdy miał jej dosyć — oddał cyganom. Jednej nocy strzelił do niego z tyłu ten właśnie żołnierz, kula trafiła w biodro.

Lubił mówić o żydach.

— Widzi pan, Ablu Adlerze, — mówił ten pięćdziesięcioletni mężczyzna — niema więcej żydów. Starzy giną, żyjąc przeszłością, a młodzi ratują się uciekając do nowego życia. Tylko na wschodzie są jeszcze resztki żydów. Zachodni żyd jest obrzydliwym mieszańcem z resztkami dawnych uprzedzeń, rozwiniętym w nowym życiu w nieudane stworzenie. Ptakiem, który stał się rybą, zachowując skrzydła. Jak nieszczęśliwi musicie się czuć! na fałszywym miejscu! zatroskani! nigdzie nie należący! — Widzi pan, mój kochany, wasza religja oddaliła was od życia. Religja jest zawsze wrogiem życia. Odeszliście od niej. Cóż macie teraz! Wasz ostatni hamulec w obcym świecie zagubiliście. Stajecie się sjonistami. To jest wasza ostatnia nadzieja, wewnątrz jesteście pozbawieni ojczyzny. Tem podkreślacie wasze zagubienie się wśród narodów. Nie możecie mieć nigdy ojczyzny, boście się jej własnowolnie wyzbyli. Wasz punkt ciężkości jest poza wami. Jesteście w wieczystym upadku. Poszukujecie Palestyny. Co za pomyłka! Wasz naród składa się z jednostek. Każdy potrzebuje państwa dla siebie. Musicie

wpierw stać się narodem, to znaczy bezduszni, głupi, ocieżali, ślepi! Niema więcej żydostwa, są jeszcze żydzi, każdy chrześcijanin, każdy buddysta gdy wymawia imię swego Boga, znajduje w niem zamknięte całe swoje życie. Lecz gdy ty, mój drogi powiesz „Mojżesz“ — coś tem powiedział? Żydostwo nie jest żywym życiem, lecz tylko tęsknotą. Lecz co raz w duchowym kosmosie zgasło, nieda się więcej wydobyć. Przestaliście już dawno się formować, jesteście gotowym materiałem. Elementem ludzkości, a nie jej ogniwem. Rozumiesz, mój drogi? Dlaczego piszecie i dyskutujecie już od lat o istocie żydostwa? Szukacie istoty tego, co już dawno stało się duchem! Zaklinacze duchów! Stwarzacie mgłę przed sobą i wierzycie w cień, który sami narzucacie.

Abel Adler spojrział w zasłonięte okna. Wydawały mu się symboliczne. Dzień był nazewnątrz.

— Lecz ja jestem żydem! Co we mnie wibruje, jest żydowskie. Tysiące czują jak ja.

— Zagadka, mój drogi, jednak pozostaje. Jesteście tajemnicą pośród narodów. Nikt wam nie radzi i każdy ma rację. Gdyż jesteście pasorzytami i świętymi, lichwiarzami i prorokami, twórcami i niszczyicielami, uczonymi i rozpustnikami, prześladowcami i ugniętanymi, mordercami i samarytanami. Jedno jest żydowskie i to inne też żydowskie. Ludzie was nienawidzą, gdyż nic nie mogą wam poradzić, gdy sprzeciwiacie się każdemu rozwiązaniu. Jeden staje się antysemitą, gdyż żyd go wyzyskał; inny filosemitą, gdyż tylko u żydów znajduje dobre uczynki. A wy sami? Co będzie z narodem, który tonie wśród przeciwieństw? Gdzie znajdzie swój punkt oparcia? Między temi różnica-

mi niema związku. Zamiast się jednoczyć, będziecie zawsze rozproszeni. Inne narody są strumieniem, wy jesteście morzem.

— Do którego wszystkie strumienie wpadają, Konstantynie Mikołajewiczu ?

— To jest to nieszczęście — zawołał Pokorski. — Jesteście nieograniczeni, przyjmujecie wszystko. Wszystkie wpływy ze wszystkich stron. Co to jest morze ? Zbiorowisko rzek ! Więc ? Więc gdzież jest wasza odrębność ? Że jesteście słoni, nieużyteczni. Ze słodkiej wody rzek, tworzycie wodę nieużyteczną ! Żydowski lud ! Dziś to jest historją ! Przeżyliście samych siebie. Wasze ciało jest pogrzebane, a dusza błąka się niespokojnie po świecie. — Wiesz o tem, mój drogi, moja żona jest żydówką. Więc stałem się wam bliski. Tak bliski jej byłem, żeśmy się musieli rozstać. Tak, więc na dziś już dość mówienia. Jeszcze jedno : wyjeżdżam na Rivierę. Czy nie chciałby pan pojechać razem ze mną, mój drogi ?

W marcu dziewiętnastego roku, opuścił Adler z Pokorskim Szwajcarię. Był służącym, sekretarzem, lektorem i muzykantem. Kulawe nogi, na których tworzyły się często rany, musiały być troskliwie pielęgnowane. Nacierania spirytusem, częste przekładanie w łóżku, pomoc różnego rodzaju musiała być okazywana. Organy nie funkcjonowały. Abel używał rąk prawie kobecych, do tych wszystkich samarytańskich czynności. Pokorski śmiał się; to było poraz pierwszy, że jakiś człowiek z miłości troszczył się o niego. Pielęgniarski był oddalony i Abel Adler został sanitariuszem. Dzień i noc. Teraz, zdawało mu się, że odnalazł sens, a tem samem szczęście swego życia. Intensywniej, jak każde oddanie swego istnienia, odczuwał pożytek ze swego

uczynku dla bezbronno. Zrobić opatrunek, oczyścić rany, uprzątnąć nieczystości, ciężkie, bezwładne ciało ułożyć w fotelu i wieźć drogą przy morzu, dawało mu radość Stwórcy. Życie jakieś było złożone w jego ręce i macierzyńskość, którą każdy człowiek posiada w sobie ukrytą, wybuchła. Brak snu zachwycił go, niecierpliwość chorego rozgrzewała mu serce i miłość, którą rozporządzał była niezachwiana.

Lecz wszystkiemu towarzyszyły analizujące komentarze Konstantyna Mikołajewicza.

— Co za niezwykły egzemplarz żyda jesteś, mój drogi — mówił. — Jestem bardzo szczęśliwy, że mogę moje studia robić nad tobą. Kim jesteś właściwie? Czego chcesz? Ty sam nie wiesz. — Ty jesteś z tych żydów, którzy w uczuciach szukają ucieczki, którzy swą indywidualność rozpraszają w fałszywej, wielkiej dobroci. Lecz są inni, ci silni, mocno w sobie zagłębieni, wielcy, po królewsku bez serca. Znów te żydowskie sprzeczności. Tak, mój drogi, więc służysz... Tak wielką jest twa żydowska sentymentalność. Ze śpiewem uprzątasz moje nieczystości.

Dziękujesz Stwórcy, gdy budzę cię w noc, byś mi prześcielił, gdyż tem możesz swą miłość zrobić czynną, lecz — duszyczko! Nie możesz kochać. I do tego ja jestem gojem. Jesteś przykładem wyjątkowo zepsutego zachodniego, nieżydowskiego żyda! Zerwaliście wasz związek ze wschodem. Cóż macie teraz? Z trudem i mozołem utrzymujecie to mistyczne przeświadczenie, że się jest żydem. Lecz to jest tylko pojęcie o tem; to jest więcej przeżyciem w was. Że ty, moje dziecko, dziś grywasz w kawiarni, jutro stajesz się samarytaninem, po-

jutrze uciekasz stąd z jakąś kobietą, w międzyczasie filozofujesz o porzuceniu świata, poszukujesz samotności, jak gardzący ludźmi, a nazajutrz zgłodniały rzucasz się do ludzi : jesteś wynaturzonym żydem zachodu, dzisiejszym żydem, który nie wie czego chce i kim jest ! Jesteś wszystkim, wszystko mieścisz w sobie, morze do którego wszystkie rzeki wpadają. Twoja słoność pochodzi z twych łez. Cóż ci więcej pozostaje, niż płakać nad sobą !

Abel przyzwyczaił swego pana do światła. Sam był pogodny jak słońce nad błękitem wybrzeża. Gdy się widziało jego uśmiech, pragnęło się być w świetle. Gdy Pokorski budził się zrana, dawał mu Abel patrzeć na potoki rozświetlonego przez morze światła w sąsiednim pokoju, co mogło wywołać zachwyty w każdym. Nawet zwierzęta gdy się w niem znalazły, czuły się tajemniczo podniecone tem światłem. Teraz jeździł Pokorski w swem krześle poprzez rozświetnione i rozśpiewane ulice Nicei, znalazł się znów wśród życia, wrócił z powrotem do ludzi i natury.

— Uściśnij mnie, mój drogi, — powiedział do swego samarytanina. — Jestem ci wdzięczny. Sowa fruwa teraz z orłem. Przypominam sobie : w świetle upływało życie ludzkie, wśród żywych ludzi. W Moskwie... — Lecz tu umilkł. Bez obłonek zaczął mówić o Marfie Aleksiejewnie. Przed dwudziestu laty wyszła za niego zamaż, w ten sposób, jak teraz Abel przyszedł do niego: z kochającego współczucia. z popędu ofiarowania siebie, by pomódz, szukając odkupienia. — Chcę ci to opowiedzieć — szeptał Pokorski — i patrzył nieruchomo na morze, które płynęło błyszczące... z Afryki, falujący jedwab, dyżący atlas.

— To należy do małżeństwa — ach Boże, co za małżeństwa! Ja kaleka! Marta Aleksiejewna była jak anioł, gdy przestała być kobietą, by móżdżek mnie kochać. — Myśmy się kochali. Może dziś jeszcze... ja... No, ale zostawmy to. Nie będziemy sentymentalni. W małżeństwie muszą być czasem sprzeczki. W najlepszej miłości nawet, zbiera się powiew osad, substancje zazdrości, nienawiści, poszukiwanie zemsty, którą trzeba wyładować. Wtedy zaczyna się walka. Coś podobnego zdarzyło się z nami. Nienawidziłem ją wtedy, gdyż ja to byłem, który ją z życia okradał. Przeniosłem to na nią. Co mogłem sobie zrobić? W niej trafiałem siebie najboleśniej. Poniżałem ją straszliwie, rozdierając swe serce. Gdy już nic nie mogłem znaleźć więcej zawołałem — dusza mi się wtedy skurczyła: — ty żydówko!

Wtedy opuściła mnie. Kocha mnie jeszcze ciągle. Wiem to dobrze. Lecz nigdy już więcej nie pozostanie u mnie. Mogłem ją obrazić, lecz nigdy jej naród... Tacy jesteście, wy dobrzy żydzi! Gdy wam coś zarzucamy osobiście, lecz wychwalamy wasz naród, kochacie nas za to. A inni znów chętnie słuchają, gdy się plwa na ich naród, a im się mówi: ty nie jesteś żydem, ciebie lubię, ciebie, tylko nie twych braci. Tak stoi podłość obok duchowej wielkości. — A więc Marta Aleksiejewna wyjechała, odwiedza mnie jako obca i pyta: czy ci nie lepiej Konstancyne Mikołajewiczu? Twój Bóg ci pomoże! Kładzie mi orchidee na kolana, bo wie, że je nienawidzę, te sztuczne kwiaty, i znów odchodzi. Z krwawiącym sercem, woli, krwawić niż zapomnieć. Zmusza się, by nie wybaczyć.

Na promenadzie w Nicei został Abel zaczepio-

ny pewnego dnia przez starą, otyłą żydówkę, u boku której, jakaś młoda, piękna blondynka o wyglądzie pazia uśmiechała się do niego. Nie poznał jej. Ach, to byli ludzie z Oskretscham. — Rickel Lubliner ze swą córką Priską.

— Odejź na bok, Prisko — powiedziała matka — mam o czemś porozmawiać z panem Adlerem.

Priska, rosła i smukła jak palma, pod którą stała — oddaliła się.

— No, młody pan Adler siedzi na promenadzie i stał się wielkim panem, co? — powiedziała Rickel Lubliner i siadła szeroko, brzęcząc ozdobami ze srebra, w czarnej jedwabnej sukni sobotniej. Jej mąż umarł, a ona, ze swem doświadczeniem kucharki z Teplitz, Karlsbadu i Marienbadu, gdzie też ujrzała wielki świat, ukuła sobie plan postępowania. Pojechała z córką na Rivierę, gdzie po wojnie znów zbierali się bogacze z całego świata i tam chciała z piękności córki ciągnąć zyski. Lecz stała się tu bezradna, na błękitnym brzegu. Abel Adler powinien jej pomóc. Mówiła o tem, jak o najnaturalniejszej i najniewinniejszej w świecie rzeczy.

— Widzi pan, drogi panie, ja go już widziałam i dowiedziałam się o nim szczegółowo — mówiła do Abła swym złym niemieckim językiem. — Pan mieszka u niego, to jest rosjanin. On jest kaleka, lecz co to szkodzi? Tacy ludzie często miewają kaprysy. Może on chciałby Priskę? Niech pan słucha, ona jest jeszcze newinna! Nie spuszczałam jej z oka. No bo co my więcej mamy, biedni ludzie? Mój mąż, błogiej pamięci Szmul, był bardzo dobry żyd, ale do niczego. Swoje pieniądze rozdawał innym. No i jesteśmy tutaj. Zrobi pan micwę, jeśli nam pan dopomoże. Jak pan myśli? Czy on dobrze zapłaci za

dziewczyne, która ma siedemnaście lat i jest jeszcze niewinna, ten pański rosjanin ?

Abel nie przeraził się, znał życie. Roześmiał się i zaczął mówić o czemś innym.

— Nie, nie, lepiej mówmy o tem, co nas interesuje ! Niema pan nikogo, żadnego pana dla mojej Priski ? No to niech mi pan choć powie, jak to mam zrobić ? Pójść do kasyna ? Czy pojechać do Monte Carlo ? Jak pan sądzi ?

— Czy Priska wie o tem ?

— Czy ona wie ? Ona chce !

Już wielu mężczyzn robiło różne propozycje Rickel Lubliner, nawet tu w Nicei i w drodze, w pościegu.

Od Priski wiał jakiś czar zmysłowy, lecz nikt nie dawał matce żądanej sumy. To miał być mały mająteczek — za niewinność Priski. Ulokowałyby się w bardzo pewny sposób, jako kapitał na wszelki wypadek.

Wieczorem siedział Abel z Priską pod palmami, a Rickel Lubliner rozmawiała z uśmiechającym się Pokorskim, który tym razem był skazany na słuchanie w milczeniu.

— Priska — powiedział Abel — czy naprawdę ty chcesz ? Czy wiesz —

— Ach proszę, Ablu, ja wiem. I ja chcę. Życie jest za nudne. Czyż mam naprawdę wyjść za tego dentystę Salo Pfeiffera z Oskretscha i gotować i cerować i mieć romans z burmistrzem ? Ja chcę w świat, chcę mieć perły i piękne łoże z zasłoną, i białe auto z włoskim szoferem, i o dwunastej w południe pić czekoladę w łóżku a o pierwszej dopiero wstawać. Jestem conajmniej tak mądra jak ty. Wiem, że to wszystko wyczytałam z romansów,

(lecz czytywałam też Dostojewskiego i Wassermanna), że mam fantazję dziewczynki, lecz Ablu, ponieważ jestem dziewczyną piękną i nie zupełnie głupią, mogę ujrzeć spełnienie mych najszaleńszych fantazji. Ja będę leżała do pierwszej w łóżku w stylu Ludwika i będę całować mego ciemnego szofera, gdy mój książę odejdzie; będę hodować rosyjskie psy i nosić takie perły, że księżniczki, ujrzawszy je, zbledną. Książę von Molina jest od wczoraj w Nicei, dziś wleczór ujrzy mnie w teatrze. I potem...

Abel rozumiał ją tak doskonale. Nie mógł nic powiedzieć. Zapytał tylko :

— Lecz szczęście. Prisko ?...

— Szczęście ! — wykrzyknęła siedemnastoletnia dziewczyna. — Ja mam fantazję, lecz nie jestem fantastką. Dziwne : jak długo mężczyźni pozostają niewinnymi i marzycielami. Nic ich nie otrzeźwia. Szczęście, powiada on — i patrzy na morze, nad którem wschodzą gwiazdy—zaśmiała się srebrzyście; brzmiało to, jak pieśń istoty bezdusznej.

— Mój biedny ojczuś ! Gdy matka mnie biła, przychodził do mego łóżka i opowiadał mi bajki : zjawi się książę i „Boże Sprawiedliwy“, powie on, „jak piękne jest to dziewczę“, i ożeni się z tobą i osypie cię perłami...

Umilkła.

— Tak, Prisko, byliśmy razem dziećmi.

— Tak i ja chciałam tylko ciebie poślubić Ablu... nie księcia. Lecz ty śmiałeś się pogardliwie. Dziś śmiejesz się jeszcze gorzej : obojętnie... A gdybyś ty zechciał. —

—Co Prisko ?

— Spójrz, tam jest już pierwsza gwiazda. — Nie, ja się sprzedam staremu księciu von Molina...

Teraz kocha mnie moja matka. Jak hodowca kocha swe bydłę : żyje z dochodów, które ono przynosi. Żeby ją zmartwić, mogłabym powiedzieć nie, lecz nie warto. Niech ma swe korzyści. Będę miała dość, starczy i dla niej. Ablu — wyglądasz taki — niecałowany. Czyż jesteś jeszcze bez kobiety ? kiwasz głową. Ach, sądzę, że śmiercią jest cię pokochać. Nigdy nie wniknie się nawet w twe spojrzenie. Patrzysz poprzez wszystkich. Do czego dążysz ?

Wzięła jego dłoń i popatrzyła na nią.

— Czego ty szukasz Priska ?

Odrzuciła jego rękę i roześmiała się chłodno.

— Szukam ran, Ablu. Widziałam cię wiszącego na krzyżu. I wiesz co jeszcze ? Wtedy uratowałam twe skrzypce. Nigdyś mi za to nie podziękował. Tak, czego ty szukasz ? — Krzyża wśród ludzi ? Twa miłość Ablu jest bardzo górna. Zadajesz ból, gdy kochasz. Zawstydzasz tę, którą kochasz. Zniżasz się wtedy. Ileś ty wtedy miał lat ? —

— Nie chcę o tem mówić.

— Priska—wołała Rickel Lubliner: przez aleję.

— Tak, muszę się dzisiaj ubrać, kupiłyśmy suknię z białej gazy. Mamy jeszcze tylko na trzy dni pieniędzy... Ablu, gdy już zdecyduję się na księcia, czy mam przedtem przyjść do ciebie, czy chcesz mnie raz pocałować ?

— Priska ! — wołała matka idąc śpiesznie kołyszącym się krokiem.

Priska nie otrzymała odpowiedzi.

Podczas tych dni zatrzymała się Marta Aleksiejewa w Nicei, w drodze z Paryża do Rzymu, by odwiedzić swego męża. Przyniosła purpurowe orchidee ze złotymi kielichami i jej zastygły zimny

uśmiech na namiętnej i pięknym obliczu znikł, gdy Konstanty Mikołajewicz poprosił o wazon i postawił kwiaty obok siebie na oknie. Abel przyniósł mu kryształową wazę, ubrany był w biały kitel i wyglądał na szesnastoletniego chłopca. Czerwony pas podkreślał jego wysmukłość. Skłonił się przed panią Pokorską, ujrzała jak jego smukłe palce grajka z męską niezręcznością układały kwiaty w wazonie. Nie spojrzał jeszcze na nią, jej wzrok służył po nim, czuł, że się czerwieni, odczuwając jak w jej ciemnych oczach odbija się myśl o pieściznach jego rąk podczas gdy układał kwiaty.

Wyszedł i usiadł w ogrodzie willi, którą Pokorski sam zajmował. Po pół godzinie — od wielu lat już tak długo nie przeciągały się jej odwiedziny u męża — wyszła z domu. W lekkim, jak westchnienie czarnym płaszczu, w białym kapielusiku, bez parasolki powiewna w swej bujności, bez uśmiechu.

— Czy chce pan pojechać ze mną—powiedziała i stanęła koło niego.

Nie wstając spojrzał na nią. Zatonął w jej piękności, nagle osłabły, jakby wyssany przez jej płonące spojrzenie, które obiecywało czystą i głęboką namiętność, nie bolesną, lecz swobodną. Musiał istnieć spokój w tej kobiecie, spokój nawet w ekstazie. Patrzył na nią, nie uśmiechając się, jak ona.

— Wyjeżdżam jutro wieczór — powiedziała. — Przed siódmą musi pan być u mnie. Czy woli pan pojechać na Sycylię ?

— To wszystko jedno — wyszeptał nieśmiało, rzeczywiście jak szesnastoletni chłopiec.

Odeszła bez pożegnania, nie obejrzawszy się nawet, a on pozostał na ławce, leżał jak nagi w słońcu, zapachu i żarze...

— Musisz natychmiast pójść i wystarać się dla mnie o dobrego pielęgniarza. I zatelegrafuj po Rene Clemencion do Genewy, żeby znów powrócił. Gdy ty odjedziesz, muszę mieć zamiast ciebie — więcej jak dwóch innych.

— Gdy ja wyjadę...

— Kiedy wyjeżdżacie? — zapytał Pokorski.— Stała się jeszcze piękniejszą. Gdy cię ujrzała, zapłonała czarem. Ona jest jak boskość — czy wiesz dlaczego cię kocha? — spytał kaleka jakby w szczęśliwym upojeniu. — Pachniesz mną. Cztery miesiące przy mnie — nabrałeś odemnie zapachu i przyzwyczajęń. W twoich dłoniach napotyka mnie. Może sądzi, mój piękny chłopcze, żeś cię całował i posiadał i chce tą drogą poprzez ciebie—wreszcie — wreszcie jednak do mnie powrócić!

— Ja nie odjadę. —

Pokorski roześmiał się.

— Tyś już dawno odjechał. Ty, kochany, miły żydowski człowieku, wcale nie wiesz jaką dziwną duszę posiadasz. Niejeden żyd, zasklepia się w jednym czynie na całe życie. Lecz ten inny, ty, nigdzie się nie zatrzymuje. On nie zna trwania. Jego zaspokojona namiętność staje się popiołem, jego rozbudzony zachwyt staje się nieprzeniknioną ciemnością... Pograżasz się tak głęboko we wszystko nowe, że natychmiast odczuwasz przesyt. Nigdzie się nie zatrzymujecie, jesteście błędne duchy. Trzeba się strzedz, spełniać wasze życzenia: spełnienie jest też końcem. Tak jak tyś mi się poświęcił, duszyczko, ach, ty musiałeś się wkrótce wyczerpać. Nie jesteście mądrzy, przyśpieszacie wasze uczucia. Lecz — macie rację: ciągle wzrastają świeże. My

żyjemy dla jedyne go uczucia. A wy przeżywacie setki.

Roześmiał się, lecz było mu ciężko. Tej nocy budził Abła wiele razy. Nowy pielęgniarz czekał, czujnie nadsluchując na najłżejszy szelest, lecz Pokorski wolał mieć Abła. Abel służył mu bez ociągania.

Teraz powiedział chory :

— Nie chcę byś biedny przyszedł do niej. Nie wiesz o tem: ona jest skąpa. Jutro pojedziemy do banku i jeszcze coś, mój drogi. Lubię o czemś podobnem rozmawiać. Jesteś w moim testamencie wzmiankowany. Jeszczem ci nigdy nie dziękował. Jestem czasem ponury, niemiły, lecz tam zobaczysz, jak drogi mi się stałeś. Ten dom, w którym byłeś dla mnie dobrym — żyd potrafi być tak dobrym, jak żaden inny człowiek, lecz i podłym jak nikt inny, — ten dom będzie do ciebie należał i jeszcze coś. Nie odrzucaj tego mój mały braciszku. Serce mi się krajało, gdym się budził i widział ciebie wyglądającego oknem. Tęskniłeś — lecz odważnieś to skrywał. Połóż się teraz spać.

Po godzinie znów.

— Abel, mój synku, obróć mnie. Jest tak gorąco. Nie daję ci dziś zupełnie spać. Wybacz mi, mój drogi. Jutro nie da ci spać piękna kobieta. Powinieneś mnie jednak ucałować. Nie ! Wstrzymaj się ! Nie dotykaj się mnie. To podle. Ona spojrzała na ciebie : i ja ci zazdroszczę... Teraz śpij...

Nie zasnął. Krew pędziła go naprzód, naprzód... Był jak oswobodzony z zaczarowanego koła. Lecz serce jego krwawiło. Urodził się, by służyć... Nawet obcym, z innej rasy... Uszczęśliwiała go ofia-

rować się dla uzdrowienia innych, cierpieć dla szczęścia innych — śmierć na krzyżu nie może być bolesna, jeśli uszczęśliwia innych. Wszyscy to czują. Najślabzy wykorzystuje tę służbę żydów. Trzeba być wielkim, by się nie wyczerpać. I to właśnie czarowało kobiety, przeczuwały w nim, gdy na nie spoglądał, pokorę w miłości, szlachetność w postępowaniu. Usługujący księżę, pomyślała Marja Aleksiejewna, gdy go ujrzała, tygrys o jagnięcej dobroci.

— Abel — zawołał Pokorski cicho — pić mi się chce. Już widno, nieprawdaż? Trzecia? Drogi, ostatnia noc. Wiesz, rozmyślałem o tem, o tobie, o was. Że ty nie jesteś sjonistą! Lecz ty nim jeszcze zostaniesz. Musisz się stać bardzo starym, by wszystko, co chcesz, pozostało za tobą. Boję się, że wy, młodzi żydzi, wszystkie przeżycia bierzecie poza siebie, nie w siebie. Budują Palestynę na nowo. Sztucznie — pomyłone dzieło. Co to ma jeszcze wspólnego z żydostwem? Ucieczka dla żydów, dobrze, lecz nigdy państwo żydowskie. Czyż bywa państwo bez religii? Religja jest początkiem, a sjonisci ją odrzucają. Żydostwo nie da się zdobyć zewnętrznym sposobem. Choć mówią po hebrajsku i mają teatr żydowski i hebrajskie gazety, nie pochodzi to z wewnątrz. Źródło musi być, a źródło żydostwa jest dawno wyschnięte. Teraz niosą ze wszystkich stron wodę do pustych dzbanów. I ta się brudzi, nic za nią nie płynie, nie czyści się sama. Wasze żydostwo jest pozbawione krwi; dusza jeszcze istnieje, bezcielesny duch. To nie wystarcza. Jesteście bliscy wygaśnięcia. Wasze piękno jest ostatnim promieniem jasności.

Godzinę później — już wciskał się różowy po-

ranek, pachnący oleandrami do pokoju, morze i niebo wstrzymując oddech, oczekiwały światła :

— Jesteście samą dobrocią; lecz bezsilną dobrocią, która was wyniszcza. Wołacie do szukającego u was pomocy : precz, precz, rozdzierasz mi serce. I płaczecie, że on głoduje. Nie, Ablu, ty nie, ty dałbyś głodnemu własne serce na pożywienie. Lekkomyślny jesteś ze swym sercem. Tylko żyd może być tak nieograniczony w oddawaniu. — Ciagnie cię do ludu, mój drogi. Bo nosisz lud w sobie. Ty jesteś jeszcze człowiekiem ze źródła. Lecz zostaniesz w niem. Myśl o mnie. Biedny, nowoczesny żydzie, kiedyś należałeś do wieczystego narodu, teraz staliście się przemijającymi jednostkami. I jako tacy, zostaniecie pochłonięci przez inne narody. Żyd się skończy, lecz ludzkość będzie zażydzona. Większego znaczenia nie miał jeszcze żaden naród. Musicie zginąć, by drugi raz zbawić świat. Poetycznym narodem jesteście. Nawet pieniądz staje się u was straszliwą poezją. W sobotę nie istnieje u was pieniądz. Co sześć dni posiadacie dzień, który was czyni czemś więcej jak ludźmi. Bóg wiedział dlaczego was wybrał — samotny żydzie. Niema nawet mostu między tobą, a twemi braćmi.

Godzinę później był dzień.

— Teraz ucałuję cię, Ablu. Niech ci się dobrze wiedzie, moja duszyczko, braciszku. W dzień będziemy znów trzeźwi. Dziękuję. Ty umiesz tak dobrze milczeć. Nie zgiń, mój drogi. Powiedz, mi, żeś ty — Nie, nic. Ja wiem. Gdy będę umierał, wezwę cię.

Gdy Abel Adler, z małym kuferkim, opuścił dom, stała pod cytrynowemi drzewami Priska.

— Dziś w nocy, Ablu, wyruszę w yachcie

księcia na morze. Jedziemy na Marokko. Jestem więc Ablu.

— Bądź szczęśliwą —

— Nie chcę tego słyszeć. Jestem Ablu. Oto me usta. Czy mam pozostać ?

Pochylił głowę.

Po chwili głębokiego milczenia powiedziała Priska cicho :

Żegnaj Ablu. Ty też wyjeżdżasz. Zobaczymy się z pewnością jeszcze kiedyś. Dobranoc.

Jej kroki były bezszelestne...

O północy opuścił biały yacht księcia błękitne wybrzeże. Priska stała obok niego na pokładzie. W górze pędził pociąg z oświetlonymi oknami. Siedział tam Abel Adler przy oknie i ujrzał światło na morzu, światło okrętu, gdzie miała znaleźć szczęście Priska. W fotelu, za nim, leżała Marta Aleksiejewna i patrząc się na niego przeczuwała całe szczęście i rozkosz miłości. W tym samym pociągu jechała Rickel Lubliner. Posiadała czek na bajeczną sumę, czek od księcia i jechała do Berlina, by urządzić i przygotować mieszkanie dla Priski. Trzeba znaleźć i urządzić wygodne mieszkanie, gdyż mama Rickel nie zносиła podróży i łóżka hotelowe uważała za zbyt zimne. Ona rzeczywiście mogła spać tylko na pierzu darte przez siebie....

Nagle zbudziła się kobieta. Zapadła w głęboki sen, bez marzeń, w ramionach mężczyzny. Rozejrzała się, październikowy dzień szarzał w jedwabnych czerwonych zasłonach. Była sama... Drzwi do sąsiedniego pokoju były zamknięte, lecz czuła poprzez te zamknięte drzwi, że tamten pokój był pusty. Gdy wejdzie — ujrzy nietknięte łóżko i kartkę na stole : bądź zdrowa —

Siedziała nieruchomo i dreszcz, który ją przenikał, nie był następstwem zimna, był strachem, tęsknotą, bólem serca.

Znów sama...

Marta Aleksiejewna nie miała odwagi rozewrzeć oczu, by się nie potwierdziło ohydne przecucie. Szepnęła : „Duszeńka“. Głośniejsz : „Gołubczyk“. Z krzykiem : „Ukochany ! Moje ty serce ! Przyjdź tu ! Gdzie jesteś ? Mnie zimno !“

Nadśłuchiwała. Deszcz padał nieustannie, łagodnie uderzając o szyby. Chciała płakać, lecz zadrżały jej tylko zlodowaciałe wargi.

W tej chwili opuścił hotel Champs Elysees młodzienc. Wyszedł z hollu, pozostawił za sobą wspaniałe wejście i pograżył się w przepojone deszczem powietrze. Wzniósł twarz do góry i wystawił ją na padające krople. Zmywał z siebie rozpustę, trwonienie, upojenie i zbytki lata, złota skorupa opadła mu

z duszy. Roześmiał się. Rozłąka z lśniącą karoserją aut, z łózkami hotelowymi pod jedwabnymi zasłonami, kasynem, kajutami adriatyckich statków. Rozłąka z lakierkami i frakiem, rozłąka z kwitnącą i delikatną piersią kobiety, rozłąka z bezowocnym i leniwym życiem. Czem był? Niczem lepszym, niż ten sutener, który na rogu czeka na swą dziewczynę, by po nocnej pracy odebrać jej zarobki. Sutener! Lecz w jedwabnych skarpetkach, który swej kobiety nie potrzebuje wysyłać na ulicę, bo bez tego ma dość pieniędzy.

Obmywał się deszczem i powietrzem. Z walizką w ręce szedł przez Paryż o poranku, w którym zmiatano zwiędłe liście. Bulwary pełne już były ludzi śpieszących do pracy, boczne ulice ciche. Szedł nad Sekwaną na ulicę des Saint Peres. Tam wynajął sobie wczoraj pokój. Pograżał się w inny Paryż, pozostawiając za sobą, wielkie luksusowe hotele, wspaniałe ulice, kawiarnie.

Zapomniał o ukochanej kobiecie zaraz po pierwszym odetchnięciu bardziej umiłowaną wolnością. Coś, jakiś ból bez nazwy, dręczył mu nie serce, lecz sumienie... Spojrzał w dół na Sekwanę, była ciężka i brudna. Jakiś autobus z hukiem przejechał przez most. Handlarze na brzegu jeszcze nie otwarli swych budek, za godzinę zapanuje tu ruch i życie. Czuł skrzydła u swych ramion.

Gdy noc zapadała, oczyszczało się powietrze nad hałami. Z Montmartru szedł z wiatrem zapach ryb i kapusty na Sekwanę. Jest cicho. Oświetlenie mroczne, mnóstwo uliczek wychodzących na Place de Innocents wyglądają jak nagie. Tam znajduje się spelunka „Au rat qui fume“.

Abel Adler grał sutenerom, apaszom i ich dzie-

wczętom. W paszporcie nazywał się włochem. Słyszał piosenki przepojone nienawiścią i szyderstwem na Niemców, jak niegdyś w Niemczech na żydów. Nienawiść ma wszędzie tę samą formę, ten sam wyraz, takie same słowo. Rachela może go kochała. Jej przyjaciel nie powrócił z wojny i była po nim wdową dotychczas. Mieszkała na dole, na Montparnassie i miała przyjaciółkę, kulawą kwiaciarkę, dla niej zarabiała. Nienawidziła mężczyzn. Koledzy nazywali ją „Rachele la noire“. Teraz pokochała Abła całą siłą swej gorącej krwi. Jakież to dziwne : nigdy jeszcze nie miała żyda — sama żydówka. Jemu nie odmawiała niczego. Wspomagała w dalszym ciągu swą przyjaciółkę, gdyż on nie potrzebował pieniędzy, zarabiał sam.

Lecz zaklinała go : nie pracuj, błagam cię, chcę dla ciebie zarabiać. Kocham cię tak bardzo...

Te kobiety kochają, jak mężczyzna : chcą, by ukochana istota zależała od nich. Abel śmiał się. On używał cudownie. Życie było nieustanną przygodą. Tylko czasami przenikało go pytanie : czyż życie tkwi w przygodzie ? czy nie w czymś innym ? czyż nieustanne przygody nie wykluczają wieczystego życia ?

Czarna Rachela była słodka, jak wschodnia trucizna : pije się ją cudownie, lecz potem zabija. Abel, choć tak młody, popadał w znużenie, prawie nieprzytomność.

Piękna dojrzała Marta Aleksiejewna była, jak ciężki, w ciemności pogrążający sen po zażyciu opium. Rachel była kokainą—upajała snem lekkim, wznosząc i wznosząc i wciąż na nowo podniecając namietność — póki nie przychodziło ocknienie.

Abel Adler przeżywał. Świat był przyćmiony,

nawet o matce zapomniał, zagubił się w używaniu. Jak gorącą była przyjaźń bywalców spelunki „Au rat qui fume“! Czego on tam nie widział? Czego nie słyszał? U wejścia siedzieli policjanci z rewolwerami na stole. Powietrze napelniało niebezpieczeństwo, zbrodnia. Nigdy się nic nie zdarzało. Lecz Abel był przyciągany do stołów, w krąg bladych męskich twarzy, które pachniały winem, wódką, tytoniem i kobietami. Słyszał rzeczy nie do uwierzenia. Wiedział o zbrodniach Paryża, o rozpuście, która była ukryta, a więc prawdziwa. Grał jak szatan, mając krew wzburzoną straszliwymi obrazami. Jego skrzypce pobudzały i rozwiązywały ukryte żądze wśród mężczyzn i dziewcząt. Popołudniu, gdy nikt obcy nie przeszkadzał tym zamiarom, szli do Tabarin, ubrani jak mieszczanie i tańczyli z ludźmi z wyższych sfer. Sutenerzy wszyscy, przestępcy niektórzy. Jakiś chłopak zakochał się w Ablu i włókł go za sobą do barów, gdzie spotykał się ze swymi przyjaciółmi, szli do eleganckich lokali, gdzie księżta i dyplomaci, miljonerzy, awanturnicy, handlarze żywym towarem brali chłopców. Chodził do tureckich kąpeli, do maurytańskich łaźni, gdzie erotyka rozrastała się bezkarnie. Stał w ciemiu bramy, gdy o trzy kroki dalej Gaston le tigre wypróżniał przechodniowi kieszenie. Obserwował, jak jego przyjaciółki uwodziły prowincjałów i cudzoziemców w salach tańca na rue de la Gaité, Moulin de la Gaillette, u Builler'a. A przyjeżdżało po wojnie do Paryża mnóstwo cudzoziemców, wygłodzonych i stęsknionych uroku tego jedyne go miasta.

Spał często, zbyt zmęczony by powrócić do domu, po drugiej stronie Sekwany, w podejrzanych lokalach noclegowych i słyszał okrzyki śpiących o

rzeczach, za któremi tęsknił. Gdzież było życie? Jeśli nie tu, to gdzie jeszcze? Tylko wśród ludzi, im głębiej, tem bardziej bezpośrednio tętni życie, jest czystą naturą, instynktem; wśród ludzi kulturalnych jest zepsute. Kultura jest wrogiem życia, żywiołu, jest przeciwną bytowaniu. Lud jest ekstraktem instynktów, gdy bez obłonek używa, lub spełnia zbrodnie.

Rachel szukała go. Sterczał w Caveau des Innocents, łokieć przy łokciu z trzema pięknymi apaszami o czwartej nad ranem. Trzeba było wyjść przez podwórze. Na ulicy czuwali dwaj policjanci. Dwanaście opustoszałych ulic, jak ciemne pieczary, patrzyło na plac. Śnieg topniał, pachniało słodko jak w marcu. Gwiazdy połyskiwały. Żaden krok nie rozbrzmiewał.

Pociągała go ze sobą, niecierpliwa, obejmując na cuchnącym podwórzu. Albert wpadł na nią, Albert z przydomkiem. „Bochestrach“ jak go zwano od czasu wojny — hjena ludzka.

— Dobrego apetytu — zawołał.

— Dlaczego ludzie kochają się w nocy? — pytała Rachel. Dlaczego czeka się na ciemności, by być szczęśliwym? Czyż szczęście jest czemś niesprawiedliwym, miłość zbrodnią? Nad kim? O, nad sobą... Cóż myślisz o tem, kochany?

Szli wolno wzdłuż Sekwany. Na dole na Quai mijali robotników, migaly światła, cielska kanałów w kołyszącej wodzie dyszały wyziewami. Uderzenia młotów były jak serce obnażone, nocą jasne, wyraźne, bezustanne, lecz mimo to tajemnicze.

Rachel szeptała dalej.

— Ukochany! Ja cierpię tak bardzo. Gdzie jesteś? Nie posiadam cię. Nigdy. Dlaczego wiecznie

jesteś zamyślony? O czym myślisz? Ach, dlaczego człowiek musi myśleć nawet w uścisku? Nigdy nie pozbywa się mózgu, nawet w ekstazie. Gdy jesteśmy jak zwierzęta, zawsze jeszcze nie jesteśmy zwierzętami. Szczęśliwe zwierzę. Nie myśli. Obejmujesz mnie, a mnie dreszcz przenika na myśl: po raz ostatni!... Kiedyś odejdziesz. Ach, odejź lepiej dziś, niż jutro, gdyż wtedy będzie to już poza mną.

Rzuciła go na barjerę, objęła, uścisnęła, zanurzyła się w nim kurczowo, całując go ugryzła do krwi,ssała jego krew, jego oczy z orbit, duszę z ust.

— Mój jedyny, — jęczała, mój pierwszy...

Przechodzący robotnicy, śmiejąc się, rzucali gorące żarciki... Miłość w Paryżu jest dla wszystkich świętą, nikt jej nigdy nie wyszydza i nie wyśmiewa.

Przy ulicy des Saint Peres rozebrała Rachel swego ukochanego, zapaliła maszynkę gazową i nagrzała prześcieradło. Zapuściła firanki, ochraniając go od dziennego światła i siadła u nóg śpiącego, patrząc w jego uśpione oblicze, które rozświetlało fantastycznie światło gazu z pod kuchenki. Łzy ciekły jej po twarzy, potem znów zaczęła się uśmiechać; pobladła z gniewu, złości, strachu i zazdrości; wreszcie pochylili się do ukochanych stóp i ucałowała je, kuląc się z zimna i nadsluchując oddechu śpiącego, jak niebiańskiej muzyki.

Na dole budził się Paryż. Omnibusy dzwoniły. Terkotały wozki z jarzynami, mlekiem, chlebem, potem mięsem. Na górze wróciła Mimi do domu. Jej przyjaciel przywitał ją przekleństwem. Rachel ucałowała serce Abla.... Nocą często wędrowali do Belleville. Dziewczęta ubrane jak latem, zmarznięte ręce w kieszeniach fartuszków. Mama Manon stoi nocą o dwunastej w drzwiach swego baru; koksowe

piecyki płoną, a gospodyni rzuca żartobliwe uwagi swym klientkom, które ze zdobyczą idą do domu. Buttes Chaumont stoją pozbawione liści, kapie ze wszystkich drzew, słodki i czarowny dźwięk w nocnej ciszy. Zaczynało się już wkrótce łażenie kotów. Przy sztachetach stoją alfonsi, pałac papierosy i bawiąc się nożem w kieszeniach spodni. Nastąpiły obfite czasy. Amerykanie są ciekawi i przyjeżdżają oglądać pola walk, szukają pamiątek w zapadających się okopach; rzucają się na Paryż, jak rabusie na zdobyte miasta, przetrząsają wszystko. Odważają się nocą, biorąc rewolwer do kieszeni, w towarzystwie swych dam, które zostawiają biżuterję w hotelu, przychodzić tu do Belleville. Odwiedzają wszystkie zaułki i spelunki, lecz apasze dorównywuują amerykańkom. Wszędzie jest ich pełno. W jaskiniach gry, w publicznych domach, w knajpach, w podziemiach i w szynkowniach.

Abel Adler kręcił się wszędzie ze swymi przyjaciółmi. Jego przyjaciele lubili go, choć wiedzieli, że jest Niemcem; wyraz „boche“ stał się teraz słowem pieśszoty. Rachel wymawiała ten wyraz jak święte imię Chrystusa, gdy wpadała w zachwyty miłosny. Odkrywała przed nim tajniki Paryża. Dopięła swego: nie grał więcej. Nad ranem spotykała się z nim na Boulevard Montparnasse, dawała mu pieniądze, a potem pukała w sposób umówiony w jakieś drzwi. Żeby wszystko widział. Wprowadzała go do podziemi urządzonych z przepychem królewskim. Na antycznych łożach panowało bezeczeństwo, prostytutka drogo opłacana, w dziłkach i odmianach, której przyglądali się bogacze.

Przygniatało go, mdliło, szukał i odnajdywał Rachel pod mokremi, nagimi drzewami. Wiedziała

co czyni: kochała mądrze. Wiedziała, że gdy patrzy i przeżywa te wielkie nadużycia, jest jej serce i objęcie ukojeniem i spokojem. Swe rzemiosło zostawiała nazewnątrz, żaden zapach nawet nie krążył nad nią, ciągle na nowo dziewicza, gdy jej dotykał. Zdawała mu się jedyną w tem straszliwym zepsuciu.

Lecz Rachel narzekała:

— Najdroższy, najdroższy, tylko w tem mgnieniu należysz do mnie; tylko na chwilę jesteś całkiem mój. Kiedyindziej — jesteś tak straszliwie mężczyzną; nic wspólnego z kobietą. I przytem: żyd. To jest jakgdyby kaziurodztwo, gdy cię całuję. Czyż nie jestem twą siostrą?

Nadchodziła wiosna. Niebo już w lutym zaczynało się uśmiechać nad Paryżem. Riviera przysyłała wózki fijołków, mimozy i róż, ulice pachniały i kwitły. Gołębie krążyły nad kościelnymi wieżami. Drzewa na Avenues nasiąkały sokami.

Marta Aleksiejewna szukała kochanka. Wróciła z powrotem z Kairu i leżała w łóżku, w którym ją opuścił. Zamówiła emigranta rosyjskiego, młodego księcia Ossina, by z nim zwiedzić światła i cienie Paryża. Abel krążył w jej krwi.

W Cafe de Paris siedziała przy sąsiednim stoliku Priska Lubliner, raczej księżniczka niż kokota. Miała dopiero drugiego mężczyznę Timmy C. Porter z Chicago. Ona i Marta Aleksiejewna spojrzały na siebie i już nie spuszczały z siebie oczu, jedna nie wiedząc, co we wzroku drugiej się kryło. Wspólny kochanek był kołem, w którym się znajdowały. Priska skinęła na kelnera i posłała nieznanomej swoją wiązanekę czerwonych kameliji. Marta Aleksiejewna posłała jej uśmiech i przyłożyła kwiaty do ust. Priska zadrżała, jak nigdy dotąd pod wpływem

pieszczoty nie drżała. W tej samej chwili, jednocześnie podniosły się obie kobiety i spotkały się w drzwiach. Działy obie pod wpływem nieznanych sił przeznaczenia, żadna nie wiedziała dlaczego...

Następnego wieczoru Priska przestąpiła próg madame Połkorskiej jak próg kaźni. Chciały podać sobie ręce, lecz w tym samym momencie jednocześnie padły sobie w ramiona.

Ich miłość powstała w ślepej wściekłości szalu. To uczucie kotłowało w nich z głębi i tylko zewnętrznie obie maskowały spokój.

Mister Porter odjechał. I Priska pozostała bez pieniędzy i przeniosła się do Marty Aleksiejewny do hotelu. Gdy w gorące marcowe południe Połkorska raz wśród uścisków wyjęczała: — Abel! — zaczęły się nienawidzić.

Do tej pory nic o sobie prawie nie wiedziały, nie miały czasu nigdy na rozmowy, przepędzając czas nawpół przytomnie, jak w narkozie, w żarze swej krwi. Teraz nastąpiło wyjaśnienie.

Gdy imię to zostało rzucone, czar prysnął. Spojrzały na siebie po raz pierwszy: kobiety... Nienawiść, zazdrość, wstyd, przerażenie rzuciło je na siebie. Priska uderzyła pięścią w czarne warkocze Marty, czuła się oszukana, podsłuchaną w najgłębiej skrywanej tajemnicy, poniżoną, wyszydzoną, a Marta jakgdy zgwałcona szarpała palcami piersi tej dotychczas tak umiłowanej.

Marta Aleksiejewna nie była człowiekiem wielkodusznym; kazała wynieść kufry Priski na korytarz. Priska sprzedała pierścionek, szpilkę i przeprowadziła się do mieszczkańskiego domu na placu Vendome. Gdy wieczorem wysiadła z auta, skulona,

z bólem w zranionej piersi, przeszedł obok Abel, ubrany jak robotnik, w płócienną czapkę z daszkiem, z papierosem w ustach. Gdy odzyskała przytomność i zawołała za nim, znikł. Lecz było jej miłe nawet to szczęście.

Nocą była w Tabarin; wypadki tych dni rozstroiły ją, traciła pewność siebie, rozsądek, poczuła strach przed życiem, bezradność i poniżenie i pojechała tam, by poszukać sobie mężczyznę. Jakiś włoch wziął ją do gabinetu na godzinę, zapłacił źle. Pozatem miała sprzeczkę z zarządzającym, który żądał dla siebie prowizji. W tej jednej godzinie stała się Priska, kochanka księcia von Molina prostytutką w Paryżu. Jak gdyby ratując się przed tem życiem, uciekła z tego domu. I na placu Pigalle stał Abel Adler.

Abel z trzema, czterema uszminkowanymi chłopcami, którzy byli ożywieni i hałasowali, a on śmiejąc się odsuwał ich upięścieniowane palce. Podeszła ku niemu, jak modlący się do ołtarza.

Nie zdziwił się. Wypadki życia, były tak dziwne jak zrozumiałe. Nie umiała nic opowiedzieć. Teraz, przy nim, jakgdyby tego całego roku nie było wcale, stała się nieśmiałą.

Nagle powiedziała — nigdy dotąd nie wpadła na tę myśl :

— Jadę jutro do Berlina.

Zdawało jej się, jakgdyby jej nie widział wcale: taki niedostępny był dla niej. I poczerwieniała na wspomnienie : dawałam mu swe usta...

Odeszła, a on dał jej odejść. Nic nie powiedział. Chłopcy, którzy usunęli się, wrócili z powrotem i zaczęli mu opowiadać przygody ubiegłej nocy.

Lecz Abel nie słuchał więcej. Berlin...

Przez Paryż powiał wiatr wiosenny, liście zaczęły już kielkować na drzewach ulicznych i ziemia pachniała słodziej niż zapach kobiet. Jakiś głos zabrzmiał z głębi świata, głos wieczności.

— Abele, moje życie, moje złoto. Gdzie jesteś, moje dzieciątko? Dlaczego nie wracasz do twojej matki do domu?

Ocknął się. Dziecko zbudziło się w mężczyźnie i znów w wieczystości mgnienia zobaczył bezmyślne rozdziały swego życia, odczuł daremność swej tęsknoty, zatracenie swej istoty, omyłki swych czynów.

— Do domu...

To jeszcze istniało, bo było mocne w całym kołysaniu się świata. I choć było tylko w sercu matki.

— Mam, — Mamuśka —

Rachel le noire stanęła nagle między chłopcami, wsunęła mu pieniądze do kieszeni. Jęknął głośno.

— Najdroższy! — zawołała prostytutka łagodnie i serdecznie — ukochany.

Spojrzał na nią, kochał ją w tej chwili rozstania po raz pierwszy. Gdy opuszczał człowieka, wtedy dopiero zamykał go w swym sercu.

Przeczytała swój los w jego spojrzeniu, przeczuwając, jak to tylko potrafią kochające kobiety.

— Weźcie go ze sobą — zawołała do chłopców. — Nie będziecie go już długo posiadali. — Roześmiała się i uciekła, a Ablowi zdawało się, że słyszy jeszcze jej śmiech, gdy był już w szloch zmieniony.

Dopiero rano powrócił do domu, drzwi były zamknięte. Zawołał concierge, lecz i ona nie mogła

mu otworzyć, gdyż rygiel z wewnątrz był zasunięty. Już zebrał się cały dom na Rue des Saints Peres. Śmierć pociąga magnetycznie żywych. Ze szpar płynął słodki, ciężki zapach gazu.

Ślusarz otworzył zamek. Na łóżku Abła leżała czarna Rachel. Odkręciła kurek gazowy, przyspieszając rozstanie z ukochanym. Nie żyła już, lecz poduszka była jeszcze mokra od łez, wśród których zasnęła.

Pierwsza zimna noc, nagły chłód z przymrozkiem i wichrem, po ciepłych dniach październikowych. Wiatr dął od lasu w górę Kurfürstendammu, liście szeleściły i miały się, jak spłoszone nietoperze. Zamykano wszystko na długo przed północą, gasły oświetlone okna, opadały żaluzje i ludzie opuszczali bary i kawiarnie, by udać się do miejsc zakazanych. W mroku gdzieś tylko świeciły latarnie, a boczne ulice wypełniała niesamowita ciemność.

Abel Adler wyszedł z kawiarni, w której grał. Portjer stojący przy wejściu do ogródka, drżąc z zimna w swej lekkiej złoto-zielonej liberji, podał mu na pożegnanie rękę. Był to młody docent matematyki, który utrzymywał się z tego pobocznego zarobku. Pomagał on uszmkowanym kokotom przy wysiadaniu z auta i podawał okrycia dwudziestoletnim paskarzom. Wsuwano mu do ręki papierki, dziś zawrotne sumy — jutro, przy codziennie zmiennym kursie waluty, bezwartościowe szmatki.

Kelnerzy rozchodzili się, dążąc śpiesznie do swych nieopalanых komórek. Byli to : student, poeta i rosyjski książę, którego jedyną umiejętnością było to, co zapamiętał z doskonałej obsługi swych lokajów, którzy mu ongiś, w petersburskim pałacu, tak sprawnie i bezszelestnie umieli podsunąć we

właściwej chwili srebrną tacę z tartinkami, kuropatwą, mrożonym ananasem. Stara kobieta, garderobiana była niegdyś śpiewaczką, a ta, której szczęśliwie udało się otrzymać pracę przy obsłudze toalety, była matką trzech chłopców, wojenną wdową po pewnym historyku. Podawała ona teraz kokotom ręcznik i mydło, nachylała się, aby oczyścić ich pantofelki, spełniała ich polecenia i załatwiała im różne sprawunki. Teraz biegła, owinięta w chustkę, do odległego Schönebergu.

Abel doszedł do kościoła. Ludzie tłumnie śpieszyli we wszystkich kierunkach. Do kraty ogrodu kościelnego przyłgnał jakiś człowiek, jak nieforemny tłumok, skurczony we dwoje. Abel pochylił się nad nim. Był to mężczyzna, który w ramionach trzymał dziecko, niespełna dwuletnie, pokryte łachmanami. Zdawał się spać. Abel zawołał go i ciotamten podniósł ku niemu wzrok, jak niemy krzyk z otchłani nieszczęścia. Twarz blada i wychudła wykrzywiła się uśmiechem żałości bezradnym.

— Chleba — zawołał głosem, który zdawał się pochodzić z takiej głębi, do której nigdy nie zajrzał wzrok szczęśliwy. Dziecko leżało jak nieżywe. Abel dotknął lodowatego czołka.

— Tak — powiedział ojciec — jest martwe...

Ludzie przebiegali obok, śmieli się i popychali, ocierali się o siebie, porozumiewali się wzrokiem, wsiadali do aut, odjeżdżali, spiesząc się ku wspólnym łóżom, salonom gry i tańcom nagich kobiet.

Abel zatrzymał się. Stał obok skulonego człowieka, wyjął skrzypce z futerału i zaczął grać. Nie zatrzymał się nikt, ale niektórzy rzucali w przejściu pieniądze. Mała prostytutka pochyliła się i, w porywie litości dla młodego pięknego skrzypka,

złożyła swój tani pierścionek między banknoty. Ojciec zmarłego dziecka nie podniósł ani na chwilę oczu, wzrok jego, jak zahypnotyzowany nie mógł się oderwać od padających w otwarty futerał skrzypiec pieniędzy. Nagle jęknął tak głośno, że Abel przerwał grę.

— Żona — zajęczał głośno — żona — i przycisnął do siebie trupa dziecka. Oto matka stała na rogu Joachimsthalerstrasse, matka dziecka, zmarłego od dwudziestu godzin i czekała na mężczyznę, który ją weźmie. Piec w domu był zimny, garnek pusty, a dla zmarłego dziecka trzeba kupić trumnę. Ale teraz już nie potrzebuje się sprzedawać. Anioł w ludzkiej postaci zjawił się i wyczarowuje ze skrzypiec pieniądze, pieniądze, pieniądze...

Abel nie mógł się nawet na pożegnanie uśmiechnąć, twarz jego była jak zastygła maska. Musiał się spieszyć, aby zdążyć na godzinę 12-tą do „Czerwonego Piekła“, gdzie grywał nocą. Przygrywał straszliwym błędem ludzkiego zwierzęcia. Ale otrzymywał za to pieniądze, śmiesznie dużo, niebywałe sumy — gdybyż nie były jeszcze zbyt małe, aby zagłuszyć westchnienia i wypędzić precz głód!

Dookoła Gedächtniskirche hulał wicher. Teraz gdy pogasły oświetlone okna restauracji, panował zupełny mrok. Dziewczęta w krótkich wąskich spódniczkach kręciły się w pobliżu marmurowego gmachu i zaczęły ochryplemi głosami przechodniów. Przemknęło auto, jasno od wewnątrz oświetlone. Jakaś kobieta, przytrzymując ręką jedwabne firaneczki, wyglądała przez kryształową szybę. Koło niej, tonąc w obfitości swego olbrzymiego brzucha, mężczyzna — widocznie gruba ryba wypchana

dolarami. To Priska de Lublin wiozła swą zdobycz z jakiegoś luksusowego lokalu do swego mieszkania na Kurfürstendamm. Zobaczyła Abła, oworzyła usta; wyglądało to jakby krzyk zamarł wśród miękkich poduszek, ciepła, perfum i światła. Chłopak jakiś, drżący z zimna, przebiegł Ablowi drogę i podsunął mu duże pudło od cygar, napełnione paczkami zapalek.

— Zapaliki, zapaliki, proszę! Matka będzie mnie biła.

Na kościele wybiło wpół do dwunastej. Z Rankestrasse nadeszła banda pijanych cudzoziemców, studentów i dziewcząt. Zatrzymywali auta: przy czerwonych ognikach papierosów twarze ich były piękne i blade. Krzyżowały się wszystkie języki świata, prócz niemieckiego.

Tauzienstrasse była prawie pusta. Stara, niemodnie ubrana dama szepnęła coś śpiesznie idącemu młodzieńcowi. Ma coś specjalnego dla bogatego cudzoziemca — za takiego bowiem przyjęła tego bruneta. Cóż więc pomoże! Gdyby nawet grał dzień i noc, nie wystarczy na okupienie nędzy ludzkiej. Miłość pozostanie w kajdanach, dopóki rządzi pieniądź. Tylko na grobie kapitału może zakwitnąć wolność. Dopóki nie rozkazuje proletarjat, póty proletariusz jest niewolnikiem, żerem i zdobyczą innych warstw społeczeństwa.

Abel zdusił w sobie krzyk bólu. On znał tajemnicę tych zasłoniętych okien, tych ukrytych piwnic. Na dole nagie tańce, na parterze salony gry, na pierwszym piętrze dom publiczny, na drugim drukarnia fałszywych banknotów i paszportów, na trzecim pokoje umeblowane dla cudzoziemców — właścicielka — szlachcianka, śpi w kuchni, sprząta po

odwiedzinał prostytutki i przewietrza splamioną pościel; na czwartym piętrze trzy rodziny w pięciu pokojach, jedna głowa kapusty na dwanaście żołądków, dzieci pozbawione mleka, chorzy — stosownego pożywienia, bliscy pozbawieni nawet słowa pociechy po zmarłych.

Abel znał cierpienia kobiet, marznących na wszystkich rogach ulic i rozgrzewanych w napawających je obrzydzeniem ramionach. Młodzi ludzie zaczęli go. Prostytucja wśród mężczyzn na Tauzienstrasse rozkwitała i głodowała nie mniej niż wśród kobiet. Nietylko uszmirnkowani młodzieńcy, lecz bladzi skromnie wyglądający mężczyźni wabili uśmiechem, studenci, pracownicy, artyści, którzy szli na ulicę, by nie umrzeć z głodu: można ich było mieć za papierosy.

Jak dobry duch szedł Abel poprzez ten świat przymusowego występku. Dawał papierosy, nie żądając wzajemian pocałunków, rozdelał pieniądze, uśmiechał się i szedł dalej. Przebiegał Wittenbergerplatz, Nollendorfplatz. Na Bülowstrasse krążył występki najlichszego gatunku. W tym zakątku kryły się lokale mężczyzn. Marynarze o nagich piersiach i podmalowanych oczach siedzieli w zionącym perfumami powietrzu. Szoferzy spijali likiery z byłymi oficerami. Artyści gorączkowali się i szukali podniet w towarzystwie rzeźników i ślusarzy. W pięknych ubraniach, z nagiemi ramionami tańczyli zgrabni smukli młodzieńcy. Kelnerzy o czerwonych wargach i wysuniętych piersiach dawali adresy i pozwalali się oczekiwać nazewnątrz lokali. Naprzeciwko były hotele dla gości, szukających schronienia, by uprawiać występki, przez ukryte drzwi mogli bezkarnie i niepostrzeżenie zniknąć, gdy wchodziła po-

licja, żądając okazania dowodów. Lokal tłoczył się na lokalu. Otyłe gospodynie siedziały ze swemi przyjaciółkami czule się obejmując wśród gości, wino lało się strumieniem. Wszystkie języki świata upadabniały się do siebie w fachowych określeniach występku. Gdy opuszczano żaluzje i ulice pustoszały, rozpoczynały się ogólne orgje.

Dalej nieco, gdzie stał czerwony kościół bez ozdób i nie łagodnie, lecz groźnie wskazywał ku niebu, ukrywał się w bezpiecznym domu lokal pod nazwą „Czerwone Piekło“. Na Kurfürstendamm, na Friedrichstrasse, na placu Wiktorji Luizy, na Potsdamerbahnhof, przed Operą stali naganiacze szepcząc: „Tańce nago. Gra hazardowa. Małe dziewczynki. Piękni chłopcy“.

Cudzoziemcy zaciekawieni i podnieceni szli tłumnie. Auta zajeżdżały. Jechano uliczkami o podziurawionym asfalcie. Pojazdy podskakując trzęsły. Berlin ginał. Z fasad nieopalanych domów opadał tynk, balkony były połamane i pochylone, szyby popękane i sklepane papierem, drzwi nie domykały się, brakowało zamków. Na klatkach schodowych dywany się rozpadały, złodzieje roznosili strzępy, kradli klamki, ozdoby z brązu, wykręcano żarówki z lamp i schody pogrążone były w ciemnościach. Nie było sensu poprawiać, trzeciego dnia znów wszystko zostałoby rozkradzione.

Aut z bogatymi, grubymi śmiejącymi się ludźmi przejeżdżały przez ten rozpadający się Berlin. Zatrzymywano się na jakimś rogu. Tam stali stręczyciele, zbliżali się, krótkie pytania i potem szybko prowadzili gości. Ciemna boczna uliczka, przed wysokim domem dwóch mężczyzn. Jakieś drzwi się otwierają. Obcych ktoś prowadził za ręce poprzez

ciemne podwórko, jak więzienie. O, porywające, gorączkowe, tajemnicze życie! Kleszonkowa latarka oświetliła jakieś ukryte drzwiczki w cieniu. Wilgotnymi, stęchłymi schodami w górę, przez korytarzyk, znów schody, w górę, potem w dół, nowe wejście. Gdzie się znajdujemy? Poprzez ile domów krążono tajemniczo? Czy wracano z powrotem do miejsca, skąd się przyszło? Wszystko, by zmylić czujność gościa lub podniecić jego ciekawość? Dokąd trafi się w tem mieście? Do jakiego domu? Na jaką ulicę?

Jeszcze jakieś drzwi. I nagle pozostawieni przez przewodnika, wepchnięci naprzód, znaleźli się w wyłożonej czerwonym drzewem okrągłej sali, zalanej potokami światła z białych lamp; lokaje w czerwono-złotej liberji, garderoby obsługiwane przez ponętne kobiety o ufryzowanych głowach. I tak samo nagle muzyka, szum, hałas, brzęk srebrnych nakryć. Powietrze przesycone perfumami, winem, zwierzyną. Schody wykładane purpurowemi dywanami prowadziły do zacisznych pokoi.

— Salon gry? — szepnęła jakaś dziewczyna w balowej sukni, wskazując na górę.

— Gabinety? — zapytywał uśmiechając się, uszmiłkowany piętnastoletni chłopiec w liberji strzelca, tak opięty, że wyglądał jak nagi.

— Kąpiele? — pytał drugi, wskazując inne schody, które u góry, w szarym cieniu, ginęły jakgdyby w grocie.

Czyżby tu był cały zamek rozpusty zbudowany? Ukryty w objęciach przyzwoitych niemieckich zimnych i solidnych domów? Niewidzialn z ulicy, bez okien, niemożliwy do odkrycia?

Abel Adler przebiegł śpiesznie ten przedsiónek. Musiał narzucić czerwone cygańskie ubranie. Pomi-

mo, że przychodził tu codziennie, noc po nocy: — zawsze jednakowo podniecało go to powietrze ja-skini. Wiedział zawsze co go oczekuje, co zmęczy jego oczy. Lecz namiętności ludzkie są ciągle nowe, z dnia na dzień.

Gdy wskoczył na estradę, publiczność uciszyła się, młodzieńcy, chłopcy i nieliczne na sali kobiety. Bez jego skrzypiec, orgja była jak bez duszy. Dopiero jego smyczek ożywił sztraszliwie rozpustę, dawał upojeniu posmak demonizmu, wyczerpanym nadużyciem — nowe siły. Byli trzej skrzypkowie, fortepian i saxofon. Czasami mieli flet, który dźwięczał, jak pierwsza niewyjaśniona namiętność dziewczęca, lub bas, który jęczał jak bezsilny człowiek. Grali od dwunastej do szóstej, siódmej. Bywali milionerzy dolarowi, którzy wytrzymywali do południa. Pianista zasypiał, flet staczał się z estrady. Lecz Abel wytrzymywał. Dźwięk jego strun działał na nerwy, pobudzał, był jak zastrzyk na zwątlone siły. Deszcz dolarów, koron i franków spadał mu do stóp. Zgarniał je bez uśmiechu, sztywno, z gorejącymi oczyma w coraz bledszej twarzy.

Często widywał znajome twarze przy stolikach. Na środku, w wolnem miejscu było zgrupowanych około pięćdziesiąt stolików z głębokimi wygodnymi fotelami. Ściany pomiędzy szerokimi lustrami były purpurowe, światło padało z niewidocznych źródeł, wprost z sufitu. Zasłony z czarnego aksamitu ze złotymi arabeskami prowadziły żądnych wrażeń do sąsiednich sal. Kelnerzy wyfraczeni bez zarzutu. Są wśród nich hrabowie, pisarze, oficerowie. Pianista był przyjacielem cara, kopalnia na Uralu, lasy pod Moskwą były kiedyś jego własnością. Zarządzający był fligeladjutantem, w pudełku od cy-

gar przechowywał w domu żelazne krzyże, pour la merite, odznakę księcia. Amerykański bankier finansował to przedsiębiorstwo. Zbogacił się na tej jaskini powtórnie. Błoto zamieniało się w niej na złoto, sprośność na perły, bezpłodna rozpusta rodziła akcje.

Abel odkrył dzisiaj, w tę straszliwie mroźną noc, przy jednym ze stolików twarz, która była krwawo zapisana w jego młodości. Karol Ehrsam siedział tam z dwoma panami — wszyscy ubrani z najwyższą elegancją, którą wypluwała nędza epoki. Jedwabiem podbite żakiety, chryzantemy w klapach, złote branzoletki, perły na palcach. Błyszczące włosy gładko zczesane na wygolone karki, otłuszczone od zjadanych pulard, kacząt i kremów. Duże nogi w jedwabiu i lakierkach, brylantami wysadzone branzoletki na kostkach nóg przeświecały poprzez cienkie skarpetki. Zapach szmuglowanych perfum. Na stole truskawki i brzoskwinie do szampana, który postawiono na lód. Francuskie likiery najprzedniejszych gatunków. Kelnerzy nieustannie przynosili najwyszukańsze potrawy — kawior, ostrygi, węgorze, gęsie wątróbki, paszтет zajęczy, ryby w majonezie, łososie, forele, wędzone mięsiwa; potem na kryształowych wazach winogrona, pomarańcze, migdały, orzechy, ananasy, banany, wielkie ilości kremów.

Tam siedział Karol Ehrsam z Oskretschem, ten, który kiedyś przywiązał małego żyda do krzyża...

Obaj poznali się jednocześnie. Z jasnym okrzykiem zerwał się Ehrsam, by przywitać grajka w czerwonej marynarce po bratersku, tak jak uspasabia szampan — gdy nadeszły tancerki.

Nie miały na sobie nic prócz tego, co im Stwórca dał. W pudrowanej nagości tańczyły, odgrywa-

ły sceny, smagały się biczami, w pozornym bólu uśmiechały się zachwycone, śmiały się głośno w ropasanem podnieceniu. Zblazowani kelnerzy opierali się zmęczeni o ściany, muzykanci grali, nie patrząc nawet na tancerki. Przy bufecie rozmawiały półgłosem dwie blondynki, jakgdyby pośrodku sali nie odbywało się coś obrzydliwego. Najokropniejsze bezceństwo, regularnie powtarzane — staje się czemś codziennem, banalnością, bezsenssem i próżnią.

Karol Ehrsam zapomniał o skrzypku. Widział tę scenę po raz pierwszy, to piekło zwyciężonego, chciwego pieniędzy, głodującego i zrozpaczonego narodu. Jedną z nagich dziewcząt zwabił do siebie, pokazując jej garść banknotów dolarowych. Usiadła mu na kolanach i wyciągnęła nogi na stole pośród kielichów szampana. Nie był to jeszcze koniec. Wszystkie światła pogasty i rozpoczęła się ogólna orgja...

Abel grał. Teraz już tylko sam jeden. Zajaśniało światło jak letni dzień w polu: szedł zapach kwitnących bagien, stojących wód. Czy zewnątrz był już dzień? Czy istniało słońce? Czy byli ludzie niewiedzący, posiadający sumienie?

Karol Ehrsam zatoczył się do estrady, usiadł tam i wytrząsnął z kieszeni pieniądze, rzucając je do nóg Abła.

— Masz, ja płacę, żydku. Nie gniewasz się już, co? Ale ciebie poznam nawet w piekle. Ja nie zapomnę. Jak tyś tam na krzyżu wisiał... Potem, o ja pamiętam, przestraszyłem się, przyszedłem do ciebie, by przeprosić. Tacy ci żydzi. Lubię ich. Robię z nimi interesy. Bez żydów — czyż nie byłbym dzisiaj w „piekle”?

Roześmiał się głośno z podwójnego znaczenia swoich słów. Abel grał po przez niego. Tam siedział żyd trzeźwy pośród pijanych, tam znów młody człowiek uwiedziony przez młodą kobietę. Chłopcy ze wschodu, nieprzytomni od posiadania olbrzymich pieniędzy, pędzeni przez swą gorącą krew, patrzyli zdumionemi oczyma, podnieceni, gorączkujący. Ale obok żyda biały brat, bracia z różnych krajów, rozmawiający różnemi językami, blondyni — dziesięciu na jednego bruneta. Abel spojrział na Karola Ehrensa, któremu jedna z nierządnic ściągała jedwabną skarpetkę, by zdjąć branzoletkę, którą jej podarował.

— Nie, ty nie jesteś żydem!

I pośród całego tego bezwstydu bezbożnego świata radowało się jego serce.

Dniało już. Wstawał szary mglisty ranek. Skrzypek szedł zmęczony przez ulice. Samochody pędziły poprzez miasto do wielkich hoteli. Portjerzy musieli swych tłustych gości wyciągać i prawie śpiących sadzać do windy. Lud był już przy pracy. Bezrobotni rozpoczynali żebranię. Znajdowano trupów — codziennych dziesięciu samobójców, dwóch - trzech zamordowanych. Głodne, wynędzniałe dzieci wlokły się do szkół. Szkielety końskie ciągnęły dorożki, w których zasypiali rozpustnicy.

Abel nie mógł jeszcze pójść do domu. Były dwie rodziny na Potsdamerstrasse, które żyły z pieniędzy „Czerwonego Piekła“. Abel zanosił tam swoje dolary. Zeszedł do suteryny na Kurfürstenstrasse i położył franki szwajcarskie na pustym stole. W korytarzu w przechodzącej pani, w spojrzeniu starszego pana dojrzał głód i tak pełne miłości były jego słowa i gesty, że ci — wczoraj jeszcze bogaci — umieli bez cienia wstydu brać od niego. Z jego twarzy promieniowała dobroć: tych których on nie odnajdywał, sami przychodzili do niego. Często po twarzy spływały tylko łzy. O, błogostawione „Czerwone Piekło“! Ono osuszało łzy i układało drżące wargi do uśmiechu.

Abel mieszkał w górze na Prenzlauerallee. Nie

mógł mieszkać u rodziców. W domu na Hirtenstrasse, gdzie mieszkali wciąż jeszcze, było zawsze pełno ludzi. Codziennie wprowadzał się uciekinier lub wypędzony ze swej ojczyzny w to dziś jeszcze pewne ghetto. Wszyscy przyjmowali wszystkich. Pokoje były przepełnione śpiącymi, pod kuchnią wiecznie palił się ogień. Domy zapełnione były dusznym zapachem ludzi i potraw.

Sklep na Münzstrasse stary Adler odprzedał. Zapytał o to przedtem syna i Abel, śmiejąc się z ojcowskich planów, obojętny na to, co posiadał, napisał z Paryża, że się na wszystko zgadza. Teraz więc w dużym kufierku pod łóżkiem Gerszona leżały akcje, obligacje, papiery procentowe i z dnia na dzień traciły na wartości. Po pewnym czasie to, co miało stanowić zabezpieczenie, pewność i spokój — było niczem. Wraz ze sklepem sprzedano również meble, obrazy, porcelanę, nawet książki, a Gerszon i Mirjam oszołomieni olbrzymimi sumami, jakie uzyskali od kupujących cudzoziemców, paskarzy, giełdźarzy za te „graty“ — byli przekonani, że zrobili świetny interes i skwapliwie zapełniali skrzynki stosami banknotów. Ale po ośmiu dniach wszystko to miało połowę wartości. Gerszon przestraszony szybkim tempem czasu, całkowitą zmianą okoliczności, stracił zaufanie nawet do najbliższych. Nie posłuchał rady przyjaciół i ulokował pieniądze według starych zwyczajów, a gdy już było zapóźno, począł i on, jak inni, handlować walutą zagraniczną na Grenadierstrasse, zbierać dolary i robić różne interesy. Srebro, blacha, nawet stare żelazo miało większą wartość niż te pieniądze. Teraz życzyłby sobie mieć sklep, który sprzedał, dywany, także szafy. Gdy Abel wrócił z Pary-

ża — był biednym. Ojciec zamienił majątek syna na bezwartościowe papiery. Stary Gerszon płakał, bił się w piersi, w ciągu tych sześciu lat zmienił się w starca.

Miriam przycisnęła swe dziecko mocno do serca: bardzo postarzała, lecz wciąż jeszcze poprzez jej zatroskaną twarz przeziierała dziewczęca prostota. Z pod peruki przeświecało jej spokojne gładkie czoło — źródło czystych myśli. Jej spojrzenie prosiło o przebaczenie za nieumiejętność ojca.

— Idź do niego — szepnęła — pociesz go, moje życie. On nie może znaleźć spokoju z powodu krzywdy, jaką ci wyrządził.

Abel wszedł do ojca i uśmiechając się — uściśnął starca.

Potem poszedł na Prenzlauerallee do domu, w którym mieszkało czterdzieści osiem rodzin. Już w budynku frontowym tulila się nędza. Córki wychodziły na ulicę, lecz nie zarabiałały, gdyż za dużo kobiet handlowało tu swoim ciałem. Dzieci kradły węgiel, drzewo i co się tylko dało. Były wygłodniałe i sine z zimna. Czekolada wydawała im się przysmakiem z krainy bajki, pomarańczy nie widziały jeszcze w swem życiu, a o smaku mięsa i jaj słyszały tylko w opowiadaniach.

Tam mieszkał w małym pokoiku ogrzewanym torfem, gdzie pachniało kapustą z poddasza, gdzie ukrywali się na noc bezdomni starcy; w piwnicach umierała młoda dziewczyna, chora na gruźlicę, a jej matka przez cały dzień śpiewała, wplatając sobie we włosy resztki wstążek; obok nocowali bezrobotni młodzieniaszkowie.

Abel znał nędzę oficyn i piwnic ale nigdy nie była ona tak straszną jak teraz, podczas wojny. W Paryżu była nędza opromieniona uśmiechem południa, kraj dawał obficie owoce, wino, mleko i ziarno. A tu na północy było ciężiej przez to wieczne szare światło, przez mróz i burze i ciągle deszcze. Niebo samo wciąż ołowiane i groźne powiększało grozę i pozbawiało nadziei. Ulice smutno spoglądały w dal. Było to miasto bez radości. A ta radość, którą dziś jeszcze dawało — w nocy, w tajemnicy — była boleśnieszka i bardziej beznadziejna niż sam ból.

Abel pomagał. Nietylko oddawał wszystko co zarabiał; zamiatał bezsilnej staruszce pokój, obierał ślepcowi kartofle, przyjmował do swego ciepłego pokoiku dzieci, których matka szła do prania. Ochraniał psa i kota przed śmiertelnem uderzeniem. Ale wiedział: poto, by wpadły w ręce innym. Wiedział jak mało znaczy pomoc. W tym domu zaspakajał ból i uśmierzał głód, lecz naprzeciwko ktoś się powiesił na ramie okiennej, obok matka zamordowała swe głodne dzieci, a potem zeskoczyła na cuchnące podwórze, a na każdym rogu ulicy żebrał lub oddawał się występkiwi człowiek. Było lato, gdy wrócił do domu, lato dwudziestego pierwszego roku. Poszedł do Kacpra Zaremby.

— Graj — powiedział mistrz siadając na okno. Zgasił światło. Abel grał w ciemnościach. Opadł mu smyczek, powiedział:

— Drogi mistrzu, gdybyś wziął bat...

Nie mógł grać więcej. Była to muzyka pierwszego skrzypka, słodka, rozdierająca, szlochająca — dla nierządnic, dla sentymentalnych paskarzy,

dla małych dziewczynek, dla zniewieściałych chłopców, dla wyrzutków, których umęczona ziemia z siebie wypluwa.

Zaremba siedział bez ruchu. Nie kiwnął nawet ani razu głową. Nie pozostało już nic do wydobywania biczem z Abła Adlera.

Wtedy wykrzyknął skrzypek tracąc równowagę :

— Pocóż muzyka ma dźwięczeń w duszy, jeśli nędza ją wyzarła ? Jestem wypełniony tym światem, niema we mnie miejsca na piękno i szczęście.

— Podejź tu — rzekł Zaremba poraz pierwszy głosem łagodnym, posadził go obok siebie na podłodze i ujął jego zimną twarz w swe żywe ciepłe ręce.

— Cicho chłopcze, niema miejsca na piękno i szczęście... ty jesteś żywym sercem. O, bądź zadowolony, że nie zastygło ono w sztuce. Spójrz na nas: Bussoni jest jak rządzące bóstwo, D'Albert jak wściekły demon, Kreisler ma ton anioła. Ale czy oni żyją ? Czy nie są oni zamurowani w tej muzyce ? Wszystko zmienia się u nich w muzykę. A ty — twoja muzyka jest życiem. Tyś wybrał te lepszą cześć. Czegoż chcesz ? Graj ludziom tak miękko, by topniały im serca, wyciskaj łzy z oczu paskarzy i spekulantów, wstyd z prostytutek, żal z defraudantów ! My, my wszystko spóźniamy. Sztuka jestto najsurowsze ghetto. Idź, ty jesteś bardzo szczęśliwy.

— Nie wiem mistrzu, nie widzę drogi przed sobą. Dokąd pójść, jaki cel ?

— Gdybyś wiedział — życie byłoby puste, a każdy dzień zbytecznym. A czyż teraz każde jutro nie jest prawdziwą tajemnicą ?

— Tajemnicą? — tak. Ale niepokojącą i męczącą. Wolałbym być jednym z tych, którym pomagają, niż tym, który próbuje pomagać.

— Teskniłbyś zawsze za czymś nieodpowiadającym naszemu położeniu.

— Czy nie mogą być ludzie, dla których nie istnieje nic niestosownego?

Zaremba przycisnął go do siebie.

— Tak, mogą być i tacy. Ale ty jesteś żydem...

— To znaczy...

— Chłopcze dajmy pokój. To niema kresu. O żydach nie będziemy mówić. To jest niewyczerpane. Ale żyd, który chce szczęścia... śmieję się, widzisz? Urodzony dla smutku, w niepewności i bezdomności... no, uciekaj, drogie dziecko. To jest dopust. Jesteś żydem...

Tak, gdy tylko przestąpił granicę Niemiec, był znowu żydem...

Skrzypce przydawały się tylko teraz do kawiarni. Grał na stalowych strunach i ludzie stawali na ulicach, gdyż słodkie melodje przecinały ściany i okna i boleśnie trafiały w ich serca. Kokoty przybiegały, by usłyszeć grającego cygana, jego imię biło w oczy na świetlnych reklamach. Żony spekulantów wojennych, które kupowały sobie dwunastopokojowe mieszkania na Kurfürstendamm, wille i pałacyki w Wansee i Grunewaldzie angażowały go na wieczory towarzyskie. Kobiety narzucały się skrzypkowi, którego twarz od poznania nędzy miała blask anioła. Mężczyźni pisali do niego listy z propozycjami, ofiarowywali apartamenty, auta, rentę — jak kobiecie. Miljonerzy ze Skandynawji, Ameryki, Hiszpanji, Holandji proponowali mu upro-

wadzenie, nową ojczyznę po tamtej stronie granicy,
lub za oceanem

Dwadzieścia jeden lat — miał Abel już za sobą szaf krwi. Był jak gdyby głuchy na te głosy. Jego uczucia i myśli były do osiągnięcia dopiero na większej głębi.

Zaczął uczęszczać na wykłady uniwersyteckie. Lecz odczyty o gospodarce ludowej nic mu nie mówiły o ludźle. Były to abstrakcje i wyobrażenia, nie mające nic wspólnego z rzeczywistością, nie do zastosowania, duchowa spekulacja. Wcisnął się do klinik medycznych, znajomi wzięli go ze sobą do sal anatomicznych, operacyjnych, do poczekalni poliklinicznych, do sal szpitalnych. Stał tam cichy, zapatrzony w otwarte ludzkie cierpienia, w nieuleczalne ludzkie troski, w rzeczywistość bólu. Planował rozpocząć naukę na nowo, zdawać egzaminy, studjować. Być lekarzem — zdawało mu się najlepszą drogą ku ludzkości. Zaczął pracować, zmniejszył ilość snu rano o dwie godziny. I upadł pod brzemieniem postawionych sobie zadań.

Jego gospodyni miała na Wiesenstrasse siostrę, u której mieszkał jakiś lekarz. Sprowadziła go. Był to Borys Steinberg z Zurüchu. Przyjaciele padli sobie w objęcia.

— Postaw mnie jaknajprędzej na nogi — powiedział Abel. — Stracę moje zarobki. A gdy zbiednieję — będzie głodowało jeszcze wielu.

Borys Steinberg przedewszystkiem odrzucił na bok książki. Zabronił uczęszczania na uniwersytet, nauki. Wychodził z przyjacielem na samotne przechadzki przez smutne pola. Drogi z Berlina prowadziły przez opustoszały krajobraz. Las był pozbawiony duszy, pola miały nikłe plony, drzewa cierp-

ie owoce. Dym z miasta przyćmiewał blask gwiazd i czynił księżyc krwawą czerwoną kulą. Spiekota letnia ciążyła nad wsiami, pozbawionemi bydła. W niedzielę czuło się pot, spływający z tancerzy we wszystkich szynkach podmiejskich.

Borys Steinberg mieszkał na Wiesenstrasse, w pobliżu rzeczki Panke, która bezszelestnie płynęła, ginąc w nagle między domami. Tam było jeszcze miasto, lecz już zaczynało się przedmieście. Jak początek Alp nasuwa myśl o wysokich górach, tak ta dzielnica już zapowiadała ogrom miasta. Każda dzielnica Berlina ma swoje oblicze i ludzie różnych dzielnic są jakgdyby ludźmi innej rasy.

U teź gospodyni odnajmował pokój jakiś nauczyciel. Spał na sofce, jego młoda żona na łóżku. Uczył w szkole ludowej na Parkstrasse. Gdy Abel odwiedził Borysa Steinberga, odkrył w tym nauczycielu Seweryna Gurassę, swego starego przyjaciela.

Seweryn ożenił się z żydówką. Przyjechał do Berlina, lecz poczuł się źle w gronie tutejszych kolegów. Panowała tu ciasnota pojęć, większa niż w małym miasteczku, zawiść i współzawodnictwo, które były najmniej odpowiedniami uczuciami dla wychowawców młodzieży.

Podczas pauz w pokoju nauczycielskim panowała taka atmosfera, że można się było udusić. Chciał wejść w świat, w atmosferę wielkiego miasta, lecz odkrył, że te mury zwięzały tylko horyzont. Tu, doład odgłos natury nie dochodził wcale—było życie jeszcze bardziej gorzkie i bezplodne. A Berlin żadał kultury a nie człowieka. W związku z rozwojem kultury malał człowiek. Kosztem ducha — rozwijała się technika, co zdobywał przemysł — traciło serce.

Szczególnie stare zwiędłe panny w nauczycielskim kolegium były stworzeniami zawistnymi i o ubogiem sercu. Pewnego dnia opowiadała panna Hegewaldt, że wracając z teatru, była nagabywana przez roje mężczyzn. Nikt jej nie wierzył. Koleżanki uśmiechały się złośliwie, koledzy kiwali głowami. Wtedy panna Hegewaldt, patrząc na Joannę Mendel, jedyną żydówkę w szkole, powiedziała, że ci, którzy ją obrazili i zaczepiali byli to żydzi. Wszak oni teraz rządzą w Niemczech! Żydzi doprowadzili wojnę do tego smutnego rozwiązania, żydzi, których dziełem był ten upokorzący traktat wersalski, żydzi, — współzycie z którymi znamionuje słabość i bezsilność niemieckiej ludności.

Wówczas przyskoczył do niej Gurassa i powiedział twardo :

— Gdyby pani była mężczyzną, dostałaby pani jedyną odpowiedź, która może być zastosowana w tym wypadku : uderzenie w twarz. Wstydem i nieszczęściem niemieckiego narodu, zdaniem moim, jest to, że kobiety tego rodzaju, co pani wychowują dzieci dla przyszłości.

Joanna Mendel — nie zauważył jej prawie do tej pory — położyła mu swą wąską rękę na ramieniu.

— Myślę — powiedziała — że koleżanka nie myślała tak źle. Uogólnia tylko w podnieceniu jeden przypadek.

— Wypraszam sobie pani wstawienictwo, panno Mendel — zawołała Hegewaldt.— Teraz chcę mnie pani zawstydzić żydowską szlachetnością ! Zawiadomię rektora i władze, jakie stanowisko zajął pan Gurassa.

Seweryn Gurassa pisywał do różnych gazet ludowych. Władze bardzo się z nim liczyły, przeniesiono zatem Hegwaldt do bardziej rasowo-czystej szkoły. Później dowiedziano się, że matka jej była żydówką

— Tak — powiedział Gurassa do Joanny Mendel — żaden antysemita nie jest tak bez serca jak żyd sam, gdy powstaje przeciw swemu narodowi. Biada, jeśli własne dziecko zwraca się przeciw ojcu, biada ci, ojcze !

Tego dnia zakwitła w sercu nauczyciela miłość ku cichej żydówce. Ożenił się z samotną dziewczyną; udzielała ona lekcji wśród zbogaconych sklepiarzy i rzeźników, którzy chcieli wykształcić swe dzieci. Była ona wprawdzie żydówką, lecz jej aryjski mąż pokrywał tę wadę. Żyli skromnie i gdzie tylko mogli — wspomagali innych. Najbiedniejsi w klasie: trzy dziewczynki i chłopiec jadali u nich. Joanna gotowała jednocześnie i dla doktora Steinberga, miała więc odrazu dużą rodzinę. Lecz promieniowało z niej takie zadowolenie i szczęśliwość, że najsłabsze jadło wydawało się najwyszukańszą potrawą.

W jej ciasnym pokoju siedzieli we czworo razem, po obiedzie, gdy zabawa wyciągała dzieci nad rzeczkę i gdy wychodził ostatni pacjent Borysa.

— Cóż wie się tutaj o żydach ? — mówił doktor. — Tylko żyd pośród wszystkich innych narodów jest uduchowiony aż do szaleństwa, jest pogrążony w nauce aż do zapomnienia o wszystkich namiętnościach świata. Trzeba zobaczyć żyda na wschodzie, gdy zatopiony w Talmud studjuje jego tajemnice, śpiewając na chwałę Bogu. Lub gdy w gronie uczonych braci zastanawia się nad różnymi przejawami życia. Tam szlachectwo jest mierzone według posia-

danej wiedzy. Najuczeńszy — jest największym arystokratą. Powiedzcie mi, gdzie jest jeszcze jeden naród, który tak wysoko ceni ducha?

—Lecz czyż nie jesteśmy dlatego obcy życiu?— zawołał Abel Adler. — Nawróceni dla świata żydzi nie są więcej żydami. Czyż Rathenau jest żydem? Tylko jeszcze w sercu, w namiętności ducha. Lecz żydowskim człowiekiem już nie. Prawdziwy żyd jest apolityczny. Pchają go do zajmowania stanowisk i placówek, które mu nie odpowiadają.

—Gdyby nas zostawiono w spokoju—powiedziała Joanna ze zwykłym spokojem — bylibyśmy najbezpieczniejszym sąsiadem dla wszystkich narodów bez najmniejszej chęci wpływów, lecz oni nas męczą, drażnią i popychają, więc musimy się bronić i zabierać głos tam, gdzie najchętniej bylibyśmy milczeli niewidoczni.

— Kocham żydów — rzekł Gurassa, który już był posiwiiał i dopiero teraz, od współżycia z Joanną Mendel, znów odzyskał radość i blask w oczach — lecz nie mogę ich rozgrzeszyć. Żyd wyrodnieje. Jak żaden inny naród, jest żydostwo związane z religią. A nowoczesny żyd jest bez religji. Posiada glebę i nie uprawia jej. Kiedyś modlili się żydzi, studjowali Talmud i pozostawili Bogu sprawowanie rządów nad światem. I Bóg opiekował się swym wiernym ludem. Lecz dziś chcą się sami troszczyć o wszystko, zostawili naukę na uboczu, chcą być ludźmi z Zachodu, mają światowe ambicje. Dokąd to prowadzi? Natręci są bici! A ci najmłodszy? Chcą uciec do Sjonu... Możliwie, że to jest największem tchórzostwem — ogólne rozprężenie. Żyd żyje dziś tylko odpornością. Czy tam, sam na sam ze sobą, nie będzie niszczył siebie samego? Żyd w ojczyźnie, któ-

ra sam sobie obrał i z którą się asymiluje, zdaje mi się większym i bardziej podziwu godnym.

— Sewerynie — łagodnie powiedziała Joanna — nic nie wydaje mi się bardziej godnem uwielbienia, jak ten nawrót żydów ku swej nowej i starej zarazem ojczyźnie. Oni są wśród całej ludzkości ostatnimi męczennikami ideału. Chrystus, czyż nie jest wybuchem mistycznym duszy żydowskiej? Chrystus narodził się z Talmudu.

— Męczennikami ideału! Będą więc umierać za niego. Masz rację — nic bardziej wspaniałego jak: służyć ideałowi. Lecz go urzeczywistnić, stworzyć czyn, znaczy już go unicestwić. Unicestwienie ideału i idealisty. Nadzieja na Sjon powinna być zawsze nieziszczalną. Palestyna jest usunięciem żydów ze świata. Teraz, gdy żyd krwią zdobył sobie prawo ojczyzny w Europie — ma je lekkomyślnie oddać gospodarzom? W swej ciasnej ojczyźnie, tam w Palestynie, żydzi mogą się udusić.

Dysputowali. Lecz Abel musiał iść do swej kawiarni, Borys do pacjentów, Gurassa miał zasiąść do pisania swych artykułów, a Joanna szła ubranka dla dzieci sąsiadów.

Abel pogrążył się w tłum robotników. Gdy wsiadał do podziemnej kolei, ogarniała go masa robotnicza ze swym straszliwym zapachem, którego się jednak nie brzydził. Od dziecka do starca byli mu wszyscy bliscy. Lecz straszliwem było uczucie: nie należę do nich... Jechał do swej kawiarni, do podziemnej jaskini, gdzie błyszczały światła, gdzie deptano pieniądze; stał tam na oświetlonem podjum w obłokach perfum, wina i kwiatów. I choć to samo czynił co jego bracia, tam w głębi: pracował, zdobywał pieniądze— dla nich, ci sami bracia: gdyby wie-

dzieli, jak je zdobywał, wyrzuciliby go, tego brata z góry. Był z innego świata.

Cierpiał, gdy siedział w tej robotniczej kolei, we fraku pod płaszczem o białych rękach skrzyпка, podczas gdy oni poranione, krwawiące ręce, nigdy nie dość czyste zdawali się ku niemu wyciągać i grozić mu. Porywało go pragnienie być takim jak oni, zdawało mu się, że tchórzliwie odszedł od nich. Bo jeśli się nawet tylko służy dla zbytku — należy się do niego. Czuł się samotny, marzył. Gdyby był jednym z nich — czułby się szczęśliwym.

I latem w dwudziestym drugim roku wstąpił jako robotnik do fabryki chemicznej, gdzie swemi białemi rękoma napełniał trucizną ampułki, gdzie od wpół do ósmej do czwartej biegał od piwnic aż pod dach, popełniał rozmaite błędy, za które otrzymywał nagane, starał się tych błędów unikać—wreszcie znużony, nawpół żywy — lecz razem z całą masą robotniczą opuszczał fabrykę i biegł na Kurfürstendamm, by tam drżącemi rękoma brać do ręki smyczek i grać shimmy, romanse i tanga.

Wiedział, że to długo trwać nie mogło, kiedyż będzie spał?

— Nie będę więcej grał! — zawołał. -- Tylko pracował. Będę robotnikiem!

— A twoi biedacy? — zapytał Borys. — Czy ty wiesz czego chcesz? Do czego dążysz? Nie będziesz nigdy zadowolony. Znajdź samego siebie.

— Jak? Gdzie? — pytał Abel w rozpaczy.

— Otóż to jest braciszku! Jak możesz się odnaleźć. Jesteś dzisiejszym żydem. Talmud zaginął, a nowych przystani nam brak. Nie należymy więcej do samych siebie, należymy do ogólnego rozwoju. A dokąd on prowadzi?... Jesteś ogarnięty

ostatnią manją : zbrataniem ludzkości. Wole wam lepiej przepisać opium : da niewątpliwie pozytywnejsze wyniki. Człowiek jest dziś osamotniony. Jest tylko jeden punkt wspólnoty: połączenie płciowe. Ten moment twórczej radości zna nawet najbardziej wynaturzony. Ten, kto posiada najmniej ducha i mocy — szuka go najczęściej. I jest dla większości jedynym sensem życia. Doświadczają, nie wiedząc nawet dobrze co znaczy „życie“ !

— A więc cóż pozostaje nam z życia ? Filozofia i rozpusta. — Lecz „życie“ leży pośrodku.

— A jeśli trzeba wybierać : sympatyczniejszym jest mi filozofowanie

— Lecz ty mi nic nie wyjaśniłeś. Mówisz tylko: żyd. Cóż to oznacza ?

— To nie oznacza nic a mówi wszystko. Oto jedyna odpowiedź. Rozproszenie — żyd. Bezradność — żyd. Interes oparty na uczuciu — żyd.

Abel Adler zaprzestał grania w „Czerwonym Piekło“, był upartym w swym szaleństwie. Wbrował się w proletarijat. Chodził z kolegami na bolszewickie zebrania, z innymi na zebrania agitacyjne innych partji. Pozwalał się zabierać na dyskusje narodowe, pełne kłamstw, podłości i podstępów — często kończące się bójkami. Opuszczał wieczory swych występów w jaskini i wreszcie pewnego dnia został zwolniony.

Mirjam widywała swego syna bardzo rzadko. Teraz przychodził owiązany szalikiem zamiast krawata, czuć go było kwasami, miał czerwone zgrubiałe ręce i obrosniętą twarz. Na rogu stała dziewczyna fabryczna i czekała na niego — nie miał nigdy dość czasu.

— Kindele — mówiła matka, głos jej załamywał się od ukrywanych łez. — Abele ukochany, co porabiasz? Czy jesteś szczęśliwy? Twój przyjaciel Steinberg uspakajał mnie, gdy był u ojca podczas ataku. Ty litujesz się nad ludźmi, moje błogosławione dziecko. Lecz czy wiesz o tem, że litość obraża? Czekaj, aż do ciebie przyjdą i wtedy dawaj. Inaczej przyjdą pewnego dnia — ty nie znasz ludzi — i obrzuca cię kamieniami, gdy ty im będziesz chleb dawał.

— Mamuśka, ja wierzę w człowieka. Każdy jest takim, jakim go chcemy widzieć. Waż, którego grzeję na piersi, nie może mnie ukąsić! A zwierzę jest dlatego dzikie, że nie chcemy mu dać ojczyzny pośród nas.

— Mówisz, jak magid, moje dziecko. Błogosławieństwo na twą głowę. Co mówi Mosze Rabejni...

— Zostaw go — powiedział Gerszon Adler. — Sto lat zdrowia, mój synu. Kto spełnia jakąś miłość — tego Bóg ochrania. A oni nie podniosą żadnego kamienia przeciw Niemu.

Rubin Gerechter stanął w drzwiach. Był on jedynym dentystą w tej dzielnicy, jak długa i szeroka. Nie było tu dużo do zarobienia. Nikt nie siadał na krzesło, póki go do tego nie zmuszał ból nie do zniesienia. W domu szumią jedwabiami, obwieszają się złotem, mają pieczone gąski na stole, tłuste ryby, skwarki, ciasta. Lecz gdy idą do lekarza, ubierają się w łachmany, wyrzekając na złe czasy, czuć ich czosnkiem i płaczą nad głową.

Rubin Gerechter śmiał się ze swych klientów. Kochał braci ze Wschodu. Kochał także biednych. Ściągał z ulicy chorych na zęby i leczył ich darmo,

nawet bez podziękii. Proletariat nie, miał dla niego rasy ani religii. Słuchał jak jakiś furman przeklinał żydów, a tymczasem oglądał jego zęby.

— Chodź pan ze mną — mówił — doprowadzę panu zęby do porządku. Nic nie będzie kosztować, jeśli pan niema pieniędzy.

Tacy zaprzestawali zapewne wymyślać żydom, lecz tem więcej gromadziło się w nich niewypowiedzianej nienawiści

Wszedł do Adlerów przywitać się z Ablem.

— Cóż mamy robić? — powiedział. — Urodziłem się z największym grzechem: jako żydzi.

— Pan nasz ukrywa się wśród chmur — powiedziała matka i przycisnęła syna do siebie.

— Moja pani Adler, nam wiedzie się tak, jak staremu koniowi, którego właściciel prowadzi do hycła. Bije go jeszcze po drodze, by prędzej biegł na rzeź.

— Przestań pan opowiadać podobne historie, panie Gerechter. Wiemy już o tem, że radości świata są nie dla nas. Pocóż pan nam jeszcze to mówi!

— Ale nasze radości, mamele, są u Wszechmogącego Boga — powiedział Gerszon.

Abel Adler spostrzegł się prędko, że jego przynależność do ludu była tylko zewnętrzną — że był zaledwie znoszony, lecz nie przyjęty.

Podczas przerwy obiadowej na zakurczonym, gorącym podwórzu rozpoczęła się głośna rozmowa o polityce. Jeden z towarzyszy powołał na świadka swoich twierdzeń partyjnych Abła Adlera. Ale drugi, z którym Abel często chodził na zebrania konspiracyjne, również uważał, że podziela on jego przekonania. Byli to dwaj przeciwnicy i stali w swych poglądach na odmiennych stanowiskach.

— Człowieku — rzekł jeden ze starszych robotników dobroduszenie — powiedz wreszcie, jakie masz przekonania. Czem właściwie jesteś ?

Wtem odezwał się głos jednej z robotnic :

— Zmiłujcie się, czyście powarjowali? Przecież to jest żyd !.

Rozległ się ochryply śmiech kilku mężczyzn. Potem wszyscy zamilkli i młody Abel stał pośród nich w całym wstydzie i hańbie swego żydostwa.

I jeśli nawet czuł się wybrańcem — czy nie była to tylko ucieczka banity ? Ratunek banity w opuszczeniu pośród ludzkości; był żydem — i dzieci wskazywały nań palcami; był żydem — i oddech nienawiści zatruwał jego życie...

Ta, która się odezwała — była Frieda Wohlfahrt, chore stworzenie; kilkakrotnie już zaofiarowała się temuż żydowi, lecz bez skutku. Abel całował już wtedy Lottę Zimmermann, stenotypistkę

dyrektora magazynów, która rozpoczęła swą karierę od pakierki. Z ambicją prawdziwej berlińska, która jednakowo umie się oddać pracy jak miłości, uczyła się przez całe wieczory po żmudnym dniu pracy angielskiego, hiszpańskiego, stenografii. Uczęszczała na wykłady w wyższej szkole Lessinga, w niedziele odwiedzała muzea. Mieszkała u matki, która zarabiała szyciem i pielęgnowała sparaliżowanego ojca. Wystarczało zaledwie na skromny domowy byt. Abel był drugim mężczyzną Lotty; pierwszym był student; kochała wiedzę i żydów. Jej dusza nie była tak prostą, by nie odczuć uroku w oddaniu się człowiekowi innej rasy. Ale ponad ten urok — kochała swego małego mężczyznę, jak pełna kobieta.

Ale zdarzyło się coś, co było jeszcze gorsze, niż rozmowa robotników. Przyszła zima. W kotłarni palił się olbrzymi piec, który dostarczał pary do wszystkich zabudowań fabrycznych. Pewnego dnia Abel ujrzał, jak w drzwiach kotłarni zniknęła Frieda Wohlfahrt z dwoma chłopcami, których nawet nie znał. Było to na krótko przed pauzą obiadową. Po chwili Abel, który rewidował skrzynie na dziedzińcu, usłyszał krzyki, dochodzące z kotłarni. Pobiegł tam i ujrzał w jednym z najgorętszych pomieszczeń, tuż przy otwartych drzwiczkach olbrzymiego pieca rzuconą dziewczynę w podartem ubraniu, bezwstydnie obnażoną i krzyczącą w niebogłosey, jakgdyby w ataku. Ukląkł przy niej, lecz nim zdążył dotknąć jej ręką, usłyszał za sobą tupot biegnących ludzi, krzyki i usłyszał głos jednego z nich :

— To on jest! Ten żyd! On ją zgwałcił!

Nie mogło być nic bardziej niezgrabnego, jak

ta pułapka. Ale natychmiast byli wszyscy — przyjaciel i wróg — przeciwko żydowi. Wyciągnięto go nazewnątrz i gdy tłum robotników odstąpił od niego, pozostał on na roztopionym śniegu, krwawiący od uderzeń podkutych butów w twarz i ręce. Hałas i krzyki w kotlarni były wszędzie słyszane, ale byli też tacy, którzy z okien widzieli przebieg całego zdarzenia; jak Frieda z chłopcami przekradała się do kotlarni, jak Abel tam wbiegł, a bezpośrednio potem, jak z procy wyskoczyli stamtąd obaj chłopcy i zwołali kolegów do zaświadczenia winy Abela w zgwałceniu dziewczyny.

Tak, byli tacy obserwatorzy, ale oni milczeli. Niema sprawiedliwości dla żyda. Jeśli on nawet nie popełnił przestępstwa — odpowiada ono jednak jego charakterowi. Niechaj cierpi za to, co mógł popełnić. Tylko Lotta Zimmermann przemówiła — ona także widziała. I jej świadectwo było uznane za prawdę. Po chwili cała sprawa wyjaśniła się i sama Frieda Wohlfahrt przyznała się :

— Tak, ja chciałam się zemścić. On mnie obraził. Zresztą to jest żyd !

Abel przyszedł do siebie w pokoju dyrektora. Uśmiechał się smutno. Odczuwał ból, lecz większy w sercu, niż od uderzeń i kopnięć. Nie istnieje — dla żyda — wspólnota. U obcych nigdy, tylko nienawiść i zazdrość. A u swoich — tam drżał każdy o siebie. Wspólnota słabych : jest to tylko spętana słabość ; wspólnota rozbitków : to przeciążenie ratunkowej łodzi, która tem pewniej pójdzie na dno.

Abel zatoczył się. Panowie właściciele fabryki byli skonsternowani i otoczyli go. Przyrzekano mu wszelką satysfakcję, nawet sądową skargę na win-

nych. Natychmiastowe usunięcie ich z fabryki. Ale sponiewierany rzekł :

— Ja odchodzę...

Czuł, że cała wina spoczywa na nim: był żydem... Odrzucał wszystkie propozycje i widział już uspokojone miny i uśpione sumienia. Gdy wyszedł, na twarzach bogatych panów ukazał się uśmiech ulgi i pogardy. Obecność żyda zabierała im powietrze, którego dużo potrzebowali dla swych otłuszczonych serc. Jeśli się z żydem nie robi interesów, przy których można dobrze zarobić, jeśli się nie korzysta z jego geniuszu handlowego — nie jest wart więcej jak kopnięcie, które otrzymuje. Trzeba go zupełnie rozgnieść — gdyby nie to, że był potrzebny. Nieszczęściem, wstydem i hańbą jest, że chrześcijańska religia nic niema wspólnego z religią Chrystusa.

Późnym wieczorem przyniósł chłopiec dla gorączkującego Abła list :

„Ukochany, muszę Ci powiedzieć: żegnaj. Jestem zbyt słaba, by to znieść. Życie samo jest tak ciężkie, że przejścia te są już ponad moje siły. Nigdy nie kochałam Cię mniej dlatego, że jesteś żydem. Ale jest niemożliwe, bym do Ciebie dłużej należała. Muszę zmienić posadę — nie mogę być tu dalej tolerowana, bom stanęła po Twojej stronie i wyznałam, że jestem Twoją. Czuję, jak podłą jestem. Lecz życie jest tak okropne! Nigdy nie pokocham innego — zawsze będę kochała tylko Ciebie, ale zdała. Przebacz mi. Pociesz się, żem Ciebie niegodna. Lotta“.

* * *

Abel Adler udzielał lekcji, lecz w północnej dzielnicy, gdzie mieszkał, nie można było dużo zarobić.

Nowobogaccy z frontowych mieszkań, posyłali swe dzieci do szkół w zachodniej dzielnicy, lub brali nauczycieli o znanych nazwiskach. Inni płacili bardzo mało i Abel musiał znów szukać pracy w fabrykach. Pisywał małe artykuły, które mu redakcje odsyłały z powrotem, bo były zbyt fantastyczne. Im dłużej żył wśród rzeczywistego życia, tem bardziej czuł się w niem obcym. Nigdzie nie mógł odnaleźć tego w co wierzył, — człowiek nie był dobry, wszelki czyn daremny, wierzenia — teorią. Szukał ludzi — odnajdywał chrześcijan. Zamiast ludzkości były narodowości. W każdym spojrzeniu czytał: proś grzecznie o przebaczenie, żeś żyd. Sprzedawano mu w sklepach, obsługiwano go w knajpach „choć” był żydem. Wszystko było łaską chrześcijańską; gruboskórny żyd nie raczył tego dostrzegać jak cierpliwie go znoszono. Nie uważano go więcej jak za gościa, każąc mu jednak ponosić wszelkie obowiązki i ciężary należące do obywatela; lecz był zaledwie tolerowany, natrętny pasożyt, który zamiast uzdrawiać — zatruwa. Komiczne nieporozumienie!

Abel marzył w swym pokoju. Był listopad Zapukano do drzwi, jakieś dziecko przyniosło mu kradziony z wozu węgiel. Nie mijał żadnego dziecka bez uśmiechu; nie były one przyzwyczajone do miłego słowa ani do kochających spojrzeń, lecz ich serca były jeszcze do zdobycia dobrocią. U tego dziecka, podczas gorączkowej choroby przesiadywał Abel całe noce robiąc mu okłady, tak że mu się rany na rękach porobiły i wyratował go matce. Ta przysłała mu teraz przez to samo dziecko trochę węgla. Bywają ludzie, którzy chcąc kogoś obdarzyć — muszą ukraść.

Lecz dziecko, siedmioletni, jasny, silny chłopak, podszedł do Abla i spytał go na poły drwiąco, na wpół ze strachem:

— Czy to prawda, że pan jest żydem? —

— Tak, Wernerze, to prawda. Jestem żydem.

— Och — zawołała dziecko, odsuwając się. — Będę musiał zabrać węgiel z powrotem, żydowi nie dam nic. Oni zabijają małe dzieci. —

— Czy to ci powiedziała matka, Wernerze?—

— Nie, matka przysłała mnie do pana. To mi opowiedział w szkole Emil od piekarza, i mówił jeszcze, że pan też jest jednym z nich.

To zdarzenie opowiedział Abel wieczorem przyjaciółom. Siedzieli wszyscy u Gurassy w małym ciepłym pokoju. Joanna pracowała szydełkiem, przygotowując wyprawkę dla dziecka, które się miało zjawić na wiosnę.

Borys Steinberg powiedział:

— Czyż można szanować żydów, gdy oni sami nie czynią tego? Wpierw muszą sami powiedzieć: chcemy znów zostać żydami. Wtedy będą uznani.

Joanna rzekła wolno:

— Lecz jak można nam dopomóc, byśmy znowu uwierzyli w siebie?

— Trzeba żydom przywrócić ich religję, żeby mogli zostać odkupieni. Rozpadają się, bo brak im form życia. Tą formą u żydostwa jest religja. I powiedzcież, czyż nie jest nasza religja najdoskonalszą? Pomyślcie: do każdej religji można przystąpić, lecz żydem trzeba być. Żydem trzeba się narodzić. Żydowskości nie można przejąć. Bez krwi żydowskiej żaden człowiek nie może być żydem. Żydowskość wyma-

ga krwi i duszy. Chrystjanizm można zdobyć i można się go nauczyć.

— Racja — powiedział Abel — wyzbyliśmy się własnego ducha. Żydowskość jest już dziś tylko rozumową wiedzą, a nie żywem przeżywaniem. Czem są żydzi? Poszukiwacze zarobków i racjoniści. Biedny, ginący żyd. Nikt bardziej nie rozwijał się przeciw swemu przeznaczeniu.

— Rozwój, — zawołał Gurassa. — Właśnie że nie. Samokaleczenie — lub właściwiej: gwałt! Żydzi byli narodem kapłanów. Dziś leżą skuci łańcuchami jak Samson, przeklinani i batożeni. Lecz gdyby starczyło im odwagi zerwać te łańcuchy...

— Czyż siła ich odrosła jak włosy Samsona?

— Kiedyś odrośnie — powiedział Borys. — A wtedy...

— Biada filistynom! — wyszeptała Joanna. — Strzeżcie się! —

— Wierzę — powiedział Seweryn Gurassa — że niema więcej żadnej zapory. Żydzi giną, stąd taki namiętny, nagły ruch narodowy, ten krzyk ku ojczyźnie, to ocknienie się, ten nawrót do żydowskości. Co pisze się i mówi teraz o istocie żydostwa, o żydowskiej etyce i żydowskiej sztuce! Lecz to wszystko jest błahe. Czem jest żydowskość? -- żydem! Trzeba pójść jak do muzeum gdzieś, gdzie można jeszcze spotkać starego żyda, do bóżnicy, zobaczyć go jak się modli, kołysząc się, spowity w tałas: to jest prawda żydowska. I w tym całym krzyku o żydostwo odsuwa się istotną sprawę. Zamiast filozofowania, trzeba znaleźć jasną i wyraźną odpowiedź na pytanie: jak może żyd znów stać się żydem?

Borys Steinberg zakończył:

<http://rcin.org.pl>

— Może rzeczywiście gdy opuści zachód. Ten go niszczy i pozbawia wiary. Angielski żyd stał się już anglikiem, niema już więcej angielskich żydów. Są żydowscy anglicy, żydowscy francuzi, żydowscy włosi. I nie długo już żydowscy niemcy. To jest ta smutna ambicja żydów! I chrześcijański niemiec nie życzy sobie tego! Żydowskość jest już teraz tylko znakiem szczególnym i jako taki — słusznie! — wyzwiskiem. Cóż pozostało więc z żyda, jeśli z rzeczownika stał się przymiotnikiem.

Odprowadzał przyjaciela do domu. Mroźne ulice leżały nagie w świetle księżyca, miasto było opustoszałe. Woda w rzece zamarzła. Na czystym lodzie leżały odpadki, papiery, śmiecie, zdechły pies, którego obsiadły szczury. Obaj mężczyźni posuwali się pod murami, jak dwa widma na wietrze, nie było widać wzdłuż ni wszerz żywego ducha, zdaleka tylko słychać było szum pociągu, połyskiwało światło.

Lubili o tej godzinie bezgłośnego snu krążyć po mieście. Niekiedy spotykali dziewczynę uliczną samą, jej alfons wolał siedzieć w knajpie, grzejąc się wódką. Czasami wchodzili tam i oni. Tam, gdzie milknie sumienie i zaczyna się wolność innego gatunku. Żydzi muszą zniżyć się aż ku przestępcom, by nie czuć się wyrzutkami. Tam człowiek ma swoje znaczenie — pomimo klasy, religii, lub rasy. Tam ma znaczenie siła pięści, serce, rozum. Reszta to okoliczności drugorzędne.

Borys Steinberg był lekarzem, do którego przychodził morderca leczyć rany, otrzymane w walce, nim został uwieczony. Złodziej, włamywacz mają swe choroby, dziewczki uliczne też swe bóle i cierpienia, kuplerzy też swój lues i wszyscy oni potrzebują

swego lekarza. Szli do rosjanina Steinberga, który był człowiekiem pośród otaczających ich wrogów. Dziwni pacjenci zbierali się w pokoju na Wiesenstrasse. Abel Adler pomagał często przy opatrunkach, operacjach i zastrzykach. W rękach tych mężczyzn, podczas najsilniejszych cierpień — bo Steinberg nie lubił przytęplić nerwów, zaczynali ci ludzie uśmiechać się błogo, jak gdyby unosząc się w światłość niebiańską. Czuli się pewni u przyjaciół, obnażając to, co społeczeństwo waha się nazwać u nich sercem i sumieniem. Byli fanatykami sprawiedliwości, lecz fanatyzm bywa zawsze niesłuszny, prawda jest wrogiem w sądach. Podporządkowani przemocy i sile, chcą też nauczyć się przemocy i siły, by stworzyć lepszy świat. Byli jeszcze zbyt znikomą cyfrą. Podczas opatrunków i podczas badania płuc, rozbrzmiewały dziwne filozofje i definicje na spieczonych wargach.

— Chrystus — wołał jakiś włamywacz, który był przedtem dzieckiem szlacheckiej rodziny. — Chrystus! On popsuł nam życie. Jak szczęśliwym był świat. Dziecięca uczta niewinnych żądź! Wtedy zjawił się z krwawiącym czołem i ranami na rękach i nogach i rozpędził szczęśliwych biesiadników! Wypędził z nas dziecięctwo. Nigdy nie wiedział co to miłość. Wszystko było u niego teorją, a nie życiem. Człowiek który nigdy nie kochał! Nieludzki jak Bóg, taki Bóg, który pochyła czoła! Budda się śmieje, bożki bałwochwalców się śmieją! Nasz Bóg płacze a my się mamy śmiać?

Spółeczeństwo obecne stworzyło zbrodniarzy. Wojna zdemaskowała człowieka. Podczas etapów byli złodziejami, sprzeniewiercami, oszustami i gwałcicielami; byli mordercami i sadystami; kto ratował

swe ludzkie sumienie, nazywał się tchórzem. Lecz nic nie było podlejszego, jak zmuszać żyda do tych czynów. Teraz siedzieli podczas godzin przyjęć u tego lekarza biednych i wydziedziczonych ci, których ręce musiały być rękoma złodziei i morderców. Przywykli do zbrodni od nich wymaganych, lecz miara przewyższała nawet ich skłonności.

— Ja prostytutuję — wykrzykiwała dziewczka, którą wysłano do Brukselli, gdzie musiała pozwolić korzystać z siebie od pięćdziesięciu do osiemdziesięciu żołnierzom dziennie. — Jestem tylko dziewczką! Jestem rzeczą, lecz oni są posiadaczami tej rzeczy i wyzyskują ją. Byliśmy wszyscy tylko cyfrą. Żołnierze i kobiety. Lecz kto — he! kto nas numerował?

Strasliwe skargi wznosiły się ku niebu, które było opustoszałe i nie pomagało nikomu.

— Bóg — wołał stary więzień — Cóż zrobili oni z kochanym Bogiem. W kościołach zamknęli! Ten nie da się zamknąć. W niedzielę wleczono nas do tej więziennej kaplicy. Tych powinien pan być widzieć, panie doktorze! Każdy w oddzielnej celi, od współbraci odesobniony, każdy kawał bydłęcia sam w sobie. I do tych klatek ma Bóg zstąpić? Gdyby przyszedł musiałby wszystko wysadzić w powietrze. Lecz w strachu stworzyli Boga i dla nich jest tam proboszcz. Wspaniały kawał człowieka. Tyje od kłamstw i wszeteczeństw. Musimy iść do więzienia, żeby on miał posadę. Czyż więzienie jest dla nas? Nie, poto żeby sędziowie i dozorczy mieli posady i chleb. Musimy stać się zbrodniarzami, żeby oni z tego mogli żyć.

I z tą samą strasliwą logiką powiedziała dziewczka.

— Żeby bogate dziewczęta nie zachodziły w ciążę, musimy my być dzieciobójczyniami. Aby im dano spać spokojnie, musimy my oczekiwać gotowe na rogu. Ach, doktorze, pan mnie rozumie, to jest podle, lecz serce moje kołacze radośnie, gdy jednego takiego chłopca mogę zarażonego odesłać do żony. Zdychamy z zarazy dla zdrowia innych.

W okropnych piwnicach Auguststrasse wszyscy znali obu przyjaciół. Wpuszczano ich na głos tajemniczych sygnałów o dwunastej, o pierwszej w nocy, gdy popychani wiatrem, biegli przez puste ulice. Uśmiechali się gorzko do siebie na myśl, że tu są bronieni przed obelgą i nienawiścią, za każdym żydem jest posyłany list gończy, każde spojrzenie go pyta: czy to ty ptaszku? Nikt nie jest bardziej uciskany i oskarżany, jak niewinny.

Lecz i ten świat przestępców, który się zdawał być najbardziej ludzkim, załamał się, gdyż zaszło w nim coś najpotworniejszego. Do Borysa Steinberga przyszedł w początkach grudnia jakiś młody człowiek. Był jeszcze na wojnie podczas ostatnich walk i cios, który otrzymał w głowę, przedziurawił mu duszę. Była w niej pewna próżnia, puste, ciemne miejsca, w których się odgrywały okropności. Był teraz — po łagodnej młodości w domu pracowitych rodziców — gwałtownikiem, który zastrzelił jakiegoś urzędnika podczas ucieczki; odsiedział dwa lata więzienia i od tej pory zaczęły się różne niezrozumiałe gwałtowne jego uczynki. Miał dwadzieścia dwa lata i był piękny dziką pięknnością mieszkańca dżungli. Swoboda wyczierała mu z czoła okolonego gęstemi blond włosami. Jego pełne usta były jak dojrzały owoc, czarne rzęsy okalały błękitne oczy. Postać miał

gibką, szczupłą, ruchy zwinne jak tygrys. Mimo to nie miał szczęścia u kobiet. Nie kochały go, odczuwając dobrze, że był wolnym od ich wpływu. Lecz był żądny, żądny nieustannie, pełen niszczących chuci, które zdawały się być niemożliwe do zaspokojenia.

Zobaczył Joannę Gurassa, cierpiącą pod wpływem zbliżającego się macierzyństwa. Miała ciężką i bolesną ciążę, jej oblicze było zmienione, pięknie zmaczone. Lecz pod tem zamąceniem, czar jej piękności był jeszcze bardziej wzmożony i prześwietłony świętą tajemnicą. I tylko łotra mogło unieść podłe pragnienie zbliżenia się do tej wzniosłej piękności.

Borys Steinberg zajęty był leczeniem młodego Józefa Feuermanna z zakażonej rany od uderzenia nożem w ramię. Ani on, ani Abel Adler nie zauważyli spojrzeń, jakimi wodził za Joanną, gdy ją spotykał w mieszkaniu. Często, podczas nieobecności gospodyni, otwierała drzwi pacjentom, przynosiła wodę i wszystko co było potrzebne do pokoju przyjąć. Obaj przyjaciele, fanatycy życia, byli jednak za mało uważni na niektóre jego przejawy.

Pewnej nocy nie wróciła Joanna do domu. Miała jedynych krewnych w południowej części miasta, których z powodu jakiejś uroczystości rodzinnej odwiedziła; o dziesiątej, wcześniej niż inni, sama odeszła, by nie przyjść za późno do domu i już nie powróciła...

Trzej mężczyźni szukali jej przez całą noc. Gurassa pojechał do krewnych. Ci spali już, obudził ich i jakiś kuzyn przyłączył się do niego. Ciepły, deszczowy ranek zastał ich wszystkich pogrążonych w beznadziejności na Wiesenstrasse. Za-

wiadomiono policję. Dzień włókł się straszliwie długo. Po południu — cała dzielnica wiedziała już o zniknięciu Joanny — do doktora Steinberga przyszła jakaś prostytutka.

Nie, nic jej nie jest. Chciała tylko coś powiedzieć, opowiedzieć — spostrzeżenie. Było jej ciężko mówić. Lecz otóż o pierwszej w nocy wypuściła od siebie mężczyznę na Uferstrasse, gdzie mieszka i przez chwilę zatrzymała się na ulicy, bo było ciepło i bezwietrznie — i zobaczyła na dole na łożysku rzeki, na mieliźnie człowieka coś za sobą wlokącego.

Co za człowieka? Tu znają się wszyscy. Któż to był?

Ona więcej, ona dużo, ona wszystko wiedziała, ta dziewczka, lecz nie chciała mówić, obawiała się surowych praw jej świata. Wtedy wstał Abel Adler i podszedł do niej blisko.

— Niech pani mówi odważnie, Zofjo, nie potrzebuje się pani go obawiać. — I w nagłym jasnowidzeniu, które otwarło jego ducha, powiedział cicho: — Czy pani go kocha? Nie. Ja wiem, to był Józef Feuermann, którego pani widziała, wlokącego trupa do wody... Niech pani nie płacze, pani nic nie mówiła, pani jest dzielnym człowiekiem, Zofjo.

Borys spojrzał na przyjaciela. Zobaczył oblicze, które było rozświetlone niezwykłą miłością, miłością, w której mieściło się łagodne pojmovanie wszystkiego co istnieje, miłością, którą Stwórca obdarzył i splamił człowieka. Bywa taka miłość, przed którą się nic nie skryje, która od poznawania wzrasta

Podczas gdy jeszcze milczeli, dał się nazewnątrz słyszeć hałas, głosy, krzyk, potem nagle

milczenie... To dzieci odnalazły podczas zabaw, w błocie rzeki trupa. Leżał tam gdzie się rzeczka zaczyna, pod domami, zakryty. W ciemnym dole, już okrążona szczurami, leżała Joanna Gurassa, zduszona, zmieniona, w podartej sukni, zapłodnione łono jej było zgwałcone...

Nocą Abel odszedł od Gurassy. Seweryn Gurassa postradał mowę, oniemiał, nie było już słów więcej. Co było najświętszem dla niego, leżało na sekcyjnym stole. Protokoły, poszukiwania mordercy — to było obojętne, zbyteczne.

Abel włókł się przez Wiesenstrasse w górę, bez celu. Zaczynało być mroźno, niebo było jasne i zimowe gwiazdy błyszczały. Oddawna już słyszał, że ktoś za nim cicho się skrada, jakgdyby pełzał, lecz nie dochodziło to wyraźnie do jego świadomości. Gdy w końcu pojał, stanął i nim się odwrócił, wiedział kto to.

— Chodź pan, Feuermann — powiedział przyjaźnie. — Myślę, że policja jest już na tropie. Cóż myśli pan począć? Jeśli będzie pan tak krążył, złapią pana niedługo.

— Co? Jak? — zawołał mężczyzna gorączkowo. — Nie wiem o niczem. Nic nie uczyniłem, mam swoje alibi. Byłem przez całą noc u ojca Augusta, spałem tam na ławie

Szedł obok Abla dalej, jakgdyby w obawie by nie zostać samym. Trzymał ręce w kieszeniach. Szedł prosto, piękny i dumny, nie czując chłodu w swem lekkim ubraniu. Nosił nawet kołnierzyk i szalik, był świeżo ogolony i pachniał tanią fryzjerską wodą kwiatową.

— A więc, Józefie Feuermann — powiedział Abel, — nigdy nie byłem za tem, by karać morder-

cę. Trzeba go zostawić jego czynom. Kto sam siebie nie ukarze, tego żaden sędzia nie poprawi. Ze mną może pan szczerze mówić, ja wszystko widziałem, mogę każde mgnienie twego straszliwego czynu opowiedzieć. Chciałbym tylko wiedzieć dlaczegoś to zrobił? Józefie, dlaczegoś to uczynił?

Szli wolno, coraz wolniej, jakgdyby sami jedni na całym świecie.

— Chętnie cię u siebie ukryję, jeśli ci to pomoże. Od kiedy stałeś się mordercą, współczuję ci i kocham cię, Józefie. Myślę, że mnie rozumiesz; kto uczynił to, co ty uczyniłeś, kto uległ takiemu straszliwemu wybuchowi miłości — morderstwo jest zawsze zbrodnią bezsilnej miłości — ten jest rozwarty dla każdego uczucia. Lecz objaśnij mi: dlaczegoś się nie przeciwstawił? Dlaczegoś to zrobił, Józefie. — Ach ty drogi, zimno ci jest. Chodź do mnie, mam piec i drzewo, będzie ci ciepło, położysz się do mego łóżka i będziesz spał. Myślę, że to dziś jest druga noc odkąd nie śpisz.

— Mnie nie zimno, ja nie drzę — powiedział chłopak. — Cóż będę robił w pańskim łóżku, he?

— Będziesz spał, by serce twoje znalazło spokój. Męczysz się straszliwie Józefie. Będzie lepiej, jak zdecydujesz się mówić.

Słowa mają wpływ na słabych ludzi. Trzeba czynu, żeby silnych przekonać. Lecz jeszcze nie przemówiło przez Abła natchnienie.

Józef Feuerman powiedział ze złośliwym uśmiechem:

— Jest pan śmiesznym chłopcem! Jak jaki z Armji Zbawienia. Zdaje mi się, że pan chce „słuchać“. Czy wśród żydów bywają także braciszkiwie? Co?

— Przestań, Józefie, właśnie dlatego że jestem żydem muszę „służyć”. Żyd jest stworzeniem usługowym. Kiedyś — dawno już temu — służył Bogu całym swym sercem, rozumem nawet, swą miłością. Żeby się Bogu przysłużyć, ożenił się, dla Boga chciał mieć dzieci. Dziś gdy Bóg odwrócił się od niego, komu ma służyć? Wyższym ludzkim ideałom, ludzkości. Gdy służyć jednemu, Józefie, nie czuję się jego sługą, lecz w tym jednym służyć wszystkim, w jednym miłuję każdego. Ty Józefie Feuermann, jesteś tylko symbolem ludzkości, moje służenie jest też symboliczne. *

— To są wielkie słowa, — powiedział Feuermann — zawsze jednak jest pan ostatecznie panem, a ja tylko zwykłym przestępcą. —

— Nie jestem panem, jestem żydem. Żyd jest zawsze bojaźliwy, gdy jest z gospodarzami kraju razem. Pomimo, że każą sobie płacić za pobyt, nazywają to gościnnością, lecz jest to tylko zachodnia wrogość. Dla was, ty sam nazywasz siebie przestępcą, jest każdy gość święty. Lecz dla tych, którzy tu się zwą uczciwymi, jest gość popychadłem. Jesteśmy dla nich tem, czem wy. Stawiają nas z wami na tym samym stopniu. Jesteśmy podwójnie zbrattani, Józefie, jako ludzie i jako wydziedziczeni.

— Czy jest tak ?

— Tak jest. Lecz zdaje mi się, że trzymasz w kieszeniach ręce w pięść zaciśnięte. Pokaż.

Abel wyciągnął rękę z kieszeni mężczyzny, wielką, silną i pogryzioną rękę, mocno zaciśniętą. i ujrzał, jak zęby Joanny wpiły się w tę niezachwianą dłoń przeznaczenia...

Wtedy przemówiło jego serce — i nim morderca zrozumiał, co się stało, podniósł Abel rękę mordercy i uściskał ją łagodnie...

— Biedna, nieszczęśliwa ręka — powiedział.

Stali na rogu Wiesenstrasse, w miejscu, gdzie płynęła bezgłośnie brudna i ciemna rzeczka. Było tak cicho, jak to jest tylko między ludźmi możliwe. Tylko milczenie mówiących stworzeń bywa tak bezdennie głębokie, pełne znaczenia i tajemnicze.

Wtedy rzekł morderca jasnym głosem, obejmując ramię towarzyszącego mu Abła.

— Tak, chodź więc pan razem. Nie ufam sobie samemu, że pójdę tam żywy. Pójdziemy na policję i będę zeznawał. Lecz pan musi iść ze mną!

Abel trzymał go mocno z bijącym sercem.

— Lecz dlaczego? — spytał go obłądnie. — Zdawało mu się to ważniejsze niż skłucha i kara. — Dlaczegoś to uczynił Józefie? — dla jednej chwili, kobietę i dziecko?... Dlaczego?

— Spoglądała zwykle na mnie, — powiedział morderca — spoglądała na mnie swemi czystymi oczyma. Czulem się oskarżany. Dlaczego? Przecież jej nic nie uczyniłem. Niech więc ma rację ze swem oskarżeniem. Te oczy musiały zejść ze światła... To inne, rozkosz ciała, to było tak tylko. Cały tydzień czatowałem. Zobaczyłem ją wczoraj o jedenastej na Parkstrasse i zawlokłem ją na szkoine podwórze. I tam właśnie jakoś to się zrobiło... Dlaczego pan moją rękę — — —

Nie mógł wymówić „uściskał“. Morderca poczuł wstyd i poczerwieniał pod wpływem tego uścisku... Spojrzał na młodzieńca, spojrzeniem gorącej, czystej miłości, która w nim rozgorzała...

Każdego wieczora stali mężczyźni i kobiety na wszystkich rogach ulic, komentując to zdarzenie. Abel słuchał tu i tam. Słyszał, co o tem mówiono i tracił ostatnie złudzenie, gdyż raz gdy jakaś dziewczyna żałowała zabitej — zawołał jeden — a był najbardziej bratni ze wszystkich, też parias wydziedziczony, ostatni pozostały przyjaciel, jedyna nadzieja prześladowanego żyda, nawet ten sprzymierzeniec wśród wydziedziczonych, zawołał:

— Cóż chcecie? — Miał rację, gdyż to była żydowska dziewczyna!...

Teraz więc nawet wśród tych z pod prawa wyjętych wyrzutków, był żyd bezwartościową kreaturą!

Gurassa znikł, nie można go było odnaleźć. Nikt nie wiedział, czy porzucił to życie i odszedł ku innym planetom, czy pracował ukryty nad unicestwieniem lub poprawą świata...

Choinka pachnie, dokoła unosi się woń świętych jodeł, drzewa miłości bezlitośnie mordowane, stały martwemi rzędami na ulicach Berlina i dwudziestego drugiego grudnia rojne miasto pachniało martwym lasem iglastym. Było łagodne wilgotne, prawie wiosenne powietrze.

— He, Mojsie, czy nie kupisz u mnie jakiegoś drzewka — zawołał handlarz na placu Aleksandra do starego Adlera. I jakaś dziewczyna potrząsnęła pudłem ozdób choinkowych przed nosem Gerszona

— Przepraszam — powiedział żyd — przepraszam, że jestem żydem i nie potrzebuję tego, czem handlujecie. —

Lecz Abel stanął i powiedział :

— Wstyďte się ludzie.

Pod jego wzrokiem umilkła złośliwość, lecz tylko zewnętrznie.

Im większa była nędza i niewola narodu niemieckiego, tem bezmyślniej i głębiej burzyła się i wzrastała wściekłość na współmieszkańca, który był wybrany na kozła ofiarnego. Nocą byli nie tylko żydzi, lecz ludzie o semickim wyglądem napałani, bici i tratowani. W zachodniej dzielnicy na Kurfürstendamm, w obrębie kościoła, były naklejane i sprzedawane różne karykatury, kobiety o

ciemnych włosach opluwane, mężczyźni o orientalnej karnacji popychani. Podczas niedzielnych nabożeństw wychodziły procesje z chorągwiami, na których krzyczały i wyły napisy: „Śmierć żydom! Precz z kapitalizmem żydowskim!“ Auta, w których zdawało się, że siedzieli żydzi, były zatrzymywane. wypychano żydów z tramwajów. Były skargi i rozprawy sądowe przeciwko tym czynom, lecz rząd pomagał żydożercom i przygłatał grunt dla pogromów. W północnej części miasta plądrowano żydowskie sklepy. Hackenkreuzlerzy wołali na murach i drzwiach: „Tu! zabijajcie ich!“ Przygodni rzecznicy nienawiści, neprzytomni i tchórzliwi, jeździli po prowincjach, wybierając miejsca i ludzi najpodatniejszych do wszelkiej podłości. Zostały stworzone specjalne pisma i podzielono agitatorów. Tworzyły się związki celem tępienia żydów i tajemne zrzeszenia do wyniszczenia geniuszu żydowskiego. Otwierały się wydawnictwa, drukujące fałszywe protokoły i zmyślane cytaty z Talmudu. Bezczeszczono żydowskie cmentarze i świątynie, podpalano śpichrze żydowskich rolników, podcinano ścięgna koniom żydowskich handlarzy. Fabryki drukowały na swych fabrykach i papierach reklamowych bojkotowe wezwania przeciwko żydom. Restauracje wystawiały w oknach napisy: „Żydom wstęp wzbroniony“. Tworzono dla „żydowskich pasożytów“ specjalne prawa i nakazy, którychby się nie powstydzilo średniowiecze. Generałowie, którzy swe życie zawdzięczali obronie żydowskich żołnierzy, chcieli ich widzieć wytępiionymi. Żyd spełnił swą powinność: zabijcie żyda! Zabierzcie mu jego dobytek i wypędźcie poza granice kraju! Napelnijcie domy publiczne ich kobietami dla proletariatu! Aryj-

czyk nie obejmie miłością żadnej żydowskiej dziewczyny, ma służyć tylko do zaspokojenia najlichszych żądź. Bojkotujcie żydowskich adwokatów i lekarzy : kto się nimi posiłkuje, podlegnie tym samym prześladowaniom, co żydzi i będzie razem z nimi wtłoczony w ghetto. Antysemityzm pluł swym zatrutym oddechem. Zdobywał podstępnie zaufanie i zniemacka napadał, by tem lepiej zapewnić sobie bezkarność i korzyść. Był bezgranicznie złośliwy i rozwieszał gdzie się dało napisy : „Wprowadzanie psów i żydów surowo wzbronione !“

Abel, młody żyd, miał nieznaną przyjaźń.

Czyżby Kacper Zaremba śledził za drogami życia, kiedyś przezeń umiłowanego chłopca ? Gdy głodował podczas Bożego Narodzenia dostał miejsce pierwszego skrzypka w „Eremitage’u“, luksusowym lokalu nocnych rozrywek na Kurfürstendamm. Wymył mocno ręce, nasmarował je gliceryną, wypielegnował paznokcie i oczyścił frak. Borys Steinberg kupił mu lakierki i jedwabne skarpetki i Mirjam uprała i uprasowała mu koszulę, że lśniła jak śnieg lub lustro. Włosy mu odrosły, twarz miał dostatecznie błądą, żeby wzbudzić zainteresowanie kobiet. Pierwszego stycznia mógł już wystąpić.

Matka chciała go zobaczyć w całkowitym stroju. Ubrał się więc we wszystko na Hirtenstrasse, włosy mu błyszcząły, pantofle lśniły. Grał Kolnidrei i Mirjam płakała.

— Masz matko, przyjm swego syna — powiedział ojciec i złożył go w jej ramiona.

Nikt przy tych słowach pisma nie odczuł, nie zauważył przepowiedni. Litościwy był jeszcze dzień następny, niezbadany w cieniu.

— Gerszon — powiedziała matka — czyż nie mamy pociechy z naszego dziecka?

— Bez uroku — powiedział ojciec — gdzie tylko patrzeć — dzieci odpadają i powstają przeciwko rodzicom. Czyż może być coś okropniejszego, jak siedzieć na pokucie po swem żyjącem dziecku?

— Nie mów nic, mój Gerszonie — zawołała Mirjam przymykając oczy — lepiej wcale nie wiedzieć jak teraz jest na świecie. Dziś każdej soboty trzeba Bogu dziękować za ocalenie.

Na początku 23 roku, przy pierwszym święcie, grał piękny blady Abel w „Eremitage’u“. Napisało na afiszach przy wejściu do połyskującego lokalu: „Abel gra“. Nie zapomniano go jeszcze. Znowu opłatały go spojrzenia kokot i cudzołożnic, dziewiczych nierządnic i zaduch ich żądz. Oddychał powietrzem perfum, win, zwierzyny i było to sto-kroć gorsze, niż powietrze spelunek i domów noclegowych. Mężczyźni w złotych bransoletkach z monoklem w oku, opasali i wciśnięci w swe angielskie opięte ubrania, zawsze jeszcze z odcieniem oficerskim w głosie, przebierali wśród przygotowanych dla nich stołów. Pito znowu otwarcie francuskie wina, jadano angielskie ostrygi, przegryzając rosyjskim kawiozem. Cudzoziemcy nażerali się za papierowe marki, skupowali najdroższe dzieła sztuki za pół darmo i spychali do upadku już nie-licznie opierające się kobiety za Rolls Roice’a lub Lincolna czy Cadillaca. Przybywano do Berlina z północy, z południa i z zachodu, by wykorzystać i

co się da wyrwać. Młodzi panowie z ambasad grali w salonach, ślepi na to co się dzieje na ulicach. Ciągłe jeszcze stali na rogach Korostrasse faktorzy i szeptali do ucha adresy. Dziewczęta tańczyły nago w podziemnych spelunkach, korzystano z okazji, by podpatrzeć i podsłuchać dzieci w pierwszym budzeniu się płci. Małżeństwa, które chciały zarobić pieniądze, demonstrowały swe małżeńskie radości przy otwartych drzwiach sypialni, podczas gdy waluciarze i dorobkiewiczze rozwaleni w klubowych fotelach, zachwycali się temi żywymi obrazami. Bracia kupczyli swemi siostrami, córki matkami, synowie okradali rodziców, stręczyli swych małych braci mężczyznom. Maklerzy giełdowi budowali sobie garaże i wypełniali je kosztownymi autami, budowali sobie mieszkania, urządzając je meblami z pałaców. Baronowe szły do służby, a panny piszące na maszynach wyjeżdżały do Włoch ze spekulantami.

Pół Berlina było w rękach cudzoziemców. Za parę tysięcy dolarów można było kupić dom, willę lub nawet pałac. Rosyjscy uciekinierzy żyli za pieniądze otrzymane za perły i brylanty, które potem obwieszały ramiona i szyje filmowych statystek i tancerek. Kupiectwo śródmieścia traciło głowę przed górami papierowych marek i bezmyślnie trwoniło je. Żyd przez stulecia karmiony i wychowany w nienawiści, pamiętający dobrze swą wielką przeszłość, korzystał z tego momentu. Całe rodziny przenosiły się z Grenadierstrasse do will i pałacików na Kurfürstendamm. Im więcej wzrastała nienawiść ku żydom, tem bardziej uparcie dążył żyd do zdobycia majątku, licząc się z siłą swej broni przeciw wrogom. Miał niestety w tem rację.

Przed potęgą pieniądza słabnie wszelki opór, Świat cały jest też tylko przedmiotem handlu. Ktoby chciał się temu przeciwstawić, będzie zdeptywany.

Przyszły dni i noce pogromów. Żydzi, którzy się bali, przesiedlali się, uciekali. Z tygodnia na tydzień występowały rodziny masowo z gminy i chrzcili się. Lecz tak jak żydowskość jest nie do zdobycia, tak samo jest nie do stracenia. Pozostaje się żydem. Nawet w żyłach mieszaińców krąży krew żydowska. Nawet w dawno już zmienionych na białe i blond pokoleniach żyje głęboko w duchu i tli się. Bo krew żydowska jest w duchu. Żydowska siła jest w mózgu. Rozpusta i występki wśród innych narodów zgubne — są wśród żydów nawet twórcze. Ich praojcowie byli kapłanami, prorokami, świętymi, nawet pośród dzisiejszych profanów drzemie to i przebłyskuje. W żydowskich oczach, w spojrzeniu, gdy nawet cyfry odbija, drzemie świętość, która wszędzie. Kain — wyklęty praojciec, uciekł napiętnowany, gdy spojrzał w głąb swej duszy. Traci spokój, kto swą głębię utracił.

Przyszła letowa noc, która w historii żydów była czerwono nakreślona. Pogrom szalał w Berlinie. Była to noc, podczas której Abel chciał się oddać w ręce rozbestwionej tłuszczy i tylko ofiara Priski Lubliner powstrzymała go od tego; gdy klęczał przed nierządnicą ze zmiążdżonym krzyżem i gdy Oliva Leu zazdrościła śmiertelnie ranionej tylko dlatego, że Abel był przy niej... Była to noc, podczas której Gerszon Adler, trafiony pięścią tłumu, krwawił, podczas której napadano i rabowano sklepy, żydów wywlekano z ukrycia, deptano. Noc, podczas której Bóg swój lud jeszcze raz

doświadczył, czy jest dostatecznie wytrwały i silny, by dalej trwać na ziemi, znów się gromadząc i rozkwitając nanowo. Gromady przeciągały z chorągwiami, wyciem i przekleństwami przez miasto, pozostawiając za sobą pustkę, opuszczenie i widmo strachu. Mróz syozal po kątach, światło marzło w latarniach. Wszystkie domy były nieoświetlone, ślepe okna patrzyły widmowo na opustoszałe w przerażeniu miasto. Zdaleka stłumiony i niewyraźny dochodził hałas maszerujących żołnierzy. Potem wzdłuż muru niewyraźne cienie powracających do domu. Jakieś auto jak dziwne i tchórzliwe zwierzę, zatrzymało się lekliwie na rogu, potem nagle skrzyło w głęboką pustkę jakiejś ulicy. Zegar na wieży kościelnej wydzwaniał godzinę za godziną. Czas nie spieszył się wcale, ani jedno mgnienie przerażenia, bólu, czy strachu nie powinno być oszczędzone człowiekowi. Nie smakuje więcej słodycz bytowania, jeśli choć raz gorycz strachu śmierci nie wysuszy nam gardła... Potem znów słychać było kroki maszerujących i zupełnie z boku spóźniona i tylko dla pozorów ukazała się policja, symulując pełnienie obowiązku bronięcia ładu i porządku. I gdy te kroki przebrzmiały, stało miasto w nieskończoności milczenia, opuszczenia, smutku i żalu.

Na Kurfürstendamm, tam gdzie jest trochę mniej ruchu, gdzie kończą się bary i kawiarnie i gdzie bogactwo tłumi szum zwykłego życia, stoi narożny dom w barokowym stylu. Mieszkania tego pałacu składają się z salonów o lustrzanych podłogach, oranżerji i marmurowych łazienek. Jedno wśród nich jest wyjątkowo wspaniałe. Było całe urządzone przez architekta — impresjonistę, pięknie umeblowane i utrzymane w stylu. Gdy się weszło, łatwo można było się domyśleć, że zamieszkiwała je dama z półświatka, która z pieniędzy znajdowanych na kominku — gdy wstawiała w południe — kupowała co jej się podobało. Na licytacjach, po starych zamkach, starożytną porcelaną, gobeliny, wielkie kandelabry. Gromadziła u siebie dywany z Aubusson i Smyrny; stare brokaty, tronowe krzesła, angielskie kanapy, francuskie mebelki, łóżko w stylu Ludwika XVI-go, odwiedzała sklepy z galanterją na Tauenzienstrasse i wybierała modne rzeźby, brzozy, orientalne drobiazgi, maski tańczących negrów, gąbki z lalkami, wiedeńskie maszynowe hafty na poduszki, głupstewka wystawowe obok wartościowych miniatur, które tam leżały.

Tak wyglądało w tem dziesięciopokojowem

mieszkanii. Dosyć przytulnie, jeśli w tem przepelnieniu, brało się to wszystko jako całość. Męczący i drażniący zapach perfum płynął z poduszek i narzuconych dywanów. Olbrzymie fotele i miękkie kanapy, zbyt wyraźnie mówiły do jakich celów służą. Za wiele stolików do palenia było porostawianych dokoła. Za mało chronione były kosztowności. Lamy miały za jaskrawe i tajemnicze zasłony. Sześć z tych pokoi zajmowała amerykańska diva filmowa ze swą pokojówką. Sprowadzono ją tutaj, by w jakimś filmie niemieckim stworzyła nutę internacjonalizmu.

Wojna, to znaczy świat był stracony. Trzeba go było inaczej, niż trującami gazami i pociskami armatnimi zdobywać. Niemiecki film miał zagarnąć świat. Lecz nie ufano własnym siłom, sprowadzono atletów z Włoch, piękności z Ameryki, reżyserów ze Szwecji, jeżdżono na Rivierę, na Spitzberg, do Hiszpanji własnymi autami, okrętami, karawanami. Budowano za miliony Babylon, Troję, piramidy, katedry, Akropolis, rzymskie Forum, puszcze i Joshiwarę. Wydzierano z ziemi miliony.

Amerykanka zamieszkiwała sześć z tych pokoi, a cztery jakiś bałkański attache. Stosunki panowały bardzo dobre, płacił komorne, grał szczęśliwie i znosił blond piękności perły i starożytną biżuterję — jedno i drugie bardzo lubiła. Zato było jej łóżko w stylu Ludwika dosyć szerokie, żeby pomieścić jego i wielu innych jeszcze. Wystawne życie prowadzono w tem mieszkaniu kokot. Usługę załatwiała stara żydówka, matka właścicielki. Spała w ogromnej kuchni i wstawiała o szóstej rano, ażeby sprzątać zanieczyszczone salony. Trwało prawie do południa nim uprzątnięte były flaszki po

winie, popiół, resztki jedzenia, wazy, od owoców, pudełka cukierków. Tak dużo było niedojadanych resztek, że szafy w kuchni żydówki były przepelnione. O dwunastej, o pierwszej wstawała amerykanka. Pracowała tylko popołudniu i w nocy. Czula się w Niemczech jak królowa. Po obiedzie więc mogła stara sprzątać sypialnię, buduar i łazienkę. Potem telefony do dostawców, do handlu win i delikatesów, do cukierni i kwaciarni. Wieczorem goście. Przychodził służący z poselstwa. Pokojówka zastępowała panią, u attache rozpoczynano grę. Okna były otwarte i żaluzje opuszczone. Wiosenne powietrze napelniało sobą powoli pokoje. Tłusty kot żółto-czarny, ocierał się mruczając o ściany. Kakadu na swej poprzeczce zasypiała, budziła się z krzykiem i zasypiała znowu. Około północy wracała śmiejąc się i hałasując amerykanka, jeszcze nie rozcharakteryzowana, w kostjumie tancerki, obwieczona blaszkami, prowadząc za sobą roje adoratorów, artystów, malarzy i wielu innych.

A właścicielka tego mieszkania leżała w jednym ze służbowych pokoi, pełnym rupieci, od strony podwórza, w starym łóżku, bezwładna, blada i rzadko uśmiechająca się. To była Priska Lubliner.

Często, bardzo często siadywał Borys Steinberg przy jej łóżku i rozmawiali o straszliwej słodyczy życia. Abel Adler sprowadził go tutaj. Priska więcej nie wstawała. Jej klienci zniknęli. Mieszkanie to stanowiło cały jej kapitał. Majątek ten oddała na procent przez odnajmowanie go. Uśmiechała się. Stała się mądra jak mędrzec, jak starzec.

— Tak — powiedziała — Pokój dla służby. A więc jestem u celu. Po tamtej stronie pragnień. Jestem po za nawiasem. Ostatecznie zawsze poszuki-

walam Boga, a on przebywa tylko w izbach czeladnich, na salach szpitalnych. A więc jestem wśród nich. Marzyłam gorąco i ciężko. Ci biedacy tam, pozbawiali mnie moich snów.

Nie miała więcej żadnych życzeń, gdy Abel siedział obok niej. Całował ją teraz i jej usta były dla tego pocałunku, jakgdyby nigdy nietknięte. Czerwieniała jak dziecko. Wzrok Boga, gdy padnie na człowieka, oczyszcza go z zewnątrz i wewnątrz z ziemskich przeżyć, a ona była pod boskiem wejrzeniem, w wiecznym oczyszczeniu łaski i odkupienia. Rickel Lubliner, matka, zaciskała pięści ku niebu, nawet gdy prała lub sprzątała. Rickel Lubliner biła swą córkę tak, jak wtedy przed piętnastu laty. Jej dotknięcie, gdy pomagała córce, było twarde aż do bólu i zostawiało ślady na delikatnym ciele. Nienawidziła ją za to, że poświęciła siebie, chcąc ratować innych i dała złamać sobie krzyż, nie myśląc o matce, która po latach książeńcych wygód, znów musiała wrócić do kuchni i spiżarni.

Lecz Priska nie odczuwała więcej niewygód bytowania. Była nieczuła aż do bioder bezwładem nerwów, żyła tylko sercem. Jej ciało było pełne ran, matka troszczyła się o nią niedbale. Lecz nagle pojawili się u niej ludzie, którzy się „ulitowali“ nad nią, jak z uśmiechem to nazywała. Lecz ci ludzie byli jej wdzięczni, gdyż było łaską patrzeć, jak ta nierządnicą umierała.

Leżała teraz na gumowych poduszkach i nie chciała być przeniesioną do szpitala. Nie będzie tam czuła się dobrze. Światło, które wypełniało jej komórkę, nie będzie jej nigdzie tak aż do serca przenikało. Leżała tak i patrząc w oblicze Abła, zanim jeszcze umarła, odczuwała wieczystą błogość. Je-

go ręce czuła na już zamaryłych miejscach swego ciała. Wtedy ożywały i rozkwitały, że czuła ich zapach.

Męczące i niemile czynności trzeba było wykonywać przy niej, gdyż funkcje organów były utrudnione bezwładem. Mogła to wszystko przemieścić przy pomocy Abla. Spędzał każdą wolną chwilę przy tej, która dla niego umierała. Umierała bardzo wolno. Wieczorami grał. Nazewnątrz tego służbowego pokoju było całe podłe, brudne życie, lecz najslabsze echo nie przenikało tutaj.

— Doktorze kochany — szeptała Rickel Lubliner do Borysa Steinberga — powiedz pan, kochany doktorze, jak długo jeszcze pociągnie biedactwo. Niech mi pan powie czy musi być spisany testament. Jeśli, niech Bóg broni, ona umrze, czy ja jestem spadkobierczynią, nawet gdy już nic prawie nie pozostało? Niech ona mi jednak zapisze, co? Bo inaczej zostanę złamana bólem matka i nie będę miała nawet niestety krzeselka na moje biedne stare łoski.

Wieczorem przyszła Oliva Leu, przyniosła i postawiła na oknie kwiaty, zawsze świeże i pachnące, przyniosła owoce i sucharki, siadła przy umierającej i zaczęły rozmawiać o Ablu.

Oliva Leu nie wróciła do ojczyzny, gdzie latem miał się odbyć jej ślub z młodym Wasiljewym. Tej przerażającej nocy pobiegła za tymi, którzy nieśli ranną Priskę.

— Odejdź, proszę, odejdź, ja muszę, — powiedziała błagalnie do narzeczonego, i jej spojrzenie tak pełne było czegoś niewypowiedzianego, że odstąpił, zdaleka tylko idąc i stał przed domem Priski tak długo, aż Oliva wyszła stamtąd. Wydawała mu

się zmienioną, jak gdyby wyższą siłą dotknięta, spojrzała na niego jakgdyby był nie z tego świata lub wogóle przestał istnieć tutaj. Wtedy odczuł natychmiast: zapadło się coś, co było nie do przebycia między nimi. Poczuł, że on, światowiec, nigdy w tem udziału brać nie będzie, że dla niego i jemu podobnych została straconą.

Odjechał nazajutrz i napisał do niej. „Stanie się jak sobie życzysz...”

Odesłała mu, wśród róż i mirtów ukryty pierścionek i kilka słów: „Wybacz mi, kocham Cię za bardzo, żeby Cię okłamywać. Nie mogłabym nigdy, całą duszą, być Twoją żoną”.

Siadywała wieczorami przy łóżku Priski. I opowiedziała jej wszystko.

— Byłam prawie jeszcze dzieckiem, gdy usłyszałam jak grał w Zurüchu. Natychmiast go pokochałam, nie powiem, żeby mnie uwiodły jego skrzypce. Nie wiedziałam jeszcze co to było, lecz przeczuwałam w nim coś nadludzkiego, lub lepiej, przeczuwałam w nim ukrytą boskość. Nie był prawdopodobnie doskonalszy niż inni, lecz Bóg był w nim mocniejszy. Widziałam go jak wystąpił przed rozwściekloną tłuszcą. Stał nie jak bohater, ach, na szczęście nie miał w sobie nic z bohatera! Był prędzej aniołem. Cóż mamy z bohaterów? Gdy istnieją armaty i bomby bohaterstwo niema znaczenia. Teraz nastał czas aniołów. I on zdawał mi się być jednym z nich. Potem nic więcej o nim nie słyszałam i spotkałam Wasiljewa. Stało się raz, że na szosie między Paryżem a Saint Germain, wpadła pod jego auto i leżała martwa na szosie stara kobieta. Zatrzymaliśmy się i Cornelius już był przy starej i podniósł ją. Trzymał ją, prawie

martwą, tak delikatnie i uważnie na rękach, jak gdyby miała się dopiero zbudzić do życia. Był tak niezmiernie piękny gdy patrzył na nią, potem spojrzął na mnie i podtrzymując martwą na swych silnych ramionach pokazał ją mnie, jakgdyby mówiąc: spójrz, ja to zrobiłem... I w tym momencie pomyślałam o młodym skrzypku. W tym obcym zabłysło Boskie poza ludzkim. Czułam w nim Anioła. Przybliżanie się człowieka ku Bogu... Wtedy pokochałam go... Lecz gdy znów ujrzałam Abła, wiedziałam, że już wpierv miłość do niego tak wiele zabrała mi z duszy na zawsze, że dla innego już nie posiadam jej całkowicie.

— Kocham panią, — mówiła Oliva, — tak wiele pani w życiu przeżyła, przeszła pani przez nie, teraz jest pani oczyszczoną cierpieniem. Ja — nigdy nie mogę stać się tak czystą jak pani, gdyż nic nie przeżywałam. Czystym nie można być, czystym trzeba się stawać.

— Ty miły aniele — szeptała Priska — ty jesteś żoną dla niego.

Oliva spojrzała.

— Nie mogłabym go nigdy pocałować — rzekła blada i przestraszona. — Gdyby mnie tknął, stałabym się lodem i kamieniem.

— Jak myślisz Olivo, — szeptała. Zwierzały się sobie jak młode dziewczęta. — Czy myślisz, moje serce, że on dotyka się kobiet?

— Już nie — szepnęła Oliva w odpowiedzi. — Ja myślę, że on przeżył wszystko, przeszedł poprzez wszystko. Nie mógłby żyć wśród tego straszliwego życia, gdyby w głębi nie był poza niem. Gdy jest tu u ciebie, czyż nie zdaje ci się jakgdyby to był tylko jego duch?

Priska powiedziała nagle :

— On umrze młodo. Teraz to wiem. Teraz to pojęłam. On umrze młodo. Ukochał ludzi — musi zginąć zamordowany. Gdyby choć raz jednego ukochał, to byłby dla niego ratunek.

— Lecz ci, którzy go kochają ?

— To nie pomaga nikomu. Niczyja miłość nam nie pomoże, tylko ta we własnem sercu.

— Prisko,, mądra cię uczyniło twe życie.

— I stara Olivo. Tu leży stuletnia..

W czerwcu, w końcu miesiąca, umarła Priska. Rickel Lubliner sprzątała sypialnię amerykanki. Dziśka orgja rozrzuciła to ogromne królewskie łóżko. Łącz z obrzydzenia obracała w rękach poplamione 'krwią prześcieradło. Nie wiedziała, że w końcu długiego korytarza w pokoju służbowym, jej córka oddawała ostatnie tchnienie. Priska drętwiąc uśmiechała się. Przenosiła spojrzenie z Abła na Olivę. Przy jej łóżku siedziała jakaś obca kobieta, lekarka, którą Oliva sprowadziła z sąsiedniej ulicy. Była to Chaja Genachow.

Chaja z 'krótkimi rudemi włosami, z surowem poważnem obliczem, lecz z jej oczu sączyła się dobroć. Pochyliła się nad umierającą, która nie przedstawiała się uśmiechać. Teraz zamknęła Priska oczy. I nagle zmienił się jej uśmiech. Stał się sztywny, martwy i zimny.

Chaja odjęła rękę od jej serca, spojrzała i przyłożyła palec do ust.

Powoli uklękła Oliva.

Zabrzmiał głośny dzwonek. Rickel Lubliner krążyła tu i tam. Z poselstwa przysłano szampan i burgunda. lody i zakąski. Przyszły kwiaty do kolacji, modystka z 'kapelusami, wszedł służący z

ambasady i pokojówka pchnęła go do swego pokoju.

Wreszcie zawołali matkę.

Rickel Lubliner tak głośno wykrzyknęła, że Oliva rozbudziła się z rozmodlenia. Priska ciągle jeszcze się uśmiechała i zdawało się klęczącej, że uśmiech jej po krótkim łęku konania, stał się znów żywy, ciepły i łagodny.

Abel wyprowadził lamentującą matkę z pokoju. Jego serce było zimne, życie nie dochodziło do niego. Miał dwadzieścia trzy lata, i miał je poza sobą. Tęsknie spoglądał za siebie, lękliwie i gorzko przed siebie.

I znów było zimno, biedacy marzli, zaczęła się zima przed smutnym końcem.

Abel Adler szedł przez Preuslauerallee, zbliżając się do domu.

Był zamknięty w sobie przeciwko światu. Opustoszała ulica marzła tej pierwszej nocy listopadowej, cienie opuszczenia płynęły ze ślepych oczu domów; nie odczuwał tego. — Na jednej z ławek alei leżał młody mężczyzna z lekka pijany.

Abel potracił go.

— Idź spać, człowieku. Zamarzniesz na ulicy.

— Dokąd? — odburknął — nie mam gdzie.

— Chodź ze mną — powiedział surowo i twardo Abel.

Położył obcego do swego łóżka. Drzewo leżało pod piecem, zapalił w piecu, zrobił herbatę, chciał ją podać gościowi, lecz ten spał już, chrapiąc, brudny, cuchnący, lecz we śnie z rozjaśnionym obliczem, uszczęśliwiony czystym łóżkiem.

— Stoję tu — przemówił młody Abel do śpiącego. — Grywałem wdowom na podwórkach, ści-

skalem rękę mordercy i pijanego złożyłem na swem łóżku. I co czuję? Opustoszały jestem, zimny i biedny. Czyż tak mało było we mnie miłości, że zużyły ją trzy dobre uczynki? Czy się odwróciła obrażona, zem ją nierozważnie, nie szukając zużył, zem jej używał nie poddając się jej samemu?.. Stoję tu, uczyniwszy z siebie żebraka, darujący — bez treści. Każdy dar — niesprawiedliwością wobec obdarzonego!

Siadł na oknie, przenikał go chłód, gwiazdy polyskiwały poprzez mgłę nad miastem. Tak przesiedział głuchą noc i miłość, której się uczył i którą uprawiał, nie rozgrzewała mu serca. Bronił się przed myślami, zamykał się przed światem zewnętrznym i jego wpływem. Gdyż nic, co istnieje nie jest bez związku z nami. I nawet z obcych gwiazd, z pośród eterycznych stref, przychodziły do niego wrażenia. Lecz on nie chciał o niczem wiedzieć. Zamknął się w samotności, która broniła resztek jego dumy i była jego szczęściem. Nawet matka pozostała nazewnątrz, dłoń przyjaciela dotykała tylko zewnętrznej powłoki muru, który go otaczał, żadna ziemską miłość nie mogła dosięgnąć nieszczęśliwca.

Dopiero w południe zbudził się jego gość. Gospodyni splotła dłonie i rzekła:

— Wierz mi pan, że nikt panu nie podziękuje. Człowiek jest gorszym od bydłęcia. Jeśli pan przyprowadzi jakiegoś psa, nie powiem nic przeciwko temu, gdyż pies przywiąże się i obroni pana z wdzięczności. Lecz taki, okradnie pana tylko.

Gdy chłopak był już w spodniach i marynarce — odmówił umycia się — spojrzął po raz pierwszy na swego gospodarza ponurym wzrokiem. Wyrzu-

cił ze siebie przekleństwo, odwrócił się i splunął na łóżko

— Pfuj, do diabła, — powiedział ze złością w berlińskim dialekcie. — Żydowskie łóżko, i ja w niem leżałem! No i co pan powie? Co pan mi zrobił, gdy w nim byłem? Znamy was, gorący braciszku! Pfuj do diabła — jak ja teraz, Max - żydożerca wyglądam!

Abel odwrócił się do okna. Nie miał słów więcej. Gdy czyn zawiedzie, są słowa jeszcze bardziej martwe.

Zaskrzypiał zamek u drzwi. Żydożerca Max odszedł, zabierając zegarek Abła, który leżał na stole i pieniądze z pudełka na komodzie, gdzie leżały nigdy nie zamykane.

Zanim wszedł Abel do kawiarni, by grać tam przez cztery godziny, wstąpił do Chaji Genachow, która praktykowała na Bleibtreustrasse. Reb Chaim Genachow zrobił dobre interesy na Grenadierstrasse. Teraz mieszkał w Grunewaldzie, w białej willi, miał w garażu piękne auto i rządził czworgiem służby. Jego żona zdjęła perukę — nie miała jeszcze pięćdziesięciu lat i ufarbowała sobie włosy na blond. Miała damę do towarzystwa, która ją uczyła dobrych manier i prawidłowej niemieckiej wymowy. Często wydawali wielkie bale. Pan Genachow wydawał z jednym prawdziwym baronem pismo, które nosiło nazwę „Smak“. Wychodziło co tydzień także w języku angielskim, miało wiele stron zapełnionych ogłoszeniami z całego świata, mogło opłacić bajeczne honoraria i miało za współpracowników najlepszych literatów, tak młodych jak i starych, aktorki gawędziły w nim o sztuce, aktorki filmowe o podróżach, śpiewacy o

o przygodach, cesarscy kuchmistrze dawali rady kulinarne, bohaterzy operetkowi wskazówki dotyczące mody, bokserzy i szoferzy - dżentelmeni dyktowali aforyzmy, kokoty opowiadały o sobie, poeci o swych nowych dramatach. Było to pismo wielkiego i małego świata. Prawie wszyscy, którzy w niem współpracowali, bywali u państwa Genachow. Podczas wielkich przyjęć, na wieczorach, sznur aut stał od Hagenstrasse do Królewskiej Alei, ażeby po północy rozwozić gości do domów. Odbywały się u Genachow kocerty domowe, na których śpiewali wielcy artyści amerykańscy, nim usłyszała ich publiczność Filharmonji. Reb Chaim ubierany był przez krawca kronprinza — pani Genachow kupowała stroje w Paryżu, pomijając Berlin. Posiadał dwie gazety, amerykańscy bankierzy liczyli się z nim, należał do jakiegoś koncernu metalowego i do jakiejś linii okrętowej; jego żona zbierała modne obrazy i rzeźby. W tym czasie prowadził pertraktacje o kupno majątku w Santa Margherita.

Rodzice chcieli swą córkę urządzić, gdy wróciła z dyplomem lekarza do Berlina i zaczęła praktykować. Lecz córka odmówiła. Czasem stawało auto przed domem, w którym mieszkała i szofer przychodził pytać czy jaśnie panienka doktor z jaśnie panią mamą nie zechciałaby pojechać zwiedzić magazyny na Tauentzienstrasse. Chaja nie życzyła sobie tego nigdy. Pani Genachow przykładała do oczu chusteczkę z irlandzkich koronek i mówiła z żydowskim akcentem, złym niemieckim językiem do panny von Prittviłtz, swej damy do towarzystwa :

— Czyż nie rozdziera mi serca moja córka?

Panna von Prittviitz poprawiała ją chłodno.

Madame Genachow powtarzała ze strachem, lecz właściwego akcentu nie udało jej się wydobyć.

— Są już dojrzali do pogromów — powiedziała Chaja do Ablu. — Nie dlatego, że są nierozważni i gromadzą bezmyślnie bogactwa, lecz dlatego, że odpadają od żydostwa. Żyd, który ukrywa swe pochodzenie, jest wart śmierci. Gdyby wytępilli wychrzczonych, gdyby pozostali tylko żydowscy żydzi, nie byłoby więcej kwestji żydowskiej.

Abel milczał. Był teraz zawsze cichy, prawie niemy. Jakgdyby wszystko sprawiało mu ból, lub jakgdyby przestał być wrażliwym. Jego oczy były teraz takie jasne, takie przenikliwe aż do głębi, jak to spotyka się u obłąkanych. Lecz Chaja widziała w tem spojrzeniu tylko oddalenie. Czyż był ten człowiek u niej, jeszcze tutaj? Dokąd się oddalał?

— Gdy spogląda pan na mnie, Ablu — powiedziała młoda kobieta — chciałabym ukłęknąć.

Odwracał się. Jego uśmiech był tak daleki, jakgdyby najpierw musiał szukać związku z tym światem. Wreszcie odpowiedział:

— Wart śmierci, Chajo... Tego żebyś nie mówiła. Nawet najpodlejszy żyd, ten wiarołomny, złodziej lub morderca: i ci są też stworzeni!

Nie rozumiała go. Trzymając go za rękę, ona kobieta, była pogrążona w osobiste przeżywania, w ich obojga czysto ludzką wspólną atmosferę. Podczas tych krótkich godzin przebywania sam na sam z nim, nic nie istniało poza obrębem tych godzin i tego pokoju.

— Czy pamiętasz? — powiedziała. Była swobodna, lekka, mówiła jakgdyby była z przed wieków, jakby życie jej było obrazem wspomnień, nawet miłość jest bezpostaciowem echem; smutek oskrzydlił jej uśmiech. — Raz pocałowałam ciebie. Byłeś jeszcze dzieckiem. Siedzieliśmy na ciemnych schodach. Pytałam cię, czy mnie kochasz. I tyś odpowiedział: „Ja nie wiem, panienko...“ Wtedy uciekłam. W Zurüchu poszliśmy razem wieczorem nad morze. Gwiazdy świeciły, drzewa pachniały. Rozmawialiśmy mądrze, lecz ja kochałam tylko ciebie. Nazywałam cię bożkiem i wieńczyłam cię. Alexander Gottlos był tam i Mina Miljewicz i Trajan Caduff. Włóczyliśmy się nad jeziorem, księżyc świecił, muzyka grała w ogrodzie. Lecz ciebie całowała piękna Olga Schestow, a ja leżałam w moim pensjonatowym pokoiku i płakałam za tobą.

— Bądź cicho, Chajo — szeptał Abel. — Mówimy jak rozłączeni. Czyż to wszystko nie działo się wczoraj.

— Wczoraj? Ach nie. Tak dużo leży w międzyczasie. Nietylko lzy, lecz i śmiech i praca, dużo pracy, przestrzenie smutku i odnalezienie ciebie. Czy zostaniemy przyjaciółmi? Nie przerażaj się, nie kocham cię więcej. To było w innym życiu. Teraz jesteśmy rodzeństwem.

— Kochana, duża, mądra siostró. Muszę teraz odejść.

— Oliva ci się kłania. Pisała z Leysin.

Oliva Leu jesienią na jakiejś ławce w Clarens strzeliła sobie w pierś. Teraz leży w słońcu Leysin, które ma ją uratować. Chaja odwiedziła ją we wrześnieu. Odpowiedziała na pytanie Abła:

— Nie, ona nie wierzy w ratunek, lecz będzie uratowaną.

— A potem...

— Może stała się mądrzejszą w słońcu i przejrzy, że życie w biedzie jest głębsze, że Bóg najchętniej mieszka wśród opuszczonych serc.

— Dziwne! Szczęśliwcy, którzy nic od życia nie otrzymują, kochają je. Nieszczęśliwi natomiast, którzy z życia posiadli wszystko, odrzucają je, cierpiąc przez nie.

— To jest bogactwo, Ablu, to posiadanie życia, które nie jest monetą obiegową. Bogatym — tylko ten, kto posiadając, głodny jest i pragnie.

— Czyż jesteśmy jedyni mędrzy?

— Ty, Ablu? Zdajesz mi się cierpieć z głodu i pragnienia. Czego żądasz?

Szepnął uśmiechnięty:

— Życia, Chajo.

— O! — zawołała, śmiejąc się i składając ręce razem. — Masz go w pełni. Ty nieświadomy krezusie.

Odszedł.

— Tylko prędko, Ablu do jutra?

— Możliwe, moja Chajo. Dowidzenia.

Lecz zobaczyła go znów, gdy o tem już nie wiedział więcej, że jej czyste dłonie, dotykały jego bezprzytomnego ciała. Nie przyszedł więcej i po upływie trzech dni poszła Chaja dowiedzieć się o niego do kawiarni. Stamtąd odszedł bez zawiadomienia. Był piąty listopad dwudziestego trzeciego roku. Pojechała do rodziców. Na Hirtenstrasse były okna mieszkania Adlerów oświetlone

i zapukała. Gerszon otworzył jej, świeca w jego ręce drżała i nie mógł mówić, wskazał na pokój, gdzie Mirjam 'pochylona nad walizką, patrzyła w nią takim zmartwiałym i upadłym wzrokiem, jakgdyby widząc coś niewypowiedzianie straszliwego, obraz który ją przeraził.

I powoli dowiedziała się Chaja co zaszło. Abel dwa dni temu wyjechał, wstąpił na chwilę do rodziców, żeby się pośpiesznie pożegnać i pojechał do Bawarii, na granicę Turyngji, gdzie od paru dni rozrukane hordy dzikich nienawiścią antysemitów przebiegały okolice, napadając na żydów. Rząd nie pomagał i nie bronił, powstrzymując wojsko. Bandy hitlerowców przeciągały przez wsie i napadały na żydów i nie ludzkie i humanitarne instynkty, lecz 'chórzostwo powstrzymywało ich od mordów. Wyprowadzano mężczyzn do lasu, przywiązywano do drzew i porzucano. Ogłuszano starców uderzeniami i wrzucano ich do dołów na rozkopanych polach, zostawiając na pastwę niepogód, mrozów i napaści zwierząt. Uzbrojone bandy wchodziły do bezbronnych domów, plądrowały, zostawiając pobitych i poranionych. Strach i przerażenie poprzedzało wyjące bandy, najbardziej wierni i oddani sąsiedzi obawiali się okazać pomoc lub prosić o łaskę. Nawet żyd odgradzał się od żyda. Tych, którzy chcieli uciekać, zatrzymywano siłą, oczekiwano rozkazu, któryby uczynił ich bezkarniejszymi, rozkazu zabijania, palenia, gwałcenia. Obsadzono dworce i kolbami odpędzano żydów z powrotem, biciem zaganiano ich napowrót do ich schronień, rozkładano się bezwstydnie obozem.

Jednocześnie w Monachjum niszczone były gmachy gazet, banknoty z drukarni państwowych

rabowane, ministrowie napadani, posłowie porywani; kto był żydem, wszystko, co żydowskie — było bez obrony. Przechodnie byli bici do krwi, żydowskie kobiety wciągane do szynków, okna wybijane i śmiecie i wymysły padały do żydowskich mieszkań na stoły i łóżka.

Gdy Abel o tem usłyszał, poczuł co miał w duszy i w sercu. Należał do tych braci, którzy walczyli, cierpieli i umierali. Było zbrodnią wobec nich i siebie siedzieć w bezpiecznym ukryciu i bezbronnym nie okazać pomocy — słowem i czynem. Cały płonął ogniem braterskiej miłości, który go trawił; musiał go stłumić jeśli nie chciał spłonąć. Nie, on nie był chłodny ani niewrażliwy, nie obumarł; nie istniało wczoraj, wszystko było dziś, całe jego życie zbiegło się razem w tem płonącym uczuciu bytowania. On tylko spał, żeby zbudzić się w błogiem poczuciu własnej siły. W jednym szczęśliwym poczuciu, że żyje, porusza się, kocha, pospieszył na teren pogromów.

Wieczorem piątego listopada pojechali za nim Gerszon i Mirjam. I Chaja, jak stała, przyłączyła się do nich. Przelotnie nazwał rodzicom cel swej podróży. Nocą odchodził zwykły pociąg i rankiem mieli być na miejscu. Przeczucie pognało matkę za synem. Dostałaby obłądu, gdyby ją chciano zatrzymać. Podczas tych wszystkich lat była spokojna, choć nieraz długo nie było od syna żadnych wiadomości. Lecz tym razem pulsowała w niej każda kropla krwi. Troje ludzi wsiadło do pociągu i wślizgnęło się w wieczność tej nocy. Tak wielki był niepokój matki, że udzielił się innym, choć bezsilni, nie mogli jej w niczem pomóc. Nie wierzyli w nieszczęście, lecz Mirjam milcząca przez

całą noc, patrzała się na obraz, który w dzień miał się przed nią odsłonić. Nocą o jedenastej daleko już za Berlinem, krzyknęła nagle matka i wyciągnęła ramiona, w jej spojrzeniu był obłęd. Usłyszała westchnienie swego dziecka. Było ciągle w jej łonie i zaczęła się modlić biciem swego serca, prosząc żeby i jej serce przestało bić, jeśli tamto już nie bije.

Abel Adler wysiadł na małej stacyjce. Kraj obraz był już przez zimę ogołocony i leżał przed nim w całej swej martwocie i nędzy, jak umarły, który już nic zaofiarować i niczego dokonać nie może

Abel pogрузił się w to opuszczenie. Błąkał się po wioskach, o których czytał, że są tam rozrzu- ceni żydzi. Gdy zapukał w któreś drzwi, nie chcia- no mu otworzyć. Musiał długo pukać i dopiero gdy usłyszano hebrajskie pozdrowienie i modlitwę, uchylano je z wielką ostrożnością.

I tam napotkał to samo, co w innych domach żydowskich, które w ciągu swojej dwudniowej tu- laczki odwiedził. Ludzi żyjących strachem, zwąt- pieniem i nienawiścią, do czego ich Stwórca nie powołał wcale. Mężczyźni leżeli ogłuszeni od ude- rzeń kolbami po głowie z połamanymi rękoma i nogami, dzieci opuchnięte i pokrwawione. Opróż- nione szafy, łóżka bez pościeli. Świeczniki prze- chodzące z pokolenia w pokolenie zrabowane. Z drobiu na dworze zostały tylko pierze i krwawe plamy, brakowało krów i koni. Kobietom zwisały połamane ramiona. Staruszki lamentowały nad u- prowadzonymi przez morderców synami i wnuka- mi, którzy już nigdy nie wrócą. Z murów wołały do wędrowca wielkim głosem napisy hackenkreuzle-

rów : Wybijajcie im szyby ! Rabujcie co chcecie !
Mordujcie ich ! Gwałćcie kobiety ! Zasypujcie im
studnie !

Abel był przyjmowany z niedowierzaniem, niektórzy go nie wpuszczali zupełnie. Lękano się nawet brata. Bo czyż nie mógł wróg przybrać jego pozorów, żeby ich potem łatwiej zniszczyć. A tam gdzie go wpuszczano cóż znaczył? czyż mógł pomóc? Wobec nieszczęścia, które ich dotknęło, — słowo było bezsilne. Pociecha — cóż im pomoże, co poczną ze współczuciem, gdy braknie chleba. Abel głodował z nimi. Ach, odkrył nawet, że niektórzy kryli się z kęsem przed nim, gdy siedział przy pustym stole. Lecz byli i tacy, którzy dzielili się z nim ostatnią kromką i błogosławili jego zjawienie się. Zbyt długo był żyd wśród obcych, żeby się nie stać tu jeden, tam drugi — takim jak oni. Nieszczęśni żydzi, którzy muszą każdemu niedowierzać i w każdym domyślać się zdrajcy.

Lecz nie udało mu się zetknąć z żadną z tych hord. Jakgdyby kryli się przed nim, opuszczając każde miejsce, w które on wstępował. I nawet żydzi obawiali mu się wskazać wroga, gdyż to mogło ich przyprawić o nowe cierpienia, nowe ofiary lub śmierć. Jakgdyby radzi byli gdy Abel odchodził zamykając za sobą drzwi i ginął w mroku listopadowych chmur. Nocą spadł śnieg i cienka powłoka pokryła pola, nadając im jeszcze bardziej smutny, opuszczony i beznadziejny wygląd. Wioski wśród wzgórz leżały jak opuszczone śmiecie. Panowała cisza, pełna nieszczęścia i strachu. Słońce nie rozświetlało dnia. Śnieg pod nogami topniał i tylko nocą były przymrozki.

Wieczorem drugiego dnia dosięgnął Abel ostat-

nich ludzkich osiedli, których miała dotknąć jego stopa. Był śmiertelnie zmęczony, lecz nie odbyła drogą, a beznadziejnością swego czynu, daremnością swego bytowania, znużony zdobytą pewnością: na wieki jest przeznaczone żydowi cierpieć.

Zapukał do domu, który mu znaki hackenkreuzlerów, jako bratni wskazywały. Jakieś młode dziewczątko, prawie dziecko, wpuściło go do środka. Na twarzą jej poprzez strach i zmartwienie przeblyskiwało tyle pogody i boskiej radości, że poczuł się natychmiast tak odświeżonym i silnym, iż uśmiechnięty siadł przy piecu, okrążony przez całą rodzinę: rodziców, siedmioro dzieci, matkę i siostrę ojca — wszyscy odważniejsi niż inni żydzi, silni wiarą i tak pewni swego Boga, że z uśmiechem gotowi pójść na stos.

Lecz nim Abel zdążył się rozgrzać przy gościnnym piecu, usłyszano nazewnątrz zbliżające się krzyki, wrzaski i głośnie dzikie wołanie.

— Drzwi! — zawołał matka.

Synowie pośpiesznie zaczęli zasuwać szafami, komodami okna i drzwi, już wprawieni poprzedniami napaściami. Lecz w tejże chwili Abel jakgdyby przepelniony jakąś nadludzką siłą i kierowany wewnętrznym nakazem odsunął ich od drzwi i otworzył rygle. W tejże chwili usłyszano głośnie stukanie kołba do drzwi.

— Puście mnie — zawołał. — Oni muszą usłyszeć i odczuć.

I szczęśliwa pewność swego posłannictwa uniosła go i zdawało mu się jakgdyby miał skrzydła. Miłość obejmująca wszystko rozpętała się w nim jak burza.

Wtedy objęła go piękna córka gospodarza i odciała wstecz. Przez chwilę zdawało mu się, że pada, lecz w tejże chwili wyrwał się z jej objęć i gwałtownie otworzył drzwi.

Tam stali oni. Pięćdziesięciu ludzi, kobiety wśród nich. Broń, koły, widły, kije, pochodnie, sznury. Pięćdziesiąt twarzy jak jedno straszliwe widmo, jak jedno olbrzymie oko, jak jedna wielka paszcza, która pożera.

— Przyjaciele, — zawołał żyd. — Przyjaciele.

Dziki wrzask zapełnił powietrze; krzyk, którego treści już nie pojął, gdyż został schwycony, zdeptany i ostatnim strzępkiem myśli było: dom — ja — ja — obronić..

Lecz łaska zabrała mu świadomość: ja...

Banda go pochłoneła, widły zmiażdżyły i rozdarły mu ramię i ból, który już przestał być bólem, przyprawił go o omdlenie. Nogi w butach były nad nim, kolbami pchano go: wstawać, marsz do góry.

Lecz on leżał milczący. Wtedy podnieśli go pod ręce, wzięli między siebie i wyjąc dziko zaczęli go wlec w górę ulicy. Dokąd? W jakim celu? Nikt nie wiedział. Mieli swój łup i dzikie zamroczenie pchało ich naprzód, w świat na polowanie — człowieka na człowieka. Ich upojenie musiało biec, skakać, błędzić. Pochód straszliwych bachantów i korybantów. Tak szli nocą po szosie, coraz dalej, podczas gdy mgła i mróz narastały coraz gęściej.

Wleczono żyda ze sobą i kamienie były litościwsze od ludzi: raniły go bezwiednie. Jakieś źródło szumiało w głębi jakgdyby śpiewając piosenkę do snu, i las, który wpuścił pomiędzy swe drzewa szaleńców, szumiał i szeptał. Był to głos

litościwej natury, która chciała torować drogę omdlałemu.

Znów droga prowadziła przez pole, mgła rozrzedziła mróz, jasna i biała leżała przed nimi ulica, pola drzemały w ciszy i na wzgórzu, które zamykało ulicę stał krzyż.

Wielki pusty krzyż wyciągał swe ramiona.

Nagle rozległ się głos kobiecy.

— Na krzyż żyda!

Zatrzymali się wszyscy; ci, którzy go wlekli, dali mu upaść, temu żydowi, który był ofiarą ich nienawiści, temu który był dla nich wcieleniem żydostwa. Lecz już w następnej chwili zaczęto wykopywać krzyż, jedni nieśli żyda ku krzyżowi, inni dopomagali krzykiem, hałasem, nawoływaniem, szarpaniem, podczas gdy noc rozjaśniała się coraz bardziej, jakgdyby chcąc cały świat zwołać na to szalone widowisko.

Już leżał krzyż, lecz nie było młotów ni gwoździ. Przywiązano go więc. Rękę rozkrzyżowano, a nogi razem na drzewcu. I kiedy tak leżał — otworzył oczy. Zbudził go ból zmiażdżonego ramienia, ból rozdeptanych krwawiących wnętrzności, poranionych wleczeniem nóg i zakrzepłej na rękach krwi. Cierpiał nieludzko, lecz że przekroczył granicę cierpienia, które człowiek może przenieść, przestał nagle cierpieć. Obejrzał się wokół siebie, na straszliwe oblicze chrześcijańskiej ludzkości, na oczy chrześcijan nabległe krwią, którzy znów swego brata ukrzyżowali, jeszcze raz go zabijając.

Patrzył, spoglądał, lecz może wśród zgietku dojrzał Tego, który też to samo wycierpiał. Milczał, gdy przymocowywano go na krzyżu, lecz było mu tak, jakgdyby odlatywał z bólu i cierpień w lepsze

czyściejsze sfery. Kobiety odsuwały się dalej, widząc go uśmiechniętym. — Lecz naogół wszyscy ozuli straszliwe zadowolenie, spoglądając ku niemu.

Krzyż był znów postawiony i zakopany i znów stał nie pusty, znów dźwigając na sobie daremne cierpienia Zbawiciela. W dalekiej wiosce zegar wybił godzinę i dźwięk jego rozległ się w ciszy pól. Jedenaście razy.

Tu westchnął ukrzyżowany. I matka usłyszała to westchnienie...

Lecz ci, którzy to uczynili, zawrócili. Ukończywszy swe dzieło, przerazili się. Jakieś dziecko wzniosło swe widły i utkwilo w łonie wiszącego. Łono wzduło się i krew trysnęła na usta żyda, ci cho opadła mu głowa na piersi i litościwe włosy zakryły mu świat.

Opętani, teraz uspokojeni i już w tchórzliwym strachu odstępowali, jeden zaczął uciekać i wtedy pobiegli wszyscy...

Ten odrzucił widły, tamten broń. Żadne wołanie nie zabrzmiało. W straszliwym milczeniu rozbiegli się, jeden drugiego nienawidząc, jak zdrajcy, przez pole, do swych wiosek, każdy do siebie — ludzkość, która Boga ujrzała.

Samotna kobieta, która dosięgła drugiego wzgórza, uklękła nie obracając się i mówiła pacierz i potem jak trafiona kamieniem uciekła, ostatnia z uciekających, mściwemu przeznaczeniu najbliższa.

Żyd wisiał na krzyżu. Przyszedł wiatr i odgarnął mu włosy z czoła, chłodził wilgotne skronie. I żyd ujrzał świat, po raz pierwszy. Ponieważ go opuszczał, ujrzał go raz jeszcze straszliwym i pięknym. Usłyszał wymowę milczenia, które z nim

i w nim mówiło. Bez bólu w uszczęśliwieniu poczuł się sercem natury, jako rdzeń kosmosu. Wszystko co żyło, było w nim i w bezgranicznej miłości zrozumiał swych morderców. Wszystko co jest, zostało stworzone i czyż nie był on sam, który to stworzył, czyż nie umiera wszystko z nim razem? On sam zabił siebie, gdy morderca go uderzył. I dziecię, które go przebiło, było z niego zrodzone. I nie było żadnej winy jak jego. Gdyby on sam był bez grzechu, nie byłoby w niczem grzechu...

Uśmiechnął się. I potem skonał wolno ciężką śmiercią na krzyżu.

Gdy ranek stał się dniem, gdy po tygodniu mgły, słońce wreszcie zlitowało się nad ziemią, szło dwoje ludzi w górę ulicy. To byli ojciec i matka. Miłująca dziewczyna podtrzymywała oboje, obok szli żydzi, których Abel chciał bronić przed dziką hordą. Bóg w matce kazał szukającym zapukać do tych drzwi i piękna córka, która tej nocy czuwała i czekała — zwołała braci i poszli tą drogą, którą szaleńcy wlekli swą ofiarę.

Znali pusty krzyż na wzgórzu, był znakiem ostrzegawczym dla całej okolicy, teraz ujrzała piękna dziewczyna, że nie był więcej pusty...

Lecz wtem stanęła matka.. Jej słabe oczy dojrzały jej ból jeszcze niewidzialny i rzekła:

— Mój syn..

Usunęła wszystkich i poszła jak przed trzydziestu laty, prędzej niż wszyscy młodzi ludzie; a oni pozostali pozwalając jej iść samej, tylko ojciec powlókł się za nią. I usłyszeli matkę mówiącą. Stanęła u stóp krzyża, spojrzała w górę i rzekła:

— Abel, moje dziecię, moje życie, czy żyjesz?

Spójrz na mnie. Twoja matka — mój synu, twoja matka. Spójrz na mnie.

Lecz przymknięte oczy opuściły już ten świat. Matka padła na ziemię, opuściła głowę i zakryła oblicze.

Nie widziała jak wykopali krzyż i złożyli go. Stary ojciec rozkrzyżował ręce, jakgdyby on chciał być ukrzyżowany. I leżał straszliwie duży krzyż, a na nim wisiał maleńki człowiek, zmiażdżony, istota, która była człowiekiem.

Zdjęli go i ponieśli.

Zbliżyli się do matki. Świat w całym swym ogromie był tak cichy i pusty, jakgdyby nie żył na nim nikt, jak tylko te resztki człowieka, jak ten ból, ten mord, ta wieczysta niesprawiedliwość.

I ojciec bezwiednie wyrzekł znów słowa Pisma, które się jeszcze raz spełniły:

— *Masz matko, przyjm swego syna...*

I złożyli jej umarłego na kolanach. Odjęła ręce od twarzy, wyprostowała ramiona i spojrzała na syna...

Uśmiechnęła się. Matce nie umiera dziecię nigdy...

KONIEC.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat
Tel. 26-68-68

101

2

F

22.295